

AGNIESZKA HAŁAS

TEATR WĘŻY

tom 3

W MOCY WICHRU

część druga

Rozdział 22: Szukając tego, co zabrał czas

Wiatr, który dął przez cały dzień, teraz przycichł, a fale się wygładziły. Anavri zanurkowała i wynurzyła się bliżej płycizny. Słońce już zaszło; niebo i ocean barwiła

rdzawozłota luna, wyżej przechodząca w przymgloną czerwień, a potem w fiolet. Rozbłyskiwały pierwsze gwiazdy.

Brune szedł brzegiem plaży z butami w rękę, brodząc w wodzie sięgającej niewiele powyżej kostek. Patrzył w jej stronę, jak się zdawało, z niejaką zazdrością. Dziewczyna stłumiła wyrzuty sumienia. To nie jej wina, że nie umiał porzucić ostrożności nawet na pół godziny. On też lubił pływać, ale znajdowali się w obcym miejscu i uważał za stosowne być przez cały czas w pełnej gotowości bojowej.

Jaki poziom paranoi trzeba osiągnąć, żeby bać się kąpieli w morzu? Pytanie było retoryczne i nie zamierzała go zadawać, żeby nie psuć humoru ani jemu, ani sobie.

Wróciła na brzeg, roześmiana, odgarniając z twarzy mokre włosy. Poczowała, że spojrzenie

Krzyczącego prześlizgnęło się po jej ciele oblepionym cienką tkaniną, teraz półprzezroczystą od wody, ale nie wywołało tego ciepłego dreszczu radości co zazwyczaj. Choć od konfrontacji z

demonicznym błaznem minęły dwa tygodnie, jej nauczyciel nadal wyglądał fatalnie. Cerę miał

ziemistą, oczy podkrążone, a prawy policzek w strupach – rany nie chciały się zasklepić. Anavri wiedziała, że oparzenie po dotknięciu Faraela na szczęście już się zagoiło, pozostawiając tylko czerwonawy ślad. Z ksiąg знаła upiorne historie o tym, co

może z ludzkim ciałem zrobić magia Otchłani – o niegojących się latami wrzodach, wżerających się w kości, straszniejszych niż trąd.

Wspomnienie walki w jaskini nadal przyprawiało ją o ciarki. Chwilami łapała się na tym,

że będąc blisko Krzyczącego, wyteża zmysły maga, szukając śladów cudzej obecności. Nie

umiała wyrzucić z pamięci tamtego momentu, kiedy Brune chłonał moc demona.

Pospiesznie przebrała się w suche rzeczy. Zawahała się z mokrą koszulą w rękę, po czym

skupiła się, przymykając oczy. Rozległ się syk, a z płótna buchnęły kłęby pary. Po kilku chwilach materiał był suchy, choć sztywny od soli.

– Wiem, nie wypada używać magii do takich rzeczy – mruknęła, widząc pełne dezaprobaty spojrzenie Krzyczącego. Zwinęła ciepłą jeszcze koszulę i upchnęła do torby, po czym rozczesała i związała włosy.

– Wracajmy do wioski – powiedział. – Chłopiec od Kash-Olga mówił, żeby przyjść po zmroku.

Nie przybyli tu dla rozrywki, mieli zadanie do wykonania.

Szli bez pośpiechu, ciesząc się pięknem wieczoru. Zorza stopniowo przygasła. Niebo migotało gwiazdami, układającymi się w konstelacje inne niż na północy i zachodzie.
W

zaroślach grały cykady.

Anavri najpierw wyczuła zapach dymu i pieczonej ryby, potem w mroku przed nimi zamigotały ogniska – zbliżali się do wioski. Byli tu już za dnia. Osada niczym nie różniła się od innych rybackich wiosek na wyspach: drewniane chatynki na palach kryte liśćmi palm,

obrośnięte kwitnącym różowo pnączem *ilik*, suszące się sieci, wyciągnięte na brzeg łodzie z wydrążonych pni. Smagli, półnaczy ludzie żywili się tym, co dawało im morze, i byli szczęśliwi, nie mając prawie nic.

Wyspy Śpiewu przez trzy stulecia stanowiły kolonię Cesarstwa Nedgvaru, a potem, w

latach tuż po drugiej wojnie chalkiryjskiej i śmierci starego cesarza, kiedy imperium na jakiś czas osłabło targane przez wewnętrzne konflikty i walki, zbuntowały się i odłączyły

– ich

namiestnik, posiadający na wyspie Ilhan swój pałac i nedgvarski dwór, obwołał się *ukun-balem*, królem archipelagu. Zaledwie kilkanaście lat później wyspiarskie państewko dostało się pod

władzę rosnącej w siłę Alkary, która – dzięki układom z królestwem sylfów i portalom

oceanicznym skracającym żeglugę – coraz bardziej niepodzielnie panowała na wschodnich

morzach. Jednakże Alkaryjczycy nie zdetronizowali tamtejszego władcy; po prostu ustanowili

gubernatora, któremu *ukun-bal* miał odtąd podlegać. Wyspiarze, przyzwyczajeni od stuleci do takiej czy innej władzy zwierzchniej, przyjmowali wszystkie te zmiany obojętnie – nie miały one większego wpływu na ich codzienne życie.

Zdawało się, że wichry historii przetaczają

się nad archipelagiem, nie tykając go. Przed trzystu czy pięciuset laty tutejsze chatynki, sieci i palmy wyglądały tak samo, kwiaty *ilik* pachniały równie upajająco, a po zachodzie słońca panował taki sam spokój.

Przed kapliczką

bóstwa tlił się kaganek, obok stały miseczki z ofiarami – nieco ryżu, ryby i ciasta.

Krzyczący przyłożył dłoń do twarzy, kryjąc oszpecony policzek za iluzją, po czym skierował się w stronę chaty stojącej na uboczu, pod rozłożystym drzewem. Przed nią, wprost na piaszczystej ziemi, siedziało dwóch odmieńców. Jeden, zielonołuski, o głowie pokrytej

dziwnymi kolcami, wydawał się drzemać; drugi, tęgi i brzydki niczym toporna gliniana figura, ogryzał kość. Omiótł ich spojrzeniem zmrużonych ślepi, lecz nic nie rzekł. Brune minął obu bez słowa, więc Anavri również udała, że ich nie widzi. Skupiła się, wyteżając

zmysły maga, i

wyczuła wewnątrz chaty obecność jeszcze jednego, dużo starszego odmieńca. Kash-Olg był

wioskowym czarownikiem – na Wyspach Śpiewu przypisywano odmieńcom tajemne, półboskie moce.

W chacie śmierdziało dymem oraz ostrym, piżmowym potem. Pośrodku znajdował się

ułożony z kamieni krąg, w którym płonęło niewielkie ognisko. Odmieniec siedział na posłaniu z przybrudzonych tkanych koców. Był blady i olbrzymi, zwały jego cielska lśniły od oleju

palmowego. Pod skórą, która wydawała się zupełnie pozbawiona pigmentu, rysowały się sine

żyły. Głowę miał łysą, za to na klatce piersiowej gęstwinę rudawych kędziorów, a oblicze

wstrętnie zdeformowane – z dziurą w miejscu nosa i rozstawionymi bardzo szeroko, wybałuszonymi oczami. Ze środka jego czoła sterczał krótki róg, a z potylicy drugi. Krzyczący skłonił się i wypowiedział po alkaryjsku uprzejme powitanie. Brzydal wyszczerzył w uśmiechu okropne zębiska o pomarańczowym szkliwie.

– Wy siadaje, alkari. – Przeniósł spojrzenie na Anavri, omiatając ją wzrokiem pełnym

obleśnego zainteresowania, ale kiedy z kamienną miną odwzajemniła jego spojrzenie, jakby się zreflektował i kontynuował: – Wy interes, tak? Kash-Olg mnóstwo handluje z alkari marynarz.

Ma sto i jeden dobry zakłęcz dla statki, ma zioła od trzęsi-gorączka, ma kori-kori od złe oko... –

Wskazał zwieszające się z żerdzi wisiorki z muszli, kostek i piór.

– Dostojny Kash-Olgu, dama, którą niegdyś dobrze znałeś, pragnie cię pozdrowić, wyrażając nadzieję, iż minione lata były pomyślne dla ciebie i twoich współplemieńców. –

Brune wyjął z kieszeni oprawioną w złoto miniaturę z portretem Marshii i pokazał odmieńcowi.

Ten przełknął ślinę; na moment wyraźnie go zatkało. Potem zaczął mówić, lecz urwał i tylko

gestykulował bezsilnie.

– Mów po nedgvarsku – powiedział Krzyczący. – Moja uczennica będzie tłumaczyć.

Kash-Olg zerknął na dziewczynę z powątpiewaniem, ale wypowiedział kilka słów w

brzękliwej, twardo brzmiącej mowie

Cesarstwa.

– Sadziłem, że wielce światła pani Marilyce nie żyje – przetłumaczyła Anavri, którą

uczono nedgvarskiego i alkaryjskiego od szóstego roku życia, a dzięki kilkumiesięcznemu

pobyтови na Wyspach Śpiewu rozumiała okropny żargon, który pozostał wyspiarzom w spadku

po stuleciach nedgvarskiej władzy, będący skrzyżowaniem mowy Cesarstwa i dziesięciu dialektów miejscowego języka. Pozwoliła sobie przełożyć słowa Kash-Olga tak, jakby wypowiadał je w czystym nedgvarskim.

– Wielce światła pani Marilyce pozdrawia swojego starego przyjaciela i przekazuje mu za naszym pośrednictwem skromny upominek.

Brune nacisnął ukrytą sprężynę w medalionie, a gdy wieczko odskoczyło, wyjął schowaną wewnątrz zwiniętą złotą blaszkę i wręczył stworowi. Był to talizman, którego

niepozorny wygląd nie odzwierciedlał drzemiącej wewnątrz mocy. Kash-Olg najwyraźniej

potrafił docenić jego wartość, bo zaczął wylewnie dziękować, wzbijając się na wyżyny tutejszej kwiecistej uprzejmości.

– Pani Marilyce, licząc, iż stary przyjaciel dobrze ją pamięta, pragnie go poprosić o

drobną przysługę – kontynuował Krzyczący. Słowa te spowodowały uderzającą zmianę w

zachowaniu odmieńca, który natychmiast spał się i nachmurzył, pełen nieufności.

Anavri, na wpół instynktownie badając

otoczenie zmysłami maga, nagle uświadomiła sobie, dlaczego posłanie odmieńca posiada delikatną, ledwie wyczuwalną aurę życia – koce były zawieszane. Wzdrygnęła się z obrzydzenia i omal nie przegapiła kolejnej wypowiedzi Kash-Olga.

– Szlachetny przybyszu, spełnię prośbę pani Marilyce, jeśli tylko leży to w mej mocy.

–

Wypowiadając te słowa, stwór zadrżał.

Brune wyjął z kieszeni sygnet zawinięty w kawałek jedwabnej tkaniny i rozwinął go.

– Pani Marilyce prosi, byś obejrzał ten pierścień, który do niedawna należał do demona, i

rzekł nam, czy kryje on coś, czego oczy magów nie mogą zobaczyć, a w szczególności czy może stanowić zagrożenie.

Wiedzieli od Marshii, że Kash-Olg, od trzydziestu lat prowadzący spokojny żywot jako

wiejski czarownik wśród wyspiarzy, ma w sobie krew salamander i że był kiedyś chowańcem

potężnego srebrnego maga, nieprzejednanego tropiciela demonów. Znał się doskonale na podstępach i sztuczkach Otchłani.

Ani Marshia, ani Krzyczący, ani Zazel, ani Lorraine nie wyczuwali w sygnecie żadnego

ukrytego niebezpieczeństwa: żadnej zamaskowanej klątwy ani portalu, który uaktywniłby się

tylko w określonym miejscu bądź czasie. Nie byli jednak skłonni do końca zaufać swojej wiedzy

– a chcieli wykorzystać pierścień do

wejścia w trans wróżebny, by dowiedzieć się więcej na

temat mordercy w kostiumie błazna oraz jego mocodawcy. Marshia zadeklarowała, że opinia

Kash-Olga będzie dla niej definitywna i rozstrzygająca sprawę.

Odmieniec ujął pierścień w dwa palce i zamknął oczy. Trwał tak przez dłuższą chwilę, po

czym westchnął głęboko i spojrzał na nich nieco błędnym wzrokiem.

– Nic – oznajmił.

– Jest bezpieczny?

– Jest bezpieczny – potwierdził Kash-Olg.

– Niezmiernie nas to cieszy. – Brune wyciągnął rękę, by odebrać od niego sygnet.

Gdy ich palce się zetknęły, odmieniec nagle zadrżał i gwałtownie się cofnął, wytrzeszczając ślepią. Anavri poczuła wzbierający w nim gniew, walczący o lepsze z falą zwierzęcego przerażenia, i jej samej zrobiło się zimno.

– Ty! – wybuchnął, przechodząc z powrotem na łamany alkaryjski. – Ty z Otchłań!

Krzyczący wstał szybko, unosząc dłonie w pojednawczym geście. Chyba chciał coś powiedzieć, ale nie zdążył. Kash-Olg wsunął palce do ust i przenikliwie gwizdnął. Drzwi chaty otwarły się i stanęli w nich tamci

dwaj, nachmurzeni, groźni.

Głupcy – pomyślała wzgardliwie Anavri. Krzyczący szepnął coś, połowa twarzy zadrgała mu brzydko. Trzej odmieńcy zastygli jak obróceni w kamień, tylko ich przerażone oczy nadal żyły. Brune chwycił Anavri za rękę i zdematerializował ich oboje.

– O co mu chodziło? – odważyła się spytać dziewczyna, gdy zmaterializowali się na

brzegu morza w bezpiecznej odległości od wioski, niedaleko miejsca, gdzie trwało jeszcze echo portalu, którym przybyli tu poprzedniego dnia.

– Nie mam pojęcia – mruknął Krzyczący. Schował sygnet w zanadrze i potarł twarz, która nadal krzywiła się w tiku. Obawy

Anavri powróciły ze zdwojoną siłą.

– Wyczuł w tobie... tamtego?

– Nie ma takiej możliwości – uciał.

Dziewczyna pod wpływem impulsu wyteńczyła zmysły maga, próbując wniknąć w jego aureę, emocje, po raz kolejny sprawdzić...

Zmęczony. Zirytowany nieprzewidzianym incydentem. Niezasklepione rany na policzku bolały go, potęgując rozdrażnienie. Ale to był ponad wszelką wątpliwość Brune, jej Brune.

Musiał wyczuć, co zrobiła, lecz udał, że niczego nie zauważył.

– Będę potrzebował twojej pomocy, żeby z powrotem otworzyć portal – powiedział jakby nigdy nic.

– Wracamy do domu?

– Wracamy.

Składając Marshii relację z wyprawy, Krzyczący przemilczał to, jak zakończyła się rozmowa z odmieńcem. Anavri nie rzekła

ani słowa, choć nie spodobało jej się, że nie wyjawiał całej prawdy.

Dowiedziawszy się, co powiedział Kash-Olg, Marshia wyraziła zgodę na przeprowadzenie eksperymentu z sygnetem. Pierwej jednak, jak oznajmiła, sama zamierzała

dokładniej zbadać pierścień, mając już pewność, że nie czyha w nim żadne ukryte niebezpieczeństwo. Kazała Krzyczącemu wrócić za dwa dni, tym bardziej że przybycie portalem z dalekich wysp było męczącym wyczynem i oboje z Anavri potrzebowali odpoczynku. Żmija

ciekawilo, co takiego planowała zrobić, lecz gdy spróbował ją o to spytać, odpowiedziała wymijająco i dość oschle.

No cóż, postaraj się tylko nie uszkodzić

ani sygnetu, ani siebie. Miał to na końcu języka, lecz zmilczał. W myślach wyraził jedynie nadzieję, że zmijka wie, co robi.

Gdy zjawił się w umówionym dniu o wskazanej porze, Marshia czekała w pracowni, a

wraz z nią Lorraine. Mistrzynie sprawiała wrażenie zmęczonej, panna Nevers zaś – zrezygnowanej, lecz fatalistycznie gotowej na wszystko. Na fotelu w kącie przysiadł Zazel, z miną wyjątkowo ponurą i pełną dezaprobaty. W komnacie jak zwykle panował półmrok, zasłony

były zaciągnięte. Na okapie kominka paliła się pojedyncza świeca. Na stole oprócz karafki z

winem, buteleczki z księżycowym eliksirem i kieliszków Brune zauważył starą, zniszczoną księgę oraz trzy tajemnicze fiołki pełne oleistego płynu. Zawartość pierwszej była seledynowa, drugiej – czerwonawa i mętna, trzeciej zaś – żółtawa jak mocz.

Zmarszczył brwi, z daleka

wyczuwając, jak niezwykłą miały aurę –
nigdy jeszcze nie czuł podobnej wokół
martwego

przedmiotu. Ciepłą, rozwibrowaną i w
jakiś sposób... ludzką.

– Sygnet należał w przeszłości do trzech
osób – oznajmiła Marshia. Choć pod jej
oczami

ciemniały kręgi ze znużenia, wydawała się
nadmierzają zadowolona z siebie. –
Pozwoliłam sobie wydestylować z niego i
wydzielić esencję aury każdej z nich.

Krzyczący chciał się odezwać, ale
zamilkł, gdy w pełni dotarło do niego, co
powiedziała.

Po raz kolejny uświadomił sobie, jaka
przepaść dzieli jego umiejętności od
umiejętności Marshii Lavallo – która wszak
dysponowała teraz jedynie ułamkiem swojej

wcześniejszej mocy. On sam
nie wiedziałby nie tylko, jak się zabrać za
takie zadanie, ale nawet w jakiej księdze
szukać instrukcji.

– Nie było to tak trudne, jak mogłoby się
wydawać – dorzuciła z nutką chełpliwości,
jakby odgadując jego myśli. – Metalowy
przedmiot, noszony przez lata wprost na
ciele; aura

nawarstwia się i utrwała. Brune, mamy tu
Adriena de Vere, demona w stroju błazna
oraz agenta demona, mordercę z Eume.

– Adriena de Vere? – powtórzył
Krzyżący. Zdał sobie sprawę, że jego głos
lekko drży.

– Tak. – Marshia podniosła fiolkę z
seledynowym płynem. – Niestety jakoś tego
preparatu pozostawia wiele do życzenia.

Upłynęło zbyt wiele lat, aura jest słaba i zanieczyszczona naleciałościami pozostałych dwóch. Ale ponieważ Adrien był potężnym magiem, coś niecoś się jeszcze ostało. Myślę, że do przywołania wizji wystarczy.

– Myślałem... – Brune odchrząknął, czując suchość w gardle. – Myślałem, że zamierzamy po prostu użyć sygnetu.

– Gdybyśmy użyli sygnetu, ujrzelibyśmy tylko morderstwa w Eume oraz śmierć agenta –

odezwała się milcząca dotąd Lorraine. – Echo późniejszych zdarzeń nakłada się na wcześniejsze, maskuje je i zaciera.

– Tak jest – potwierdziła Marshia. – Dlatego oddestylowanie aur było jedyną rozsądną

opcją. Agent demona nie jest nam teraz do niczego potrzebny. – Odstawiła fiolkę z żółtawą

zawartością na bok. – Interesują nas Adrien i demon. Myślę, że najrozsądniej będzie sprawdzić, co ich łączy.

Wykorzystując do przywołania wizji aury dwóch jaźni, powinniśmy być w stanie

zobaczyć, w jakich okolicznościach skrzyżowały się ich ścieżki. – Spojrzała na Lorraine, która potaknęła.

Brune skinął głową, usiłując opanować mrozący lęk, wzbierający mdłościami w gardle i

utrudniający trzeźwe myślenie.

Świadomość, że nie ma sensu bać się rzeczy, które wydarzyły się dawno temu, wcale nie pomagała mu się uspokoić.

Marshia ustawiła na stole kadzielnicę i nasypała do niej białawych bryłek ze słoja.

Ostrożnie kapnęła na nie po jednej kropli z dwóch pozostałych fiolek, po czym zamknęła

kadzielnicę i wyszeptała kilka słów w mowie magów. Rozległ się syk i cichy trzask, a przez

otwory w ozdobnej srebrnej przykrywce zaczął się sączyć dym. Rozlała wino do kieliszków i

odmierzyła do każdego po łyżeczkę księżycowego eliksiru.

Zazel, który dotąd obserwował wszystko w milczeniu, poruszył się. Przesząpił z nogi na

nogę, wyraźnie niespokojny, zerknął z ukosa na Krzyczącego, odchrząknął.

– Zamierzasz wziąć udział w rytuale, pani?

– Muszę. Lorraine nie poradzi sobie sama.

– Pani, błagam! – Chowaniec wydawał się autentycznie poruszony. Spojrzał na Krzyczącego, wyraźnie oczekując poparcia, ale żmij milczał. – Narażasz swoje zdrowie! Nie wróciłaś jeszcze do pełni sił...

– Przeszkadzasz, Zazel. – Żmijka otworzyła księgę na stronie zaznaczonej zakładką.

– Wyrażam uzasadnioną troskę! – rozsierzdził się stwór. – Pani, błagam, bądź rozsądna! Dopiero co odzyskałaś...

– Wynoś się! – Marshia straciła cierpliwość tak nagle, że Krzyczący aż

drgnął, a potem

pomyślał, że widać obawy chowańca
wcale nie są bezpodstawne. Zmijka
zdenerwowała się

właśnie dlatego, że Zazel miał rację. – No
już! Słuchać się ciebie nie da!

Chowaniec otworzył usta, ale równie
gwałtownie je zamknął. Z gniewną miną
zeskoczył

z fotela, rzucił ostatnie pełne wyrzutu
spojrzenie Krzyczącemu i truchtem wybiegł z
pracowni.

– Usiądźcie bliżej – poleciała Marshia. –
Pijmy eliksir i bierzmy się za ręce. Szkoda
czasu.

Obrażony Zazel zlął na dół, na werandę, gdzie siedziała Anavri, bawiąc się czarodziejskim światełkiem. Nie miała najmniejszej ochoty uczestniczyć już w żadnych

transach, a ponieważ Krzycający nie nalegał na jej obecność, korzystała z chwili wolnego czasu.

Na widok chowańca zgasła czar i wstała.

– Zazel, chcesz się przejść?

Zazel, który zawsze wolał towarzystwo od braku towarzystwa, nie miał nic przeciwko. Wyszli na dwór.

– Słuchaj – odezwała się nieśmiało Anavri
– może ty mi powiesz, co się tu u was stało?

W czasie, gdy ona i Krzyczący przebywali
na Wyspach Śpiewu, w enklawie zaszła
zmiana, o którą dziewczyna bała się pytać
Marshię. Ogród zniknął. Na jego miejscu
zostały
tylko pagórki porośnięte rzadką, szarą
trawą. Niebo straciło turkusowy odcień; było
teraz
zamglone, mleczone.

– Chochlik i undyna się wynieśli –
wyjaśnił Zazel. – Uznali, że tutaj nie jest już
bezpiecznie. Z osłonami nie jest dobrze,
Anavri. – Zniżył głos. – Marshia wyprawiła
część
służby do materialnego świata i
powzięła... kroki na wypadek, gdyby stało się
najgorsze, to znaczy gdyby wytropili nas tutaj
srebrni.

– Aż tak źle? – spytała równie cicho dziewczyna. Chowaniec uśmiechnął się blado.

– Źle, Anavri, ale może jeszcze nie tragicznie. Nawet bardzo słabo zabezpieczoną enklawę nie tak łatwo znaleźć. Musieliby wiedzieć, gdzie nas szukać, w którym dominium i

kwadrancie, oraz wiedzieć, przynajmniej w przybliżeniu, którędy przebiega spojenie z materialnym światem. – Zawahał się, po czym posępnie dorzucił: – Lub też wiedzieć, gdzie

znajduje się któryś z dwóch portali stałych. Ten do enklawy Krzyczącego mnie nie martwi,

natomiast ten do jej rezydencji w Lossorze... – Westchnął ciężko. – Ale skądś musimy przecież brać jedzenie, drewno na opał i tak dalej. Marshia zaklina się, że ufa

swojej służbie...

Oczywiście, dopóty dzban wodę nosi,
dopóki się ucho nie urwie. – Znów popatrzył
w kierunku

willi. – Gdyby to ode mnie zależało,
wyprawiłbym Lorraine do materialnego
świata, w

bezpieczne miejsce, ale ona nie chce
zostawić Marshii, a Marshia nie kwapi się jej
do tego

zmuszać.

– A astralne potwory?

– Biss na szczęście jest w dobrych
relacjach z sylfami. Zaprzyjaźnił się z paroma
i

uprosił, by nas chroniły przed drapieżcami
z astralu, dopóki Marshia nie wyzdrowieje...
choć oczywiście trudno powiedzieć, czy za
jakiś czas nie dojdą do wniosku, że to nigdy
nie nastąpi.

No i zapowiedziały z góry, że w razie kłopotów ze srebrnymi nie mamy co liczyć na ich pomoc.

Królestwo powietrza chce zachowywać dobre stosunki z Elitą.

– Jak sądzisz – Anavri zawahała się, zniżyła głos – czy jest szansa, że Marshia kiedyś wróci do pełni sił?

– Nie wiem. – Zazel poważnie popatrzył na nią ciemnymi ślepiami. – Nie mam pojęcia,

Anavri. Formalnie jest już zdrowa, a czy kiedyś odzyska dawną sprawność... – Westchnął.

Długą chwilę stali w milczeniu, patrząc na nieruchomą taflę stawu pośrodku szarawej, smutnej łąki. Choć nie było zimno, Anavri

nagle wzdrygnęła się i roztarła ramiona.

Czuła chłód złego przeczucia.

Na wpół instynktownie sięgnęła zmysłami maga w kierunku willi, próbując odnaleźć komnatę na piętrze, gdzie odbywał się eksperyment z sygnetem.

Gorycz księżycowego eliksiru w ustach stopniowo stawała się mniej wyczuwalna, w miarę jak odpływali w trans. Krzyczący w pewnym momencie zdał sobie sprawę, że

ciepła,
 drobna dłoń Lorraine i zimna,
wypiełgnowana Marshii zniknęły – dryfował
w pustce,
 pozbawiony ciała.

W ciemności żeglowały obrazy. Budynki,
ludzie, chmury, miejsca, twarze.

Potem ich miejsce zajął jeden. Brune
wzdrygnął się na widok pogrążonej w mroku
 jaskini – wyglądała znajomo. Unosił się
pod jej sklepieniem, niewidzialny. A potem
dostrzegł
 postać skradającą się wśród skalnych
odłamów.

Ubrany od stóp do głów na czarno, w
pelerynie z odrzuconym na plecy kapturem,
Adrien
 de Vere ze swą białą twarzą przypominał

posepną zjawę. W głębi jego źrenic pełgały seledynowe błyski.

Nagle przystanął – może usłyszawszy coś niepokojącego – a powietrze wokół niego zadrgało, zdradzając, że uaktywnił czar tarczy.

Brune wstrzymał oddech, czując, że w jaskini materializuje się znajoma obecność, zwiastowana przez zgniły, kwaśny odór i złowrogą aurę Otchłani.

Spomiędzy skał wyłoniła się postać. Potężny mężczyzna, przedziwnie odziany – pół kubraka i jedną nogawicę miał zielone, a drugą połowę odzieży w czarne i czerwone pasy.

Czerwony kaptur kończył się wielkim chwostem. Obrazu dopełniała biała

porcelanowa maska.

– Jesteś daleko od domu, magu –
zabrzmiał syk, przywodzący na myśl jamę
pełną
wijących się, nienazwanych paskudztw.

– Przyszedłem walczyć.

Brune stężał wewnątrznie – to był,
zdawałoby się, jego własny głos. Schrypnięty,
cichy,
niebrzmiący bynajmniej jak głos bohatera.

Rechot, który odbił się echem od ścian i
sklepienia, nie dobył się z jednego gardła.

– Powiedz raczej, że przyszedłeś, by się
dobrowolnie oddać w nasze ręce. – Kobiocy

głos, zwodniczo melodyjny, jak miód
zaprawiony trucizną. Od ściany oderwał się
cień, szybko nabierając ludzkich kształtów.
Wysoka, nienaturalnie smukła kobieta
potrząsnęła grzywą

włosów, które przypominały ożywiony
mrok, wiły się i przelewały. Ona także miała
na sobie

kolorową odzież, jakby wyszła z
maskarady, gdzie występowała w przebraniu
wschodniej

księżniczki, a na twarzy maskę z
zielonego aksamitu.

– Jesteście nadzwyczaj pewni siebie. –
Kącik ust Adriena drgnął w uśmiechu.

– My? – Dama zaśmiała się dźwięcznie.
Potem skinęła dłonią, a cienie pod ścianami
uformowały się w kolejne dwie sylwetki.
Pękate, nieforemne, w strojach uszytych z
barwnych

szmat, w drewnianych maskach z długimi nosami. Wstrętny odór zgęstniał. Dwie niezgrabne

postacie wysunęły się do przodu, a Brune ujrzał, że zamiast rąk mają olbrzymie łapy ze szponami, zaś ich stopy są ptasie.

– Jeden przeciw czworgu? Naprawdę sądzisz, że ten żalosny czar tarczy wystarczy, by ci

zapewnić ochronę? Tu, w naszej siedzibie?

Adrien spokojnie wyjął spod kurtki flet. Wypowiedział kilka obcych słów – w jakimś starożytnym, zapomnianym wariancie mowy magów – a potem zaczął grać.

Zabrzmiała dzika, nieprawdopodobna muzyka. Brzmiał w niej huk nawałnicy na morzu,

wicher przyginający świerki w górach
Alkary i śpiew sylfów na odległych rubieżach
sfer. Dwa pomniejszych demony uczyniły krok
naprzód, potem drugi... a potem zaczęły
tańczyć, chwiejnie, niezdarnie jak kukiełki
poruszane sznurkami. Najpierw jedna, potem
druga maska spadły,

odsłaniając pokraczne, owłosione oblicza,
wykrzywione w grymasie przerażenia – to
melodia

zmuszała ich do tańca.

Dama wrzasnęła przeraźliwie, odrzucając
głowę do tyłu. Ona i jegomość w białej masce
w jednej sekundzie przemienili się,
przetransformowali w czarne monstra, ni to
ptasie, ni

owadzie, kolczaste, grzebieniaste,
szponiaste i nastroszone. Runęli na maga z
wizgiem i

trzepotem, raz, drugi, trzeci, lecz nie
mogli go dosięgnąć.

Muzyka zmieniła się, zabrzmiały w niej niższe tony – jakby pogrzebowy dzwon uderzał

gdzieś daleko, a jego głos niósł się z wiatrem ponad wzgórzami – i oni również zaczęli tańczyć.

Tańczyli, a ich pokraczne kształty kurczyły się, całe płaty czerni odrywały się od ich potwornych ciał i odpełzały w mrok, kryjąc się w skalnych szczelinach, byle dalej od maga i jego upiornej, niszczycielskiej melodii.

A Adrien de Vere grał. Grał, nie okazując zmęczenia. Pokaz czarnej sztuki na poziomie nieosiągalnym nawet dla Marshii.

Gdy przestał grać, cisza spadła jak topór. Cztery demony wiły się w męce i nieruchomiały jeden po drugim.

Adrien pochylił się nad jednym z pokonanych. Monstrum transformowało z powrotem w

istotę ludzką, lecz było już najwyraźniej zbyt słabe, by przemienić się całkowicie – z rękawów dwukolorowego kubraka nadal wystawały czarne macki, podrygujące niemrawo. Stwór dyszał

chrapliwie, co jakiś czas z bulgotem zachłystując się świecąca ektoplazmą, która wyciekała z jego ust, szybko parując. Adrien z uśmiechem zdjął z jego twarzy maskę i uniósł ją, by się

przyjrzeć, po czym przyczepił ją u pasa. Trofeum.

I wtedy pieczara rozmyła się, rozplynęła w ciemności.

– Poczekajcie – głos Lorraine, dobiegający jakby z bardzo daleka, z góry,

zniekształcony,
z głuchym pogłosem. – Będzie więcej...
Uwaga!

Ciemność skłębiła się, zawirowała i
przeistoczyła się w inne ponure, mroczne
miejsce.

Brune stęzał w przeczuciu czegoś
straszego, lecz nie walczył. Prowadzony
wolą Lorraine,
pozwolił, by wizja otoczyła go i
wchłonęła.

Już nie myślał o tym, że śni. Był tam.
Czuł.

*Ciasna, pozbawiona okien cela śmierdzi
wymiocinami, moczem i krwią.*

Akolita w białej szacie, trzymając lampę

pełną fosforyzującej mazi, staje nad leżącym na pryczy wychudzonym człowiekiem. Lewa ręka więźnia tkwi unieruchomiona w dziwnej żelaznej konstrukcji, nad którą w stojaku umieszczono szklaną banię z przezroczystym płynem.

Wychodzące z niej cieniutkie rurki kończą się igłami wklutymi w żyły leżącego. Ten ma zamknięte oczy, oddycha z trudem; jego pokryta białymi plamami twarz jest ściągnięta,

wyniszczona. Włosy ostrzyżono mu przy skórze, a szczeciniasty siwy zarost, tylko tu i ówdzie ciemny, nadaje teraz Adrienowi wygląd starca.

Akolita wymierza mu policzek.

– Spójrz na mnie, ścierwo.

Adrien z wysiłkiem rozkleja powieki, lecz

*jego oczy są mętne, niewidzące, w głębi
źrenic już nie widać seledynowego poblasku.*

*Na szyi i grzbietach dłoni ma ślady po
przypalaniu, a palce pokryte zakrzepłą krwią*

—
*wyrwano mu paznokcie – lecz nie
pogruchotano mu kości, nie powyłamywano
stawów, nie*

*posłużono się rozpalonymi do
czerwoności kleszczami ani wrzącą oliwą.
Wbrew temu, co głoszą plotki, umiejętnie
podsycane przez samą Elitę, w Domach
Godnego Odejścia zadaje się ból na daleko
subtelniejsze, bardziej eleganckie sposoby
niżli w świeckich katowniach.*

*Cuchnie zatechłym potem i płonie od
gorączki. Ma za sobą wstępną, trwającą
kilkanaście*

*dni procedurę rozbudzania i rozjątrzenia
czerni, która – nie znajdując ujścia – poczęła*

trawić jego ciało. Teraz do jego krwi sączy się mieszanka trucizn zabijających dar. W niektórych Domach stosuje się tę metodę zamiast szybszego, lecz trudniejszego i bardziej ryzykownego rytuału Zaathosa. Proces jest bolesny i trwa długo, zwłaszcza w przypadku tak silnego maga.

Akolita mierzy puls więźnia, sprawdza poziom cieczy w bani, podkręca kurek regulujący przepływ. Potem odwraca się.

– Panie de Lyche? Jeśli pragniecie coś rzec więźniowi, mogę...

– Nie trzeba – odpowiada znajomy głos. – Chciałem tylko sobie na niego popatrzeć.

Wychodzą obaj, zabierając lampę. Drzwi

zatrząskują się, zgrzyta przekręcany klucz.

*Kroki oddalają się, cichną. W ciemności
znów słychać tylko chrapliwy, umęczony
oddech.*

Wizja rozwiała się. Lorraine, bardzo
blada, naląła sobie wina i napiła się.

Krzyczący

przetarł oczy, próbując ukryć, jak bardzo
jest rozdygotany.

– Bardzo interesujące – powiedziała
Marshia. Ona również, podobnie jak panna
Nevers,

zachowywała chłodny spokój badacza. –
Nieoficjalna wizyta w Domu Godnego
Odejścia? Ktoś

tu musiał sobie zaskarbić doprawdy
niezwykłą wdzięczność Elity.

– Denuncjacja? – spytał cicho Krzyczący,

przypominając sobie nienawiść, z jaką Farael de Lyche wypowiadał się o Adrienie.

– Nie można tego wykluczyć. A pamiętasz pierwszą wizję?

– Te potwory w jaskini?

– Błazny – odezwała się spokojnie Lorraine. – Widzieliście, jak wyglądali?

– Bractwo Błaznów... – Marshia zamknęła oczy i rozmasowała powieki. – Psiakość, kiedyś już obijała mi się o uszy ta nazwa... Bractwo Błaznów z Doliny... z Doliny... Na siedem pałaców Harana! Mam w swoich zbiorach *Traktat o Otchłani Argala ar Toth*. Sprawdzę to.

– Adrien rozprawił się z czterema członkami demonicznego bractwa – powiedział powoli

Brune – a później piąty, ocalały, uknuł zemstę?

– Mogło tak być – potaknęła Marshia.

– Ale przecież powiada się o nim, że zaprzedał duszę Otchłani?

– Innej Dolinie? – Uśmiechnęła się z ironią. – Lub to też kłamstwo, braciszku. Zwykle,

ordynarne kłamstwo. Po tylu latach niemal nie do odróżnienia od prawdy.

– Fiolki nie pokażą nam więcej?

– Fiolki pokażą wam tylko to, co ja będę w stanie wam pokazać – wmieszała się

Lorraine. – To... trochę trudne do wyjaśnienia, ale widzę naraz fragmenty wielu obrazów, jakby kawałki roztrzaskanej mozaiki. Wyławiam jeden, który wydaje się obiecujący, i podążam jego tropem, a wtedy wy widzicie to, co się wyłania.

Krzyczący również nalał sobie wina i upił łyczek, żeby pozbyć się z ust goryczy eliksiru.

Potem, tknięty nagłą myślą, spytał:

– Czy wśród tych wielu obrazów widziałaś też aresztowanie Adriena?

– Chyba widziałam... Przez chwilę. – Dziewczyna objęła się ramionami. – Ale nie umiałabym sprawić, żebyście wy też

zobaczyli. Za dużo bólu i zamętu. On walczył... Zabił kilku mistrzów Elity, nim go pojмали.

Marshia splotła dłonie. Blask świecy pełgał w jej źrenicach purpurowymi odblaskami.

– A morderstwa?

– Które?

– Te, które rzekomo popełniał Adrien. Za które go skazano. Widziałaś choć jedno?

– Nie.

– Jesteś pewna?

– Tak. – Lorraine powiedziała to cicho, ze smutkiem. – Widziałam dziesiątki obrazów z jego życia. On nie mordował kobiet, to kłamstwo. Został fałszywie skazany.

Marshia spojrzała na Krzyczącego, uśmiechając się cierpko.

– Dlaczego mnie to nie dziwi?

Brune wrócił pamięcią do raportów straży miejskiej, które przeglądał w archiwum.

Pokręcił głową. Kawałki układanki, choć nieliczne, pasowały do siebie w logiczny sposób.

Morderstwa prostytutek w Ri Talma przed czterdziestu laty. Morderstwa popełniane w Eume

przez agenta w błazeńskim stroju. I brak

morderstw wśród obrazów, które dotyczyły Adriena.

Przestał obracać w palcach swoją gemmę i wsunął ją z powrotem do kieszeni.

– Spróbujmy jeszcze raz – powiedział. – Do trzech razy sztuka.

Marshia zmierzyła go badawczym wzrokiem.

– A dasz radę?

– Tak. – Przetarł twarz i wziął głęboki oddech. – Tak, nic mi nie jest.

Nie wyglądała na przekonaną, ale skinęła

głową. Dosypała nieco bryłek do kadzielnicy
i

zatrzasnęła przykrywkę, po czym
ponownie wzięli się za ręce, zamykając oczy.

Słodkawy dym, wrażenie kołysania,
senność...

Ciemność znów ożyła sunącymi powoli
obrazami – ludzie, miejsca, twarze, budynki,
chmury. Brune poczuł ciarki, gdy wśród
tego chaosu uchwycił znajomą panoramę Ri
Talma, a

potem ozdobioną złoceniami salę, czarno
odzianą postać grającą na flecie i zasłuchaną
publiczność.

– Uwaga – głos Lorraine wydawał się
dopływać jak z wielkiej dali. – Mam.

Wszystko nagle przesłoniły abstrakcyjne wzory, czarne i białe.

Mozaiki.

Mury i posadzka w mrocznym korytarzu wyłożone są mozaikami – malutkie kamyczki układają się w znaki pisma magów, a te w formuły. Potężne zaklęcia, których echo wibruje w powietrzu, sprawiając, że włosy lekko się jeżą, a po plecach pełznie chłód.

Dom Godnego Odejścia.

Fresk na sklepieniu przedstawia grupę magów w białych szatach, z rozwianymi włosami, otoczonych wieńcem ognia i chmur.

Na ustawionej pod ścianą ławie, pod okratowanym okienkiem, siedzi i czeka Farael de

Lyche w lamowanej futrem pelerynie i eleganckim kapeluszu. Wygląda na znudzonego. W końcu skądś dobiega głębokie, przejmujące bicie dzwonu – trzy uderzenia – i umieszczone w niszy drzwi otwierają się. Młodzieniec w błękitnej szacie kłania się nisko, gestem zaprasza gościa do środka.

Dwa wąskie okna w gabinecie również są zakratowane. Półki uginają się pod ciężarem ksiąg i dokumentów, w kącie na stoliku stoi srebrne astrolabium. Mag w białej szacie podnosi się zza stołu, na którym leżą budzące niepokój akcesoria: ludzka czaszka ze zwiwkami pergaminu zatkniętymi w oczodoły, dwie woskowe laleczki z powbijanymi igłami, zasuszona żaba skrępowana czerwoną nicią, ucięta zmumifikowana dłoń, przebita szpikulcem... De Lyche kłania się uprzejmie,

acz nie uniżenie, po czym wymieniają powitalne grzeczności. Młodzieniec w błękitnej szacie, posłuszny krótkiemu poleceniu zwierzchnika, wychodzi, a po chwili wraca, niosąc kasetkę ze smoczej kości, którą stawia na stole i otwiera. Wewnątrz, na aksamitnej wyściółce, spoczywa złoty sygnet z malachitowym okiem i dwoma wężami.

– Zgodnie z obietnicą, panie de Lyche. Drobną rekompensata za przysługę. – Mag uśmiecha się jakby z ironią i kładzie sygnet na wyciągniętej dłoni demona w ludzkiej postaci. Ten z nieruchomą twarzą kłania się lekko.

– Polecam się na przyszłość, szlachetni magowie.

Nagle rozległ się przeraźliwy huk; świat

zadrzał, a potem osypał się jak rozbite szkło.

Krzyczący, brutalnie przywrócony do rzeczywistości, rozejrzał się nieprzytomnie i napotkał tak samo zdezorientowane, przestraszone spojrzenie Lorraine.

Huknęło ponownie. *Ale to nie burza!* – uświadomił sobie, gdy poczuł, że aura enklawy faluje niczym wzburzone morze. Jej konstrukcja chwiała się w posadach.

– Osłony! – krzyknęła Marshia. – Musimy sprawdzić, co się dzieje!

Zanim zdążył odpowiedzieć, chwyciła go za rękę i zdematerializowała ich oboje.

Chwilę

później stali w terenie, który nieco przypominał otoczenie jego własnej enklawy, stworzonej prostszą techniką – u niego z materialnego świata przeniesiona została

tylko chata, a nie willa wraz z przyległym obszarem, jak tutaj. Naokoło rozciągał się skalisty, pozbawiony roślinności płaskowyż, dalej przechodzący w linię poszarpanych górskich szczytów. Enklawa – która dla

patrzących z zewnątrz powinna pozostawać niewidzialna, jak uświadomił sobie żmij – była

wyrastającą z kamienistego podłoża błękitną, opalizującą kopułą, podobną do wielkiej bańki mydlanej, siejącej tęczowymi odblaskami. Od zewnątrz oplatała ją ledwo widoczna pajęczyna z fioletowego światła – jeden z czarów zabezpieczających. Teraz w tej pajęczynie coś się

szamotało, rozciągając ją. Coś wielkiego, częściowo opancerzonego blachami, częściowo

białego i bezwłosego... o kilku parach trzepoczących rozpaczliwie skrzydeł i kilku giętkich szyjach zakończonych bezokimi pyskami, kłapiącymi w powietrzu.

Segmentowane metalowe

odnóża wściekle ryły ziemię, wyrzucając

w powietrze drobne i większe kamyki.

– To wysłannik srebrnych! – krzyknęła Marshia. – Bogowie, zniszczy enklawę!

Rozdział 23: Rytuał Cymmergusa

Jakby potwór morski złapał się w sieć! – pomyślał w panice Krzyczący, patrząc na istotę szamoczącą się w magicznej pułapce. Przez myśl przemknęło mu, że jeśli stworzenie zdążyło się telepatycznie skontaktować ze swymi panami, nie ma sensu walczyć, trzeba rzucać wszystko i natychmiast uciekać.

Lecz Marshia już kreśliła w powietrzu znaki. Zagryzła wargi, na czoło wystąpił jej pot.

Otoczył ją świetlisty nimb energii, z każdą chwilą jaśniejszy. Uniosła ręce, nad którymi uformował się wirujący, oślepiająco biały dysk i miotnęła nim w intruza.

Świat zbielał. Krzyczący w ostatniej chwili zdążył odwrócić głowę, osłaniając ją ramionami, i zacisnąć powieki. Rozległ się ogłuszający trzask, jakby piorun strzelił tuż obok, a potem upiorne, pełne bólu wycie. Gdy zmij otworzył oczy, ujrzał z przerażeniem, że stworzenie nadal się szamocze, rozpaczliwie próbując się uwolnić. Dwie jego głowy zwisały teraz bezwładnie, z paszcz spływał mleczny płyn, który w zetknięciu z gruntem syczał i dymił niby żrący kwas. Kilka fragmentów metalowego pancerza odpadło, odsłaniając połacie bladej skóry z czerwonymi plamami oparzeń. Mechaniczne odnóża nadal ryły ziemię, choć słabiej; jedno, złamane, sterczało pod dziwnym kątem. Jedno skrzydło usiłowało łopotać ze

zdwojoną siłą,
drugie oklapło niczym nadpalony
łachman.

Marshia klęczała, dysząc ciężko. Z nosa
płynęła jej krew, kapiąc na kamienie. Nim
Krzycczący, nadal osłupiały, zdążył
powiedzieć choć słowo, zmijka osunęła się na
ziemię, tracąc przytomność.

Chwilę potem obok nich zmaterializowała
się Anavri z oczami jarzącymi się sino. Brune
chwycił ją za rękę, czerpiąc raczej
instynktownie niż świadomie. Nie miał
pojęcia, jakiego czaru użyła Marshia – sam
znał tylko jedno zaklęcie, które miało szanse
podziałać przeciwko
wysłannikowi srebrnych. Piorun
Borseliusa. Skupił się, przywołując z pamięci
to, czego
potrzebował

(spopielona równina, jęczący potępieńcy)

*(loch, gorączka, rwący ból ran na
twarzy)*

by wzbudzić i podsycić w sobie czerń.

Wokół jego dłoni zaczęła formować się i
rosnąć kula mroku. Nim jednak czar nabrał
mocy, stwór targnął się, rozwarł
największą ze swoich paszcz i rzygnął
fontanną lepkiego
mlecznego jadu.

Krzyczący, skupiony na szykowanym
zaklęciu, zareagowałby o ułamek sekundy za
późno – uratowała go Anavri, osłaniając
tarczą jego, siebie i Marshię. Białe rozbryzgi
spłynęły po przezroczystej sferycznej

barierze. Stwór wydał świdrujący wizg, który
przeszywał uszy

tysiącem igieł. Mleczna trucizna kapiała z
jego kłóW, a ślepią przypominały teraz dwa
srebrne noże. Targnął się rozpaczliwym
wysiłkiem – i kilka fioletowych pasm pękło.

Enklawa

zadygotała w posadach, a Brune
uświadomił sobie, że jeszcze chwila i
czarodziejska sieć pęknie.

Wsunął dłoń za pazuchę, zacisnął palce na
gemmie Eresha, skupił się

*(demon wrzeszczący bezsilnie wśród
huczącego ognia)*

i pozwolił, by na nowo wezbrała w nim
czerń – niczym gorący, niszczycielski wir.

Poczuł, że tik boleśnie wykrzywia mu
twarz. Ułamkiem świadomości zarejestrował

przerażone

spojrzenie Anavri, a potem przestał myśleć. Była tylko wrząca w nim siła – i wróg.

Bezgłośna eksplozja czerni. A potem cisza.

Zimno.

Zimno i świst wiatru.

Anavri przytomniała powoli. Gdy przypomniała sobie, gdzie jest i co się stało, usiadła z

jękiem. Stopniowo dotarło do niej, że enklawa nadal stoi, jak stała. W powietrzu wirowały płatki śniegu, osiadając na kamienistym podłożu.

Tam, gdzie chwilę wcześniej szamotał się wysłannik srebrnych, widniał wyrwany eksplozją lej o zboczach upstrzonych mleczną, lśniąca mazią oraz fragmentami rozrzuconych

mechanizmów – śrubki, kółka zębate, przewody, poskręcane kawałki blachy... Na dnie leja wiło się to, co pozostało z rozszarpanego ciała, które najwyraźniej bardzo niechętnie rozstawało się z życiem. Dziewczyna poczuła mdłości na ten widok i czym prędzej odwróciła wzrok.

Marshia leżała bez ruchu, twarzą ku

niebu. Biss, który zjawił się nie wiedzieć kiedy,

siedział na niej, mocno przywierając mackami do szyi i piersi – wlewał w nią siłę życiową.

Brune niezdarnie zbierał się z ziemi. Ostrożnie dotknął krwawiących ran na policzku, zaklął z cicha.

– Żyjesz? – spytała Anavri.

– Zakładam, że tak – mruknął, klękając przy Marshii. Pospiesznie sprawdził jej puls. Anavri obserwowała to bezradnie, wiedząc, że nie jest w stanie w żaden sposób pomóc.

Dygotała od dreszczy, było jej słabo i mdło.

Nagle spostrzegła, że kawałek dalej unoszą się w powietrzu trzy postacie – trzech skrzydlaci młodzieńcy w bogatym rynsztunku bojowym, w złoconych pancerzach i hełmach.

Wiatr rozwiewał pasma ich jasnych włosów, a twarze mieli szlachetne i piękne niczym na obrazku. Sylfy.

– Dobrze sobie radzisz w walce jak na tak młodą *ka-ira* – powiedział jeden, o skrzydłach w pięknym, nasyconym odcieniu ultramaryny. – Ale wasza enklawa potrzebuje lepszych zabezpieczeń.

– Co tu robicie, przyjaciele? – spytał Krzyczący.

– Obserwujemy – odrzekł drugi sylf.

Skrzydła miał barwy porannej jutrzzenki, a jego

hełm ozdobiony był białym pióropuszem.

– Patrzymy i wyciągamy wnioski.

– Zdaje się, że w starciach między srebrem a czernią macie obowiązek zachowywać

neutralność, mam rację?

– Zgadza się – potwierdził ten pierwszy. – Nieformalnie nie przepadamy za srebrnymi, lecz nasza królowa pragnie pozostawać z nimi w dobrych stosunkach. – Z niechęcią popatrzył w stronę tego, co pozostało z wysłannika. – Jeśli srebrni tu przybędą, nie obronicie się, magu.

– Zdajemy sobie z tego sprawę – odparł Krzyczący, siląc się na spokój. – Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, żeby

wzmocnić te osłony.

I wytrzymały – dodał w myślach. Wiedział jednak, że sylfy mają rację. Nie potrzeba

nawet srebrnych magów, wystarczy, że zostaną zaatakowani przez większą liczbę takich

stworów jak ten, który dogorywał nieopodal, a będzie po enklawie. *I zapewne po nas.*

– Osłony jak osłony, magu. Podstawa dobrych zabezpieczeń to kamuflaż – odezwał się

niewielko przemądrzałym tonem trzeci sylf, szaroskrzydły, wyglądający najmłodziej i najdelikatniej.

Krzyczący wzruszył ramionami.

– Wierz mi, zrobiliśmy tu, co mogliśmy.

– Czyli w praktyce niewiele, bo zarówno kamuflaż, jak i osłony tej enklawy zostały splecione w taki sposób, że nikt poza właścicielką nie jest w stanie dokonać w nie głębszej ingerencji, nieprawdaż?

Brune odmruknął wymijająco i znów przykląkł przy Marshii, udając, że sprawdza, czy

nie odzyskała przytomności. Nawet jeśli sylfy były im nadspodziewanie życzliwe, nie miał

najmniejszej chęci, by kontynuować rozmowę na drażliwy temat.

Dotknął policzka zmijki i przemówił do niej cicho. Jęknęła. Otworzyła oczy, ale zaraz je zamknęła, jakby światło ją raziło. Biss lekko się nadał, przywierając mocniej do jej klatki piersiowej, i zerknął na Krzyczącego z

wyraźną pretensją, jakby dając do zrozumienia, że jego pani potrzebuje przede wszystkim chwili spokoju.

– Kiedy ich szpieg nie wróci – podjął najmłodszy z sylfów – srebrni wykorzystają czary

tropiące, aby sprawdzić, gdzie jest i co się z nim stało.

– Zaraz postaram się im to utrudnić. – Krzyczący wstał z klęczek i przywołał gestem Anavri. Podeszła posłusznie, choć widział, że krótkie starcie z białym monstrum wstrząsnęło nią bardziej aniżeli pojedynki w sferach i incydent w karczmie razem wzięte.

– Musimy spalić ciało tego... czegoś – powiedział. Z rezygnacją skinęła głową. Przyłożył

jej ręce do skroni i zaczerpnął ostrożnie.

Syknęła z bólu, przygryzając wargę.

– Nic mi nie będzie – mruknęła, gdy cofnął dłonie i popatrzył na nią z troską. – Czerp, jeśli potrzebujesz więcej.

– Tyle mi wystarczy – odrzekł. Ledwo trzymał się na nogach ze zmęczenia, ale nie chciał ryzykować, że Anavri pod wpływem czerpania straci przytomność.

Podszedłszy do krawędzi leja, stłumił dreszcz obrzydzenia, gdy ujrzał, co leży w dole. W

kałuży perłowej, śliskiej substancji wiły się sinawe, długie ni to robaki, ni jelita... Mdły, słodkawy odór sprawił, że żołądek podjechał zmijowi do gardła. Brune z wysiłkiem przełknął

ślinę. Czuł na sobie wzrok sylfów.
Najchętniej powiedziała by im, żeby się
wynosily do diaska.

Rozejrzał się za niedużym, ostro
zakończonym kamieniem, a znalazłszy
odpowiedni,
nakreślił nim na ziemi kilka znaków i
wyszeptał formułę. To, co pozostało ze
skrzydlatego
potwora, z trzaskiem i skwierczeniem
zajęło się magicznym ogniem. Zaklęcie na
szczęście
niszczyło wilgotne substancje równie
skutecznie jak suche.

W powietrze wzniósł się białawy,
cuchnący dym. Żmij zasłonił nos i usta
tuniką. Cofnął
się i z mściwą satysfakcją patrzył, jak czar
pochłania szczątki istoty, a resztki perłowej
mazi syczą i parują.

Sylfy zawisły nisko nad ziemią, poza zasięgiem dymu, i uważnie wszystko obserwowały.

– To nie wystarczy – odezwał się ten niebieskoskrzydły, gdy ogień już prawie się wypalił. – Gdy srebrni się zorientują, że ich szpieg zginął, nie dadzą za wygraną, póki nie zlokalizują miejsca, gdzie to się stało. Będą próbować do skutku.

Krzyczący przetarł dłonią twarz, ucisnął oczy. Czuł się coraz gorzej, wstrząsały nim dreszcze, a głowa pulsowała tęnym bólem.

– Zapewne – odrzekł, siląc się na spokój.
– Jakież sugestie?

Skoro tacy z was specjaliści – chciał dodać, ale powstrzymał się, pamiętając, że tylko głupiec okazuje arogancję w rozmowie z mieszkańcami sfer.

Sylfy przez chwilę szeptały między sobą, po czym przemówił ten z pióropuszem na hełmie.

– Ty też posiadasz enklawę, prawda?

– A co to ma do rzeczy?

– To, że możesz skopiować jej zabezpieczenia tutaj. Opis rytuału znajdziesz w

Kompendium magii ochronnej
Cymmergusa.

– Znam ten rytuał – wtrąciła słabym głosem Marshia, siadając. – Mam tę księgę.

Jej ton wskazywał, że chce jak najszybciej położyć kres rozmowie.

– Dziękujemy za radę – powiedział niepewnie Krzyczący. Marshii wyraźnie się nie

podobało, że powietrzne duchy wtrącają się w jej sprawy. Wcale go to nie dziwiło.

Pojawił się czwarty sylf, dosiadający skrzydlatej poczwary wyglądającej jak skrzyżowanie gryfa z gigantycznym pasikonikiem. Krzyknął do pozostałych w obcym,

śpiewnym języku, po czym wszyscy czterej ulecieli, znikając w szarości chmur. Brune dopiero teraz uświadomił sobie, że w czasie gdy rozmawiał z powietrznymi

rycerzami, zrobiło się
wyraźnie zimniej i zerwał się porywisty
wiatr, szarpiąc rzadką trawę.

– Wracajmy za osłony – powiedział
trzeźwo Zazel, wychylając się zza
najbliższego głazu
jak diabełek z pudełka. Utykając na
siedmiu łapach, zbliżył się do Marshii. – Dasz
radę wstać, pani?

Biss wzbił się w powietrze, falując
mackami. Krzyczący podał zmijce dłoń i
pomógł jej
się podnieść. Stała chwiejnie,
wspierając się na jego ramieniu.

– Spaliłeś to obrzydlistwo? – spytała,
patrzac na wciąż jeszcze dymiącą plamę
wypalonej
ziemi.

– Tak.

– To dobrze. Mam nadzieję... – Zakaszłała sucho, przyciskając dłoń do klatki piersiowej.

– Mam nadzieję, że nie było za późno.

Brune napotkał przestraszone spojrzenie Anavri. Bardzo chciał powiedzieć dziewczynie

coś dodającego otuchy, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

Wszystko zależało od tego, czy gdzieś tam w dole, w materialnym świecie, nieznanym im

Z imienia srebrny mag zdążył rzucić czar tropiący, zanim ciało wysłannika spłonęło.

Pół godziny później wszyscy siedzieli w salonie. Marshia, wciąż jeszcze śmiertelnie blada, otulona przyniesionym przez służącą futrzanym pledem, sęczyła wzmacniający kordiał.

Brune wyglądał niewiele lepiej od niej, ale upierał się, że nic mu nie jest. Zmył z twarzy krew, zażył lucyferię na ból głowy, a teraz oboje z Anavri pili herbatę z miodem. Dziewczyna czuła się chyba najlepiej ze wszystkich, ale dopiero teraz, gdy zagrożenie już minęło, mroziła ją myśl o tym, co mogło się stać. Że tak niewiele brakowało, by ziścił się jej najgorszy koszmar. Srebrni.

– Gdyby zdążył ich zaalarmować, albo gdyby zdążyli stwierdzić, gdzie zginął, już dawno

by tu byli – stwierdziła cierpko Marshia, odstawiając czarę. – Sądzę, że tylko węszył i uaktywnił zabezpieczenia, zanim zdążył się zorientować, czyja to enklawa.

– Trzeba się zastanowić, co zrobić z osłonami – odezwał się Zazel, który siedział z filiżanką w rogu sofy. Ciastek nie dostał, ale był tak roztrzęsiony i pełen zgrozy, że tym razem chyba nawet on nie myślał o jedzeniu.

– Tu nie ma nad czym się zastanawiać – stwierdził Brune. – Zaryzykuję tego Cymmergusa, o którym mówiły sylfy.

Marshia westchnęła.

– To niebezpieczny rytuał, Brune. Znam go. Wymaga niezachwianej koncentracji i olbrzymiej ilości mocy. Obawiam się, że nie jesteś wystarczająco silny. – Powiedziała to nie z charakterystyczną dla siebie nutką złości, tylko z rezygnacją stwierdziła fakt.

– Pozwól mi rzucić okiem na księgę, sam ocenię.

– Och, w porządku, skoro się upierasz. – Skinęła na pannę Nevers. – Lorraine, przynieś tu *Kompendium magii ochronnej*.

Gdy dziewczyna wróciła z opasłym woluminem, Brune, marszcząc brwi, zagłębił się w lekturze wskazanego fragmentu. Po chwili zatrzasnął księgę.

– Dam sobie radę – powtórzył. Marshia wyprostowała się, wyraźnie ożywiona – może kordiał zaczynał działać, a może po prostu irytacja dodała jej sił.

– Zdradź mi, jeśli łaska, z jakiego źródła zamierzasz zaczerpnąć tyle energii życiowej?

– Mam swoje sposoby.

– Czerpanie od żył nie wystarczy. Nie wchłoniesz jednorazowo tyle mocy.

– Wiem.

– A jeśli coś pójdzie źle, ryzykujesz uszkodzenie osłon u siebie, albo wręcz naruszenie

konstrukcji twojej enklawy. Cymmergus wymaga rozplecenia węzłów i zdjęcia formuły stabilizującej, to nie są żarty.

– Wiem. – Brune dolał sobie herbaty, tym razem nie dodając do niej miodu. – Starsza siostró, patrzmy trzeźwo na sytuację. Jedyna alternatywa, jaka ci pozostaje, to opuszczenie tego domu i przeniesienie się do materialnego świata, bo nie sądzę, żebyś miała chęć zamieszkać u mnie. Jak mawia jeden mój znajomy z Podziemi, albo rybki, albo...

Zazel kaszlnął. Marshia zacisnęła usta, ale wolno skinęła głową.

Stara biblioteka w Tay wznosiła się na wyspie pośrodku rzeki, co wyjaśniało, czemu władze miasta jeszcze nie rozwiązały problemu, jaki sobą stwarzała.

Przed kilku laty jej górne piętra strawił pożar. Ocalałe zbiory przeniesiono do nowego

gmachu, zaś ruina, dotąd nierozzebrana, straszyla osmalonymi dziurami po oknach i zwęglonymi, sterczącymi belkami. Nie ucierpiała jedynie najniższa kondygnacja, gdzie teraz gnieździli się bezdomni, którzy faktycznie zawłaszczyli dla siebie całą wysepkę. Tym to sposobem pośrodku dzielnicy uniwersyteckiej wyrósł wrzód, który w praktyce nie przeszkadzał mieszkańcom aż tak, aby chciano podjąć

radykałne kroki. Męty przestrzegały
niepisanej umowy ze strażą miejską i za dnia
staraly się nie leżć postronnym w oczy.
Dopiero nocą na wysepce rozpalano ogniska,
a
ochrypłe śmiechy niosły się nad wodą.

Margines, jak wszędzie, pilnował swojego
terytorium – na moście zupełnie jawnie
siedział typ, wprost reprezentacyjnie
odstręczający, który zatrzymywał każdego
obcego, pytając, do kogo ma interes.
Ponieważ Anavri nie miała ochoty mu się
opowiadać, po prostu
zdematerializowała się z bulwaru i
zmaterializowała w krzakach na wyspie. Tu
nawet jako
jasnowłosy chłopak mogła się spodziewać
zaczepki, więc otuliła się czarem
niewidzialności.

Cicho jak cień ruszyła ku budynkowi,

omijając ogniska i grzejące się przy nich
nieapetyczne towarzystwo. Wypatrzyła
boczne wejście, którego nikt nie pilnował, a
drogę w
zawilgoconych, śmierdzących pleśnią i
moczem korytarzach odnalazła dzięki
zmysłom maga,
kierując się tam, gdzie wyczuwała
znajomą obecność.

W obszernej piwnicy, której sklepienie
wspierało się na filarach, cienie tańczyły po
pokrytych zaciekami murach. Na środku,
wokół zapalonej świecy zatkniętej w
garnuszku,
siedziało sześciu obdartych mężczyzn,
podając sobie z rąk do rąk butelkę. Czterech
grało w
kości, dwaj tylko się przyglądali. Pod
ścianą na posłaniach ze szmat spali inni;
dolatywało stamtąd pijackie chrapanie.
Młoda, rozczochrana kobieta karmiła piersią
dziecko. Skądś dobiegł

chichocik i odgłos klepnięcia; w mroku między filarami na chwilę zamajaczyły dwie sylwetki, zajęte sobą.

Anavri, nadal niewidzialna, podeszła do pijących. Wiedziała, że Brune jest wśród nich,
rozpoznawała go z daleka po aurze.

Zacisnęła zęby. Bolało ją serce, kiedy widziała go w tym przebraniu i żartującego z tymi
ludźmi, jakby czuł się wśród nich na swoim miejscu.

Stała w pewnej odległości i czekała. Była pewna, że Krzyżący także wyczuł jej obecność, ale nie podnosił głowy; słuchał uważnie tego, co mamrotał garbus z bielmem na oku.

Pozostali kłócili się o wynik ostatniego

rzutu. W końcu Brune powiedział coś, na co kompani zareagowali rechotem, i wstał. Ruszył chwiejnie do wyjścia, a Anavri za nim, nadal niewidzialna.

Gdy wyszli na korytarz, jej nauczyciel przestał udawać pijanego.

– Tędy – szepnął, ujmując ją za rękę. Anavri stłumiła wstęt, bo nie zdjął jeszcze iluzji.

Pozwoliła się poprowadzić w głąb piwnic. Nagle woń stęchlizny znikła, zrobiło się zimniej,

dolatujące z oddali dźwięki ucichły i dziewczyna zrozumiała, że właśnie przeszli przez

zakamuflowany portal, utrwalony tak, by nie zanikał po jednokrotnym użyciu.

Rzeczywistość zafalowała i nad ich głowami zaśnił księżyc. Stali nad rzeką, która nie

płynęła przez żadne ze znanych Anavri miast. Na obu brzegach wznosiły się drewniane domy, czy raczej rudery.

– Gdzie jesteście?

– W Gyarze nad Morzem Tęsknot, w dzielnicy biedoty. – Brune czujnie się rozejrzał, lecz byli sami. – Chodź, nie stójmy tu.

– Zdejmij tę przeklętą iluzję – warknęła.

– Nie tutaj. Ty też się jeszcze nie dekamoufluj. Tędy.

Poprowadził ją błotnistą uliczką, gdzie szczury obwąchiwały walające się odpadki.

Anavri zacisnęła zęby. Znów zohydził się tak przekonująco, że mogłaby przysiąc, iż wcale nie ma do czynienia z iluzją.

Łachmany, włosy w strąkach, w miejscu blizn wstrętny mokry liszaj.

Oraz to, czego nienawidziła najbardziej – smród. Odór bezdomności: wódki, śmietników i wżartego w skórę brudu.

Ogarnął ją gniew. Nie pierwszy raz miała wrażenie, że Krzyczący świetnie się bawi, udając degenerata, podczas gdy dla niej nie było w tym nic, ale to nic śmiesznego.

– Mdli mnie, kiedy na ciebie patrzę – warknęła.

– Mogłabyś przestać to widzieć, gdybyś się skupiła – powiedział zmęczonym tonem. – Anavri, co ci mówiłem o strachu?

Zacisnęła zęby, opanowując się z wysiłkiem, żeby nie wykrzyzczeć mu w twarz tego, co

był w stanie wyczytać z jej głowy bez specjalnego trudu. Gdyby mu zależało.

Tak, na wszystkie demony, mam problem ze strachem! Ze strachem o ciebie! Że pewnego

dnia osuniesz się z powrotem w bagno i już tam zostaniesz!

– I jak? Udało się? – spytała chłodno.

– Powiem ci w domu. – Rozejrzał się czujnie. – Tam w bibliotece plątała się taka

jedna

szuja, co prawie na pewno donosi srebrnym. Mam nadzieję, że mnie nie rozpoznał.

– A mógł?

– Wszystko jest możliwe. – Schylił się i przecisnął przez dziurę w płocie, wchodząc na

zachwaszczone podwórze. Anavri chcąc nie chcąc podążyła za nim. Zaledwie znaleźli się pod

osłoną chaszczy, jej nauczyciel ujął ją za rękę i zdematerializowali się.

Gdy otworzyła oczy, stali na brzegu jeziora w enklawie. Tu było jeszcze jasno, na niebie powoli przygasały barwy zachodu. Brune powrócił do własnej postaci. Z westchnieniem

przysiadł na najbliższym gładzie, wyjął z kieszeni coś zawiniętego w ciemną tkaninę i rozmotał

ją.

– Zobacz – powiedział. Anavri przykucnęła i wzdrygnęła się, czując czarne ciepło

emanujące z przedmiotów, które wyglądały jak zwykłe, zaśnieżone monety. Stłumiła

instynktowne pragnienie dotknięcia ich, bo nagle przypomniała sobie zwłoki zakatowanej

zmijki, które widziała w Kang. Z monet biła ta sama aura, choć słabsza: paląca, odzywająca się mrowieniem na skórze, osadzająca się na języku posmakiem rdzy.

Cierpienie. Cierpienie i śmierć.

– Skąd one są? – spytała powoli, niepewna, czy chce znać odpowiedź.

– W zeszłym tygodniu srebrni aresztowali typka, który handlował różnymi rzeczami.

Talizmanami i nie tylko. W podziemiach biblioteki miał swoją skrytkę, w której zostało parę drobiazgów. – Brune podrzucił jeden z miedziaków i złapał zręcznie. – Słyszałaś lub czytałaś o czarnych monetach?

– Nie...

– Więzi się ofiarę, najczęściej dziecko, zmusza do połknięcia kilku monet, a potem torturuje na śmierć. Gdy ofiara umrze, rozcina jej się brzuch i wydobywa monety. Są nasyczone taką dawką czerni...

Urwał, widząc jej minę.

– Proszę, powiedz, że to tylko kolejny twój kretyński żart – powiedziała wolno Anavri, a

kiedy pokręcił głową, zerwała się i pobiegła w kierunku granicy enklawy.

– Anavri! – krzyknął. Nie zatrzymała się. Chwilę później powietrze zafalowało i dziewczyna zniknęła, przekroczywszy niewidzialną barierę.

Brune zaklął, schował monety do kieszeni i pobiegł za nią. Przeczynał, że gdy tylko Anavri opuściła enklawę, zdematerializowała się, i rzeczywiście – po chwili wyczuł w powietrzu gasnące już echo czaru.

Szlag. Podążenie za kimś, kto się

zdematerializował, było możliwe tylko w ciągu kilku minut od użycia czaru, i wymagało niebagatelnych umiejętności. On ich nie posiadał – mógł co najwyżej powiedzieć, w której księdze znajduje się instrukcja. Ale nadal miał przy sobie spinkę Anavri, którą zapomniał dziewczynie oddać. Na szczęście.

Zacisnął przedmiot w rękę i sekundę później zmaterializował się na porośniętej niebieską

trawą łące, nad potokiem. Anavri siedziała na kamieniu, skulona, obejmując się ramionami.

Podniosła zalaną łzami twarz, żeby spiorunować go wzrokiem.

– Wcześniej nie mówiłeś mi takich rzeczy, żebym się przyzwyczaiła do daru, oswoiła, tak? Ty skurwielu... okłamywałeś mnie przez tyle tygodni... – Zgarbiła się jeszcze

bardziej. – To kiedy zaczniesz mnie uczyć,
jak się torturuje dzieci?

– Anavri... – Zawahał się. Rozumiał swój
błąd, ale nie wiedział, jak się zabrać do
wyjaśnień.

Dziewczyna wyjęła chustkę i wytarła nos.
Brune, klnąc w duchu własną głupotę,
przykucnął przy niej.

– To mało przyjemna strona Sztuki, wiem
– powiedział cicho. – Ale wychodzę z
założenia, że jeśli ktoś już nie żyje, to i tak
mu nie pomogę. Potrzebuję tej mocy, Anavri.
Nie zamówiłbym tych cholernych monet, ale
skoro już były do wzięcia, to je zabrałem.
Rozumiesz?

– Mógłbyś po prostu zapłacić żył.

– To nie to samo. Żyła to żyła, ale kiedy są potrzebne krew albo cierpienie... to nie da się ich zastąpić czymś innym.

Anavri znowu siąknęła nosem, kaszlnęła, by zamaskować szloch. Krzyżący wyciągnął do niej rękę.

– Chodź, wracajmy.

– Wrócę, kiedy będę chciała. Zostaw mnie.

– Anavri...

– Zostaw mnie. – Nie podniosła głosu, ale jej źrenice błysnęły sino.

Krzyczący zrezygnował z dalszej dyskusji. Była młodą żmijką, a nie dzieckiem.

Sięgnąwszy umysłem w przestrzeń, upewnił się tylko, że w okolicy nie ma niczego, co mogłoby

stanowić dla niej zagrożenie, po czym zdematerializował się, wracając do enklawy. Tam zajął się przygotowaniem do rytuału z księgi Cymmergusa – musiał naszykować odpowiednie mieszanki

olejków i nauczyć się na pamięć formuł.

Anavri wróciła po dwóch czy trzech godzinach. Bez słowa poszła zrobić sobie kolację.

Nie zwracał uwagi na to, czym się zajęła później, ale kiedy wszedł na chwilę do sypialni po zostawione tam czyste arkusze papieru, zauważył, że dziewczyna już się położyła. Nie była na tyle wściekła, żeby spać w kuchni, albo może nie chciała zbyt dobitnie

demonstrować, jak
bardzo jest na niego obrażona.

Nic nie powiedziała, więc on też milczał.

Późnym wieczorem wreszcie skończył
przygotowania i poszedł się wykąpać w
jeziorze,

by spłukać z siebie zapach pracowni oraz
niemiłe wspomnienie starej biblioteki i jej
mieszkańców.

Przez chwilę biegał po łące tylko po to,
żeby się rozgrzać. Dostyc regularnie fechtował
się

ze znajomymi zabijakami i zawsze
słyszał, że mógłby być sprawniejszy, że za
mało się rusza.

Nie miał tyle zacięcia ani czasu, by to
zmienić, mimo świadomości, że w walce bez
magii też powinien sobie radzić możliwie jak

najlepiej. Stłumił wyrzuty sumienia w związku z tym.

Rozebrał się i wszedł do wody, z trudem chwytając oddech z powodu zimna.

Uśmiechnął się,

patrząc w czarne niebo. Wróciło do niego mgliste wspomnienie z Hain-Rague, jedno z tych

odzyskanych, kiedy jako chłopiec pływał w wartkiej górskiej rzece razem z rówieśnikami,
synami dzierżawców.

A potem ujrzał inny obraz. Czy raczej poczuł wszystkimi zmysłami, tak wyraziście, jakby na moment przeskoczył w inną rzeczywistość.

Zimno i zapach morza.

Wchodzę coraz głębiej, zanurzając się w

*lodowatych falach. Rozpaczliwie pragnę
oczyszczenia – dosłownie i w przenośni.
Otarcia na nadgarstkach i kostkach –
pamiątki od kajdan – pieką i szczypią od
słonej wody.*

Nad wyspą wstaje świt.

Był słaby – wiedział, że od niedawnej
gorączki – i w żalonym stanie. Chudy jak
szkielet,

pozlepiane włosy, broda. Próbował się
wyszorować piaskiem, zmyć z siebie
tygodnie tułaczki... i Otchłań.

Czuł słaby, mdlący zapach ropy i
zgnilizny wydzielany przez rany na policzku
– wciąż

jeszcze rwące bólem, do niedawna
otoczone plamami martwicy. Zakażenie,
którego normalny

człowiek by nie przeżył.

A za sobą, na brzegu, wyczuwał obecność. Nawet nie odwracając się, wiedział, że tam są.

Dwie sylwetki w szarych szatach.

Demony.

Zdawał sobie sprawę, że to fragment większej historii, która rozegrała się, gdy tkwił w

szponach szaleństwa, i której nie chciał sobie przypominać. Odepchnął wizję siłą woli,

oddychając ciężko, i wyszedł z wody. Odechciało mu się pływanie.

Ubierając się, znów doznał irytującego wrażenia, że ktoś lub coś go śledzi. Przywołał

moc, oczy mu zapłonęły. Zmysłami maga szybko omiótł najbliższe otoczenie. Nic.

Po chwili wrażenie cudzej obecności zniknęło, a Brune zaklął pod nosem, tłumiąc strach,
że dzieje się najgorsze – że szaleństwo wraca.

Nawet o tym nie myśl. Jesteś czarnym magiem, trzymaj się w karbach, do cholery.

Wrócił do chaty i wszedł do sypialni – cichutko, żeby nie obudzić dziewczyny, ale Anavri nie spała. Usiadła.

– I jak? Wszystko przygotowane?

– Powiedzmy – mruknął. Ze znużeniem

przetarł oczy. – Sprawdziłem układ gwiazd, oczywiście jest niekorzystny. W cholere z tym. Lisenius i Zehud wierzyli w astrologię, ja nie.

– A co mówią twoje karty? Sprawdzałeś?

– Pokazują śmierć. – Uśmiechnął się cierpko, zdejmując buty. – Jak przed każdym niebezpiecznym przedsięwzięciem.

Pamiętasz, co mówiła Marshia o wizjach Lorraine? Że

patrząc w przyszłość, zawsze widzi się wszystkie możliwe ścieżki.

Anavri zmierzyła go wzrokiem. Zawahała się.

– Sądzisz, że jest szansa, że się uda?

– A jak ci się zdaje? – prychnął. Położył się i przykrył kocem. Dziewczyna nie zadawała

dalszych pytań. Czuł jej chłodny dystans, niechęć – i coś mówiło mu, że prędko się to nie zmieni.

No cóż, miał poważniejsze zmartwienia. Znow wrócił myślami do wspomnienia, które go nawiedziło w wodzie.

Demony na brzegu. Dwie sylwetki w szarych, obszarpanych szatach... Stwórz o głowie sępa i młoda kobieta.

Dręczyło go wrażenie, że dar usiłuje mu coś powiedzieć, lecz nie wiedział co.

Długo trwało, nim zasnął, ale tej nocy nie śniło mu się nic.

Aby przeprowadzić operację z osłonami, należało wspiać się na tyle wysoko na któryś z okalających jezioro szczytów, aby móc stamtąd objąć wzrokiem całą enklawę. Odkąd Krzyczący

zamieszkał w tym miejscu, zdażył gruntownie spenetrować okolicę, w tym wejść na własnych

nogach wszędzie, gdzie dało się wdrapać bez liny – stąd też wiedział, że najlepszym

wyborem będzie zbocze najbliższej góry, najeżone głazami, lecz bez przepaści.

Wyruszyli nazajutrz. Teleportacja nie wchodziła w grę, wymagałaby poświęcenia zbyt

dużej ilości mocy, podczas gdy liczyła się każda jej odrobina. Dlatego w chłodzie poranka

powędrowali najpierw skrajem łagodnie wznoszącej się niebieskawej łąki, nad którą śmigały

ważki, a potem zakosami po kamienistym stoku. Widoczne w dole jezioro stopniowo stawało się coraz mniejsze.

Po mniej więcej godzinie marszu usiedli, by odpocząć i napić się wody. Anavri zdjęła słomkowy kapelusz, żeby otrzeć spocone czoło. Wiatr rozwiewał jej jasne włosy.

– Tam – powiedział zmij, wskazując położoną kawałek wyżej przełęcz, w odpowiedzi na pytanie, którego dziewczyna nie zadała. Wzruszyła ramionami, udając, że całkowicie pochłania ją wpatrywanie się w motyla, który nadleciał z gracją, zatoczył krąg nad ich głowami i przysiadł na pobliskim gładzie.

Był szary jak popiół, bez jednej barwnej plamki. Krzyczący na ten widok poczuł dreszcz, zakręciło mu się w głowie. Zamknął oczy. Gdy ponownie spojrział w stronę motyla, ujrzał tylko pusty gład. Złowił badawcze spojrzenie Anavri i opanował się, zaciskając zęby.

– Idziemy – powiedział. Wstała posłusznie.

Wyżej teren stał się trudniejszy; szli wolno, mozolnie wybierając drogę pomiędzy rozsianymi wokół mniejszymi i większymi odłamami skalnymi. W końcu stanęli na przełęczy.

Chmury wisiały nisko, niektóre z okolicznych szczytów niknęły za ich zasłoną. Było chłodno.

Wiatr przybrał na sile, dał krótkimi, gwałtownymi podmuchami.

– Jesteśmy wystarczająco wysoko – stwierdził Krzyczący, spoglądając w dół. Z góry

widać było niebieską plamę jeziora, ale nie enklawę, której osłony funkcjonowały tak, jak

należy. – Teraz poproszę cię o czerpanie.

Anavri wzruszyła ramionami i posłusznie schyliła głowę. Zaczepnął oszczędnie,

uważając, żeby nie sprawić jej bólu.
Oстрым kamykiem nakreślił na ziemi krąg i
kilka znaków, po czym skropił je kolejno
zawartością trzech przyniesionych fiolek.
Zapachniało mirrą,
piołunem i żabią paprocią. Na koniec
wyjął nasycone czernią monety i ułożył je
przed sobą.

– Co mam robić? – spytała dziewczyna.

– Nic. Usiądź z boku i czekaj. –
Uśmiechnął się blado. – Gdybym stracił
przytomność,
ocuć mnie.

Nie brzmiało to optymistycznie, ale
Anavri skinęła głową i zajęła miejsce na
głazie

nieopodal. Po namyśle przesiadła się w
miejsce bardziej osłonięte od wiatru, żałując,

że nie zabrała płaszcza.

Brune ukląkł w kręgu, zamknął oczy i zastygł na chwilę. Potem zaczął szeptać frazy w

języku magów, z których nie rozumiała prawie nic. Trwało to długo, na pewno ponad kwadrans.

Anavri skuliła się, wsuwając dłonie w rękawy. Na szczęście po jakimś czasie wiatr przycichł i już tak nie ziębił.

Czekała.

W pewnym momencie zdała sobie sprawę, że ułożone na ziemi monety straciły swą czarną aurę – nie umiała powiedzieć, kiedy do tego doszło. Jeszcze chwilę wcześniej wyczuwała je darem tak wyraźnie, jakby się żarzyły, a teraz były po prostu kawałkami zimnego, martwego metalu. To

był pierwszy znak, że coś się dzieje.

Brune zamilkł i dłuższy czas trwał bez ruchu. Potem bez słów zaczął kreślić dłońmi znaki

w powietrzu. Jego twarz stężała, kilka razy gwałtownie chwycił oddech.

Dziewczyna

obserwowała go z fascynacją i niepokojem. Czuła, że prądy Zmroczy gdzieś tam wysoko w

górze zmieniają się, że zmianie ulega aura wokół miejsca, gdzie siedzieli. Powietrze stało się jakby nieuchwytnie cieplejsze, potem pojawił się w nim słaby ślad zapachu kwiatów. Anavri z drzeniem uświadomiła sobie, skąd go zna – to była woń uwielbianych przez Marshię

jaśminowych perfum, która zawsze unosiła się w komnatach willi nad stawem.

Brune znowu szeptał formuły. Potem, nie

wstając z klęczek, przywołał ją gestem.

– Użycz mi sił – zażądał ochrypłym szeptem.

Posłusznie skłoniła głowę, a zaraz potem chwyciła oddech i zagryzła usta, żeby nie jęknąć – czerpał tak gwałtownie jak nigdy wcześniej. Ból prześwidrował jej czaszkę od czoła do potylicy, przed oczami zawirowały czarne płatki. Osunęła się w omdlenie.

Kiedy się ocknęła, uderzył ją panujący półmrok. Zapadał zmierzch... a naokoło gęstniała mgła. Szara, wilgotna i lepka.

Anavri usiadła ostrożnie i z przerażeniem zobaczyła, że Krzyczący także leży bez ruchu na ziemi.

Prędko przyklęła obok niego, szukając pulsu na szyi. Znalazła; jego serce biło normalnym rytmem, oddychał. *Zasnął* – uświadomiła sobie z ulgą. *Zasnął* z wyczerpania.

Potrząsnęła go za ramię, najpierw lekko, potem mocniej. Bez efektu. Zamamrotał niewyraźnie, nawet rozchylił na moment oczy, ale od razu je zamknął i ponownie zapadł w sen.

Anavri czuła zmysłami maga, jak potwornie jest zmęczony.

Przez chwilę zastanawiała się, co zrobić, i doszła do wniosku, że nie mogą nocować w tym miejscu – kto wie, co mogłoby ich zwęszyć, po astralnych rubieżach błąkały się najrozmaitsze paskudztwa, od dusiołków po jadowite grgolicie – ale pozwoli mu pospać

jeszcze przez chwilę. Tak długo, dopóki nie uda się jej rozproszyć tego mleka, które wisiało wokół.

Przywołała moc i zamknęła oczy, posyłając swą świadomość w górę – tak jak podczas

przywoływania wiatru – próbując prześledzić kierunek prądów powietrza i grubość pokrywy

chmur. Szybko dała się porwać znajomej radości, jaką niosło zanurzenie w żywiole, który był jej najbliższy, najbardziej przyjazny. Już nie stała na kamienistym gruncie, tylko śmigiała przez chłodne powietrze, lżejsza i zwinniejsza od jaskółki. Wniknąć we mgłę, stać się mgłą, być mgłą i szeptać do mgły, rozkazywać mgle...

Sama nie wiedziała, kiedy ani jak to się stało, ale gdy otwarła oczy, opary rzedły, odpływały, choć nie rozproszyły się do

końca.

Potem, ku jej uldze, Brune się poruszył. Uniósł powieki i jęknął, przyciskając dłoń do czoła.

– Żyjesz? – spytała Anavri.

Pokręcił tylko głową, mamrocząc przekleństwo.

Podawała mu rękę. Dźwignął się i usiadł niezdarnie, potem spróbował wstać, ale zatoczył

się i upadłby, gdyby dziewczyna go nie podtrzymała. A potem... ku jej przerażeniu zaczął coś cicho nucić, melodię bez słów.

Potrząsnęła go za ramiona, wtedy zamilkł.

Popatrzył na nią zdezorientowanym,
szklistym

wzrokiem, który sprawił, że poczuła w
brzuchu chłód.

– Jasna cholera! Co ci jest?

Nie odpowiedział. Zapatrzył się w
przestrzeń, szepcząc pod nosem. Anavri
stłumiła

ogarniający ją paniczny strach. Od razu
pomyślała, że gdy Brune leżał nieprzytomny,
coś go

opętało, jakiś wrogi byt z astralu. Ale
wystarczyło użyć zmysłów maga, by się
przekonać, że nie.

Był tylko oszołomiony wyczerpaniem –
trochę tak, jakby odpływał w malignę bez
gorączki.

– Musimy zejść z powrotem –

powiedziała, siląc się na spokój. – Dasz radę?

– Musimy... zejść z powrotem – powtórzył cicho, niepewnie. Anavri przestraszyła się, że może powtarza jej słowa bezmyślnie, nie rozumiejąc, ale stłumiła lęk i spokojnie poleciła:

– Weź mnie za rękę.

Zejście nie należało do przyjemnych. Schodzili powoli, krok za krokiem. Brune szedł

chwiejnie, jak lunatyk, a dziewczyna wiedziała, że gdyby się potknął, przewróciłiby się oboje.

Zapadła noc. Dzięki zmijowemu wzrokowi Anavri nadal rozróżniała kontury skał, ale

przywołała czarodziejskie światełko, żeby móc łatwiej odszukać drogę.

Potem zaczęło się dziać coś złego.

Ciemność zgęstniała. Zafalowała, jakby ożywając. Dziewczyna, coraz bardziej spięta, oddychała szybko i płytko. Miała wrażenie, że tuż poza kręgiem światła wyczuwa niematerialną obecność obcych istot, zimną i wrogą. Przybywało ich z każdą chwilą, jakby zlatywały się niczym ptactwo. Potem zdała sobie sprawę, że otaczający ich mrok zaczyna kształtować się w sylwetki – niewyraźne kształty w powiewających, obszarpanych strojach utkanych z cienia.

Bezszelestnie podpływały coraz bliżej.

Przywołała moc, zastanawiając się

rozpaczliwie, czy piorun Sulpisa zadziała przeciwko

ożywionej ciemności. Lecz zanim zdążyła to sprawdzić, zobaczyła, że Brune prostuje się i daje krok do przodu. Oprzytomniał. W samą porę.

– Precz! – krzyknął ochryple, unosząc rękę. Żrenice zabłyśły mu żółto. Cienie pierzchły, roztapiając się wśród nocy.

– Co to było? – spytała drżącym głosem Anavri.

– Nie mam pojęcia. Chodź.

Ruszył przodem, narzucając takie tempo, że miała problem z nadążeniem; jego buty lepiej się nadawały do chodzenia po

skałach. Nie odezwał się już ani słowem,
ignorując jej

pytania, póki nie dotarli do enklawy.

Anavri z ulgą wyczuła zmysłami maga, że
osłony są

nienaruszone. Gdy wreszcie zeszli z
ostatniego pagórka i przed nimi ukazało się
jezioro – plama głębszej ciemności w mroku
– stwierdziła:

– Mam tylko nadzieję, że enklawa Marshii
jeszcze stoi.

– Nie było ryzyka, że ją uszkodzę –
mruknął Brune. – Tak głupi jeszcze nie
jestem. Co

najwyżej wzmocnienie osłon mogło się
nie powieść.

Anavri wyczuła, że jest zły na siebie. No
cóż, bez wątpienia przeliczył się z siłami.

Marshia cię ostrzegala – pomyślała. Ale na twoim miejscu pewnie postąpiłaby tak samo.

W pierwszej kolejności poszli do pracowni. Długą chwilę trwało, nim w zwierciadle

pojawiło się coś innego niż płynące kolorowe linie i migoty, ale w końcu tafla ukazała Marshię, stojącą w swoim laboratorium.

– Udało się – uprzedziła ich pytanie. – Brune, jestem twoją dłużniczką. – Zmierzyła go

uważnym spojrzeniem. – Wszystko w porządku?

– Tak – mruknął. Marshia nie wyglądała

na przekonaną, ale nie zadawała dalszych pytań.

Krzyczący wygasił zwierciadło i zdjął z półki buteleczkę zawierającą ekstrakt z lucyferii.

– Zjesz coś?

Anavri niechętnie skinęła głową. Po całym dniu na świeżym powietrzu była głodna jak wilk.

Kiedy usiedli do spóźnionej kolacji, w powietrzu zawisło zakłopotanie. Wracając myślami do kwestii czarnych monet, dziewczyna z goryczą musiała przyznać w duchu, że życie

prędzej czy później zweryfikuje wszystkie jej zasady. Albo będzie pragmatyczna, albo martwa.

Nie zamierzała jednak przeproszać za swój wybuch.

Potem dotarło do niej, że żmij przeprosin ani nie oczekuje, ani się ich nie spodziewa.

Był

niczym ogłuszony – jakby przeżył głęboki szok i jeszcze się z niego nie otrząsnął. Usiadł za stołem i patrzył w przestrzeń. Kiedy w czajniku zagotowała się woda, ocknął się. Zalał zioła dla siebie i dziewczyny, odczekał, aż napar dobrze naciągnie, zażył z herbatą solidną dawkę lucyferii i dopiero wtedy ukroił sobie chleba. Jadł wolno, niechętnie, wyraźnie z rozsądku. Anavri chciała spytać, co się stało tam na przełęczy, ale nie miała odwagi.

Dopiwszy herbatę, bez słowa poszła się położyć. Po zrywie, jakim było rozproszenie mgły, czuła się zaskakująco zmęczona i sen wkrótce otulił ją jak ciężki futrzany pled.

Rano po obudzeniu odkryła, że Krzyczącego nie ma w enklawie. Nie raczył zostawić

informacji, dokąd się wybiera. W kuchni na stole leżała jedynie karteczka o treści:
Drugi rozdział Liseniusa, przepytam cię jutro.

Wieczorem Anavri już prawie spała, kiedy Brune wreszcie wrócił. Półprzytomnie sięgnęła ku niemu zmysłami maga. Był zmęczony, ale cały i zdrow, co uspokoiło ją na tyle, że postanowiła nie wstawać. Przez mgłę półsnu słyszała, jak dokładał do pieca, a później krzątał się po kuchni, stukając

naczyniami.

Zbudziła się na dobre dopiero jakiś czas później, gdy przyszedł i położył się obok.

Wyczuła zapach świeżo wypalonego opium.

– Znowu? – spytała karcąco.

– Co?

– Dobrze wiesz co.

Brune wzruszył ramionami.

– Pogadamy, jak pożyjesz jeszcze kilka lat, młodsza siostrzyczko.

Anavri przełknęła ciętą odpowiedź, którą miała na końcu języka.

– Gdzie byłeś? – zmieniła temat.

– W interesach.

Miał na sobie domowe ubranie i lekko pachniał mydłem – zmysły maga nie potrafiły jej

powiedzieć, skąd wrócił. Pewnie znowu z jakiegoś paskudnego miejsca. Odepchnęła tę myśl.

– Anavri – dodał – nie podziękowałem ci jeszcze za to, co zrobiłaś wczoraj na przełęczu.

Dziękuję.

Odwróciła się do niego i wsparła na łokciu.

– Miło, że sobie przypomniałeś. – Nie mogła się powstrzymać od drobnej złośliwości. –

Nie ma za co.

Zwichrzył dłonią jej włosy, potem ją przytulił. Anavri zamknęła oczy, odchylając głowę

do tyłu. Nagle dotarło do niej, jak bardzo stęskniła się za jego dotykiem.

Ich usta spotkały się delikatnie. Brune pocałował ją w szyję; potem, nie pytając o zdanie,

rozsnuował jej koszulę. Oddychał nieco szybciej. Anavri zdała sobie sprawę, że czuje w jego aurze znajome, słodkie pragnienie,

udzielające się również jej.

– Zawsze sądziłam, że opium w tym przeszkadza – nie darowała sobie.

Prychnął.

– Nie aż tak.

Wzruszywszy ramionami, bez protestu wyswobodziła się z ubrania. Pozwoliła, by ją tulił,

chłonęła jego ciepło i sama stopniowo odprężyła się na tyle, żeby przestać myśleć. Był bardziej czuły niż zwykle i wiedziała, że to w pewnym sensie przeprosiny. Za monety i za to, co stało się na przełęczu.

Nie miała już śmiałości dopytywać się,

czy opium naprawdę nie zaszkodzi w tych okolicznościach. Rychło przekonała się, że nie zaszkodziło. Nie w wyczuwalnym dla niej stopniu.

Kwestia dawki – usłyszała trochę później rozbawioną odpowiedź Krzyczącego.

Nakryła dłonią blizny na jego policzku. Ze zdziwieniem uświadomiła sobie, że prawie nie czuje drzemiącej w nich czerni – może dlatego, że oboje byli teraz odprężeni, senni i szczęśliwi.

Nagle zamarła, bo zdała sobie sprawę, że odbiera jego uczucia wyraźniej niż kiedykolwiek. Coś więcej niż zachwyty jej ciałem i wilczą więź dwojga wyrzutków. Jednak coś więcej.

I ta świadomość, paradoksalnie,
przyprawiła ją o chłodny strach.

Rozdział 24: Cień szaleństwa

Nad enklawą zapadał zmierzch. Na trawie nad jeziorem rozsiadł się spasiony, włochaty, rogaty dusiołek z gołym zadem i piskał fałszywie na wierzbowej fujarce. Gdy usłyszał kroki, zastrzygł uszami i rozejrzał się ciekawie. Wytrzeszczył ślepia i mlasnął łakomie, czując zapach grzybów, a dopiero potem dostrzegł postać w czarnym odzieniu, o świecących źrenicach.

Żmij szepnął coś i powietrze wokół stwora zaiskrzyło się magicznymi wyładowaniami.

Dusiołek zaklął plugawie, wywinął
koziółka i znikł, pozostawiając po sobie tylko
piżmowy
smrodek.

– I nawzajem – mruknął za nim Brune.
Spędził kilka godzin w prozaicznym
ziemskim

lesie, w siąpiącym deszczu, szukając
muchomorów, które stanowiły główny
składnik odurzającej mikstury, jaką zamówił
u niego znajomy Marshii, felczer Denigis. W
jakim celu, w to już żmij nie wnikał, nie za to
mu płacono. Zmarznięty i zmęczony, marzył
tylko o tym, żeby ściągnąć

mokrą wierzchnią odzież i buty, ogrzać się
przy piecu, wypić gorącą herbatę i iść spać.

Nagle przystanął. Nad jeziorem i łączką
snuła się mgła. W zapadającym zmierzchu jej
pasma przywodziły na myśl sylwetki w
zwiewnych szatach.

Brune wziął głębszy oddech. Wróciły do niego obrazy, które ujrzał tam na przełęczy, zanim stracił przytomność.

W mrocznej, wysoko sklepionej sali tlą się pochodnie dające dziwne blade światło, podobne do księżycowego, lecz rozedrgane, co chwila przygasające. Ledwo trzymam się na

nogach i ledwo widzę; ból rozdziera mi twarz, kąsa jadowitymi zębami, lecz aura tego miejsca, gorąca od zapiekłego, nagromadzonego przez wieki cierpienia setek tysięcy dusz, dodaje mi sił.

Dziesiątki młodych kobiet w szarych strojach, zwiewnych jak mgła, obserwują mnie

lodowatymi niebieskimi oczami.

– Nie umarłeś – szepcze zakuty w zbroję demon, a jego ślepia płoną sino w szczelinie hełmu. – Przeprowadzono cię do mnie, flecisto. No cóż, widocznie tak miało być. Nie dostałem należnej mi duszy twego ojca, więc wezmę sobie twoją. Sprawiedliwości stanie się zadość.

Powiew wiatru niosącego drobniutkie krople mżawki przywrócił Krzyczącemu przytomność, choć nie do końca. Zawieszony pomiędzy rzeczywistością a wizją, zmij w rozpaczliwym odruchu wbił zęby w nadgarstek, a gdy to nie pomogło, płaską dłonią trzasnął się w twarz.

Opanuj się! To mara, złudzenie! Walcz z tym!

Ból pomógł; obrazy zniknęły, mgła znowu była tylko mgłą. Brune podniósł łubiankę z grzybami i pokonał ostatnich kilka kroków dzielących go od chaty, oddychając ciężko jak po wyczerpującym biegu.

Anavri siedziała przy stole w kuchni, ale na szczęście czytała księgę i nie spostrzegła, jaki jest roztrzęsiony. Usiadł przy piecu, otworzył drzwiczki i wpatrzył się w ogień, którego blask i błogosławione ciepło pomogły mu oprzytomnieć do reszty. Po jakimś czasie ochłonął na tyle, żeby nastawić wodę na herbatę, a kiedy dziewczyna wsunęła zakładkę między strony w księdze i spytała, po co mu łubianka muchomorów, zdobył się nawet na to, żeby odpowiedzieć jakby nigdy nic:

– Na paszteciki.

Żywił głęboką nadzieję, że incydent był jednorazowy – że to pokłosie wyczerpującego rytuału na przełęczy. Ale, jak się okazało, prawdziwe atrakcje dopiero miały się zacząć.

Nazajutrz Brune musiał się wybrać do Gyary – członkowie tamtejszego cechu grabarzy

zaopatrywali go, nielegalnie rzecz jasna, w tak apetyczne składniki eliksirów, jak zęby i

paznokcie zmarłych. Wracając z podłej karczmy położonej przy cmentarnym murze, która była

miejscem spotkania, w pewnej chwili przystanął zdziwiony. Po drugiej stronie ulicy zabijano deskami drzwi jednego z domów, a stojący na drabinie miejski pacholek malował na

zamkniętych okiennicach biały znak. Na chodniku rozmawiało dwóch dostojnie

wyglądających

mężczyzn, z których jeden, w długiej szacie i staromodnym birecie, był przypuszczalnie

lekarzem (w Gyarze medycy nie nosili, jak nad Zatoką Snów, czarnych szat z dwoma białymi

pasami u dołu). W pewnej odległości zebrała się grupka gapiów.

– Zaraza – objaśnił ponuro jeden z patrzących, barczysty typ w brudnej roboczej odzieży.

– Dwoje ich tam już pomarło, a reszta choruje. – Splunął i skrzyżował palce od uroku.

– Oby się to kurewstwo, uchowajcie bogowie, nie rozniosło – dorzucił krępy młodzieniec

w zakrwawionym fartuchu i z zakasanyimi rękawami, pewnie czeladnik rzeźnicki, który

wyszedł
z pobliskiego sklepu.

Brune oddalił się spiesznie, bynajmniej nie dlatego, że obawiał się zarazy. Zaczynało mu

się kręcić w głowie, miał wrażenie, że między nim a światem tężeje mętna szyba. Aż za dobrze znał to uczucie.

Przygryzając dłoń, żeby opóźnić bólem odpłynięcie w wizję, rozejrzał się gorączkowo.

Byle nie upaść, nie ściągnąć na siebie uwagi.

Zdażył usiąść na murku oddzielającym podwórze zaniedbanej kamienicy od niezabudowanej, zachwaszczonej działki. Chwilę później już stał na bezludnej ulicy, zasnutej dymem z tłących się stert suchych

liści i śmieci. Jak okiem sięgnąć, okiennice były pozamykane; na niektórych widniały wymalowane białe znaki, ostrzegające, że ktoś w tym domu choruje lub zmarł. Na rogu dwa psy obwąchiwały leżącą bezwładnie w rynsztoku postać – Deuven z tej

odległości nie mógł poznać, czy to pijak, czy trup.

Ale w tych domach, których właściciele nie wyjechali z miasta ani nie leżeli chorzy, życie toczyło się mniej lub bardziej normalnym trybem. Jak w starym drewnianym domku, przed którym teraz stał. Zza uchylonych drzwi sączył się zapach świeżo upieczonego ciasta, a z głębi, z kuchni dobiegały głucho uderzenia; służąca tłukła mięso na bitki czy kotlety. Brune-Deuven odruchowo dotknął policzka i wyczuł gładką skórę, bez żadnej rany. Zatem to działo się jeszcze przed śmiercią Faivrin.

Niziutka staruszka w schludnej sukni i
czepku rozmawiała z nim, co chwila
przytykając

do nosa ozdobny flakonik ze srebra;
medycy twierdzili, że dym, perfumy i wonne
olejki chronią przed morowym powietrzem.

Wiedział – pamiętał – że to krawcowa, u
której (twarz

Krzyczącego skurczyła się w tiku – nadal
nie umiał sobie przypomnieć jej imienia!)
jego

ukochana wynajmuje pokój.

– Tak, panienska żyje, dzięki bogom.
Pomaga w szpitalu przy chorych, sypia teraz
tam, bo

jej po nocy strach wracać przez miasto.
Widziałam ją wczoraj rano, przyszła
sprawdzić, czy

wszystko u nas w porządku.

Potem mętna szyba stopniała, a Brune

oklapł, oddychając ciężko. Trzęsącą się ręką sięgnął do kieszeni po woreczek i lufkę. Musiał zapalić opium. Teraz, już, natychmiast. Nie obchodziło go, że znajduje się w obcym, potencjalnie niebezpiecznym miejscu. Musiał się uspokoić, żeby móc wrócić do enklawy.

Gdyby incydent w górach był jednorazowy, Anavri może by go zbagatelizowała. Ale w kolejnych dniach stało się jasne, że z Krzyczącym dzieje się coś złego. A problem można było podsumować jednym jedynym słowem: opium.

Z dnia na dzień ewidentnie przekroczył niewidzialną granicę dzielącą okazjonalne palenie makowego świństwa od nałogu. Palił je teraz czasem po kilka razy dziennie, a jadł coraz mniej. Chudł niemal w oczach – jego twarz w przeciągu jednego tygodnia stała się ściągnięta, wyniszczona. Niby przez większość czasu był przytomny – przygaszony, o wolniejszych niż zwykle ruchach, ale nieodurzony na tyle, by ktoś z zewnątrz mógł to dostrzec. Z pozoru funkcjonował normalnie – prowadził z nią lekcje, warzył eliksiry i znikał, by dostarczyć je klientom. Jednak Anavri, która dobrze poznała go trzeźwego, widziała, że różnica jest porażająca. Przestał się uśmiechać. Przestał żartować. Czasem nie reagował, gdy do niego mówiła, tylko patrzył przed siebie szklanym wzrokiem. Mroziło ją to, lecz nie miała odwagi nic powiedzieć. Był od niej

starszy, bez porównania bardziej doświadczony. Co mogła zrobić, na litość?

Co gorsza, opium nie tłumaczyło wszystkiego. Nie wyjaśniało, czemu – mimo otępiającego działania narkotyku – aurę miał pełną napięcia i lęku. Czemu chwilami zachowywał się tak, jakby czuł się śledzony: oglądał się przez ramię, sprawdzał puste pomieszczenia w chacie, jakby nie ufał zmysłom maga. Czemu niekiedy szeptał do siebie, patrząc w przestrzeń.

Potem którejs nocy Anavri ocknęła się, słysząc podejrzaną szmer.

Brune siedział na krawędzi siennika i tasował karty. Twarz miał martwą. Coś

kazało

dziewczynnie odwrócić się do ściany,
udawać, że niczego nie widziała.

Szsz-szsz. Szsz-szsz. Odgłos tasowanych
kart jeszcze długo wbijał się w jej
świadomość,
nie pozwalając zasnąć.

Na tym etapie byłaby już skłonna
podejrzewać, że coś go opętało – gdyby nie
to, że

przecież była zmijką i wiedziała, że
zmysły maga jej nie zwodzą. Cokolwiek go
nękało, na

pewno nie pochodziło z zewnątrz. I było
to, szczerze mówiąc, marne pocieszenie.

Nazajutrz rano, kiedy weszła do kuchni i
zobaczyła, że Krzyczący siedzi przy stole z
lufką w ręku, nie wytrzymała.

– Co ty wyprawiasz? Boli cię coś? Jesteś chory?

Popatrzył na nią zamglonym wzrokiem.

– Jeśli zapach ci przeszkadza, wyjdź.

– Nie wyjdę. Chcę wiedzieć, po co się odurzasz!

– Źle się czuję, Anavri. Nie tobie jednej dar płata niemiłe figle.

Jawnie przyznał się do słabości – powinna wziąć to za dobrą monetę, ale intuicyjnie czuła, że nie powiedział całej prawdy. Miała ochotę trzasnąć go w twarz, żeby się

opamiętał.

– Gdyby teraz pojawiło się niebezpieczeństwo, byłbyś w stanie obronić enklawę?

Brune wystukał popiół z lufki i schował ją do kieszeni.

– Dziewczyno – westchnął – trochę więcej zaufania. Palę opium dłużej niż ty jesteś *ka-ira* i jeszcze żyję, jak widzisz.

Poszedł do pracowni, zaczął rozstawiać retorty na stole i na tym rozmowa się zakończyła.

Ale Anavri nie zamierzała dać za wygraną.

Rozważała zwrócenie się do Marshii, ale na razie powstrzymywała ją świadomość, że w

pierwszej kolejności powinna być lojalna wobec nauczyciela, którego bądź co bądź sama sobie wybrała.

Krzyczący do popołudnia pracował w oparach siarki, potem zaś, nie wiedząc kiedy, zniknął – oczywiście nie wspominając ani słowem, dokąd się wybiera i kiedy wróci.

Praczka, starsza kobieta, mieszkała w ubogim domku nad rzeką, wokół którego na

sznurach suszyło się mnóstwo bielizny i prześcieradeł. Na podwórku chudy, może dziesięcioletni chłopiec w połatanej odzieży obierał jarzyny, jednocześnie pilnując prania. W tej drugiej

czynności wspierał go wielki żółty pies, który na widok Anavri zjeżył się i zaczął warczeć.

Chłopak skarcił go surowo i przytrzymał za obrozę.

Anavri знаła od Krzyczącego historię tej rodziny. Córka praczki zmarła, rodząc trzecie dziecko, zięć pracował jako furman i, jak to furman, pił, przepijając większość zarobku. Dziećmi zajmowała się babka.

W izbie było gęsto od pary. Stojąca przy balii staruszka zaledwie zerknęła na przebraną

za chłopca Anavri, na uprzejme powitanie odpowiedziała mruknięciem. Otrzymane

pieniądze

schowała do stojącego na półce dzbanka z obtłuczonym uchem, po czym odgoniła klappsem

plączące się pod nogami najmłodsze, dopiero uczące się chodzić wnuczę. Nie dziwiła jej prośba, żeby koszule wrzucić od razu do szaflika z mydlinami, bo większość klientów prosiła o to samo.

Nawet prości ludzie wiedzieli, że jeśli odzież noszona wprost na ciele dostanie się w niewłaściwe ręce, można jej użyć na przykład do tego, żeby zesłać na właściciela chorobę.

Wyszędłszy stamtąd, Anavri ruszyła w górę błotnistej uliczki, obszczekiwana przez kundle, które węszyły wokół stert śmieci. Starła się zanadto nie rozglądać. Dzielnice biedoty zawsze napełniały ją smutkiem.

– Hej, chłopcze... – usłyszała nagle

ochryply głos. – Miedziaka na chleb...

Obejrzała się i zeszywniała.

Pod murem pobliskiego domu siedział wychudzony ciemnowłosy mężczyzna w łaachmanach. Niestary, choć zaropiałe oczy i zapadnięte, bezzębne usta dodawały mu lat. Wyciągnął w jej stronę trzęsącą się dłoń.

– Na chleb... – powtórzył.

Dzięki darowi Anavri bez trudu wyczuła w jego aurze charakterystyczne, senne spowolnienie wywołane narkotykiem.

Poczuła, że do oczu napływają jej łzy. Opanowała się z wysiłkiem. Rzuciła mężczyźnie

monetę i spiesznie odeszła.

Wróciwszy do enklawy, ruszyła szukać Krzyczącego. Wiedziała, gdzie go znajdzie; melancholijne dźwięki fletu niosły się z wiatrem.

Żmij siedział na kamieniu nad jeziorem i grał coś trudnego z rozłożonych na trawie nut.

Lekki wiatr rozwiewał mu włosy. W wodzie odbijały się kolory nieba – w enklawie była pora zachodu słońca. Dziewczyna wiedziała z doświadczenia, że kiedy Krzyczący gra, nie należy mu przerywać, więc cierpliwie odczekała, aż wybrzmi ostatnia fraza powolnej, smutnej melodii.

– Hej – odezwała się, kiedy skończył.

Odwrócił się powoli i popatrzył na nią niewidzącym, szklanym wzrokiem. Zmroziło ją.

– Brune?...

Pokręcił głową, jakby budząc się ze snu.

– Ach, to ty. – Uśmiechnął się jakby z przymusem. Kącik ust drgnął mu w tiku. – Wróciłaś tak szybko?

– Szybko? Już prawie wieczór.

– Co ty powiesz? – Popatrzył ze zdziwieniem na czerwieniejące niebo i pokręcił głową. –
Zupełnie straciłem poczucie czasu.

Wyjął z kieszeni szmatkę oraz cienki metalowy pręcik i zaczął wycierać wnętrze fletu ze

skroplonej wilgoci. Anavri kątem oka dostrzegła poruszenie w kosodrzewinie i odwróciła się

szybko. Zdążyła dostrzec, jak dwie mgliste sylwetki o rozwianych włosach ulatują wraz z podmuchem wiatru.

– Burzowe córki – powiedziała. –
Widziałeś?

– Czasem zjawiają się, żeby posłuchać –
odparł ze wzruszeniem ramion, jakby była to najnormalniejsza rzecz pod słońcem.
Schował flet do futerału i zebrał z trawy arkusze nut. –

Chodź. Masz ochotę coś zjeść?

Potaknęła, przełykając ślinę. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że od śniadania minęło

zdecydowanie zbyt dużo czasu. Cóż, tu nie dysponowali towarzystwem Zazela, który nie tylko

korzystał z każdej okazji, żeby skonsumować coś smacznego, ale również pilnował, aby wszyscy wokół jedli o regularnych porach.

– Jest zimna pieczona baranina – poinformował Brune, po czym przestał się odzywać i

zatonął w rozmyślaniach. Dziewczyna zrezygnowała z prób zagadywania go.

Stłumiła chęć,

żeby kąśliwie spytać, czy przy okazji wizyty w materialnym świecie uzupełnił też zapas

makowej trucizny.

Wrócili do chaty. Pieczeń okazała się smaczna, z ziołami; były też świeży chleb, masło i

marynowane oliwki, ale Anavri mimo głodu przełykała z trudem. Nie umiała przestać myśleć o zebrzącym nieszczęśniku z Gyary.

Mimochodem zauważyła, że w kuchni panuje ład, a zapas poukładanych obok pieca szczap, których rano zaczynało już brakować, znów urósł. Ogień trzaskał w palenisku, pochłaniając świeżo dołożone drewno. Byłoby miło i przytulnie, gdyby nie...

Gdyby nie narastający w niej strach, że to wszystko jest równie nietrwałe jak bańka mydlana.

Krzyczący jadł w milczeniu, a potem wsparł głowę na rękach, wyraźnie błędząc myślami

gdzieś daleko. Ale był trzeźwy i wydawał się spokojny, jakby zyskał chwilę wytchnienia od tego czegoś, co go dręczyło w ostatnim czasie. Anavri w końcu odważyła się wypowiedzieć na głos

pytanie, którego dotąd nie potrafiła mu zadać.

– Brune, powiedz mi, ale tak szczerze, co ci jest?

Przetarł twarz i spojrzał na nią jak obudzony ze snu.

– To znaczy?

– Wiesz, o czym mówię.

Pokręcił głową.

– Nie zrozumiałabyś.

– Czemu?

Nieoczekiwanie pocałował ją w czoło.
Wyczuwała w jego aurze smutek i coś jeszcze

–
coś chłodnego, twardego, co kojarzyło się
jej z zamkniętymi na kłódkę drzwiami.

Bariera.

Zadbał o to, by nie mogła niczego
wyczytać z jego myśli, nawet przypadkiem.

– Nie zrozumiałabyś, siostrzyczko –
powtórzył. – Nie bój się. Wszystko będzie

dobrze.

Wstał i poszedł do sypialni, więc Anavri również. Po cichu liczyła jeszcze na przyjemne

zakończenie wieczoru. Kiedy Krzyczący sięgnął po woreczek z brunatnymi grudkami, miała

ochotę odwrócić się na pięcie, wybiec na dwór i się rozpłakać.

– Nie pal dziś tego świństwa – powiedziała. – Proszę.

Ignorując ją, przywołał płomyk, żeby ogrzać lufkę. Anavri usiadła na sienniku. Z zaciśniętymi zębami patrzyła, jak Brune wdycha słodkawy dym, a jego spojrzenie powoli staje się zamglone, otepiałe.

– Co byś zrobił, gdybym poprosiła, żebyś mnie poczęstował? – spytała zaczepnie.

Wzruszył ramionami.

– Odmówiłbym.

– Wiesz, a sam co robisz?...

– Kiedy nie potrzebuję, nie palę – mruknął. Anavri patrzyła na niego z rezygnacją.

Wiedziała, że Brune za nic w świecie nie przyzna, że ma problem z opium, a co dopiero, że jest chory.

I co ja powinnam z tym zrobić, do cholery? Powiedzieć Marshii? Co to da? Zwłaszcza teraz...

Krzyczący odłożył lufkę z pozostałościami niedopalonej działki. Przesunął dłonią po policzku dziewczyny, objął ją. Jego ubranie i włosy przesiąkły przeklętym kadzidlany aromatem.

Mimo to Anavri nie znalazła dość silnej woli, żeby się odsunąć.

Przytuliła twarz do jego twarzy, nie zwracając uwagi na tygodniowy zarost.

Przypomniała sobie, jak pewna była jeszcze niedawno, że wszystko jest dobrze, że w pewnym

sensie los nawet się do niej uśmiechnął. A teraz chłodny, rzeczowy głos szeptał jej, że jeśli Brune jakimś cudem się nie otrząśnie i nie zacznie walczyć z nałogiem, wkrótce

trzeba będzie się zastanowić, co dalej.

*Gdyby pił, nie zastanawiałabyś się,
prawda?*

Żmij puścił ją i wyciągnął się na posłaniu.
Jego oddech wkrótce stał się spokojny,
miarowy – opium i zmęczenie zrobiły
swoje.

Anavri odczekała jeszcze chwilę, by mieć
pewność, że go nie obudzi, potem ostrożnie
wstała. Zabrała swój koc i przeszła do
kuchni. Czuła, że zaczyna ją dławić niemy,
niewysłowiony ból.

Dotarło do niej to, co kiedyś w gniewie
rzuciła Marshia o byciu *ka-ira* – że albo
giniesz młodo, i tak jest może łatwiej, albo
patrzysz przez całe życie, jak ludzie umierają

wokół ciebie. I że na końcu każdej ścieżki
zawsze pozostanie sama.

Skulona na ławie przy stygnącym piecu,
płakała cicho, aż zabrakło jej łez.

Śniła, że spaceruje z Fabieniem nad
brzegiem szarego morza, pod pochmurnym
niebem, a

w górze, skwirząc, krążą mewy. Brat miał
na sobie czarne ubranie i śnieżnobiałą koszulę
z

koronkowymi mankietami, twarz
sinoblada, a oczy ciemne i puste – bez białek,

bez tęczywek,

bez niebieskawego błysku w źrenicach.

Wiedziała, że jest martwy, ale cieszyła się, że znów go widzi, choćby przez chwilę.

– Pamiętaj, siostrzyczko, nigdy nie zostaniesz sama. Ja będę z tobą już zawsze – powiedział w pewnej chwili, uśmiechając się w sposób, który wzbudził w Anavri niepokój.

Potem pogładził ją po policzku chłodną dłonią, a ona zbudziła się, dygocząc, zmarznięta

mimo grubego wełnianego koca.

Gdy przypomniała sobie poprzedni wieczór, do oczu znów napłynęły jej łzy.

Pomyślała

gorzko, że dałaby wszystko, by móc wrócić do domu – do willi w Shan Vaola albo

do wiejskiej posiadłości nad morzem...
Wiedziała jednak, że to nie wchodzi w grę.
Srebrni czuwali, nie mogła ściągać
zagrożenia na ojca. Zresztą nie wiedziała
nawet, czy przebywa teraz w Shan Vaola, czy
dokądś wyjechał.

Wyjrząwszy przez okno, przygryzła
wargę, widząc, że wszystko tonie w mleku.
Odkąd

Brune zaczął chodzić odurzony od rana do
wieczora, coś dziwnego działo się z pogodą w
enklawie – z gór coraz częściej schodziły
mgły i wisiały nad jeziorem przez większość
dnia.

Drgnęła, kiedy drzwi się otworzyły i
Krzyżący wszedł do kuchni, przecierając
oczy.

Włosy miał zmierzwione, a spojrzenie
nieprzytomne. Nie patrząc na dziewczynę,
bez słowa jął

układać drwa w piecu. Podłożył garść
połamanych drobniejszych gałązek oraz
brzozowej kory i wyszeptanym słowem
sprawił, że podpałka zajęła się ogniem.
Przymknął drzwiczki, za którymi
płomienie coraz bardziej łakomie lizały
drewno, otrzepał ręce, usiadł przy stole i tępo
zapatrzył
się przed siebie.

Anavri z daleka wyczuła otaczającą go
mgiełkę słodkawego zapachu i poczuła, że jej
smutek przemienia się w zimną
wściekłość.

– Palileś? Znowu?

– Daj mi spokój – powiedział
bezbarwnym tonem. Przetarł twarz, pokręcił
głową, po
czym wstał i wziął puste wiadro, żeby

przynieść wody.

Anavri biła się z myślami. Instynkt podpowiadał jej, żeby zrobić awanturę, potrząsnąć

nim, sprawić, żeby się wreszcie opamiętał. Jednak cierpka intuicja zmijki szeptała, że co jak co, ale tupanie nóżką tu nie pomoże.

Dlatego reszta poranka upłynęła w napiętym, lodowatym

milczeniu – przynajmniej z punktu widzenia dziewczyny, bo otumaniony narkotykiem Brune był

znieczulony na niuanse.

Śniadanie zjadła sama – on, oczywiście, nie przełknął ani kęsa, napił się tylko herbaty.

Kiedy Anavri usiadła później na ławie z księgą i usiłowała się uczyć, na chwilę zajrzał do

kuchni, mówiąc:

– Mam sprawy do załatwienia. Wrócę wieczorem.

Fakt, że – jeśli pominąć mętne, szkliste spojrzenie – ubrany schludnie, w świeżej koszuli

i z porządnie związanymi włosami, wyglądał teraz normalnie, jeszcze rozjątrzył w niej

wściekłość. Udawał zdrowego tak przekonująco, że oszukiwał nawet samego siebie.

Do wieczora emocje Anavri zdążyły przygasnąć, przemienić się w rezygnację.

Brune

znowu wrócił późno. Cały i zdrowy. Nie zagadywała do niego, nie miała siły.

Odnutowała

jedynie, że tym razem położył się spać, nie sięgając po narkotyk.

Nie dziś, to jutro – pomyślała ponuro.

Nazajutrz rano ocknęła się na pustym sienniku. Kiedy poszła do kuchni, Brune siedział

przy stole, ubrany tak, jakby było mu zimno – w kurtce narzuconej na tunikę. Nie napalił w

piecu, ale drzwiczki stały otworem, a obok leżało drewno, jakby zabrał się do rozpalania i coś mu przerwało. Włosy miał mokre po kąpieli w jeziorze, a spojrzeniem, jakżeby inaczej, błędził

w nicości. W Anavri znowu wezbrała
bezsilna kobieca wściekłość.

– Słuchaj no...

Nawet się nie obejrzał. Szeptał coś,
patrząc w przestrzeń, zupełnie jak Lorraine,
gdy
spadały na nią wizje.

Anavri zacisnęła pięści, czując, że coś w
niej pęka. Choć nie była tego świadoma, w jej
źrenicach zapełgały sine ogniki. *Dość
tego. Mam dość, Brune. Nie wiem, co ci
zrobię, ale przysięgam, że...*

I w tejże sekundzie coś sobie
uświadomiła. Wbrew temu, co pomyślała w
pierwszej
chwili, Brune wcale nie był pod wpływem

opium. Tego ranka jeszcze nie wypalił ani odrobiny.

Nie zażył też żadnego innego specyfiku. Zmysły maga nie mogły kłamać w tej kwestii. Był

trzeźwy. I szeptał do siebie, rozmawiając z powietrzem.

Kiedy Anavri to sobie uzmysłowiła, spłynęło na nią chłodne olśnienie. Zamarła, nareszcie łącząc fakty w całość. Dotąd składała wszystkie dziwne zachowania Krzyczącego na

karb opium, ale teraz przecież nie był pod wpływem narkotyku – czuła to zmysłami maga! – a mimo to...

Dopiero teraz dotarło do niej, że opium może wcale nie być przyczyną problemu, tylko

rozpaczliwą – i z góry skazaną na

niepowodzenie – próbą radzenia sobie z nim.

Pobiegła do pracowni. Na podłodze stał częściowo rozmontowany zestaw do destylacji

oraz wiadro z mydlinami, w którym moczyły się brudne szklane naczynia. Zaczęła przepatrywać półki w poszukiwaniu grymuaru Loebiusa. Znajdował się tam rozdział o zagrożeniach

związanych z czernią, który tylko raz przejrzała; nie czytała go w całości, bo traktował o

rzeczach, nad którymi wolała się nie zastanawiać.

Znalazłszy księgę, przerzucała strony, dopóki nie odszukała właściwego fragmentu.

Przeczytawszy go, długą chwilę siedziała bez ruchu.

Wszystko pasowało. Przyzwyczajona ufać Krzyczącemu i traktować go jak autorytet, zignorowała kiełkujące objawy choroby, o której wiedziała niewiele, ale dość, by panicznie się jej bać. Szaleństwo czarnych magów, choroba głosów.

Ta wiedza paradoksalnie ją uspokoiła. Znając wroga, łatwiej z nim walczyć. Anavri jeszcze przez chwilę zbierała myśli, przygotowując się mentalnie do tego, co musiała zrobić, a potem wróciła do kuchni. Krzyczący nadal siedział bez ruchu, gapiąc się w przestrzeń. Stała przy nim.

– Brune?...

Tym razem się ocknął. Zamrugał i powoli odwrócił się do niej.

– Tak?

– Posłuchaj mnie, tylko się nie złość – ciągnęła, zmuszając się, żeby mówić cicho i spokojnie. – Wiem, na co jesteś chory.

– Nie jestem chory! – zachnął się, przytomniejąc w mgnieniu oka.

– Jesteś. Potrzebujesz pomocy. Proszę cię, powiedz o wszystkim Marshii. Ona będzie wiedziała, jak...

– Nie jestem chory! – powtórzył z gniewem. – Psiakrew, nic nie rozumiesz!

Przetarł dłońmi twarz i wziął głęboki oddech.

– Anavri, jeśli chcesz, wróć do Marshii.
Ale proszę, nie mów jej, że coś jest nie tak.

Powiedz, że cię odesłałem na kilka dni, że pracuję.

– Nie. – Ujęła go za ramiona, zmuszając, żeby popatrzył jej w oczy. – Nie ma mowy.

Nie

zostawię cię tu w takim stanie.

Strząsnął jej rękę.

– Niby w jakim? O co ci chodzi, psiakrew!? Wyglądam jak ktoś, kto sobie nie radzi? –

Wstał. Anavri patrzyła na niego ze smutkiem. Na końcu języka miała odpowiedź: „Tak, Brune,

wyglądasz”. Przez ostatni tydzień czy dwa wychudł tak, że przypominał szkielet. Oczy

miał

zaczerwienione i podkrążone, twarz ziemistą, dłonie mu dygotały.

– Jeśli chcesz, wróc do Marshii – powtórzył. – Ale proszę, nie mów jej.

– Potrzebujesz pomocy! – krzyknęła. – Niech to w końcu do ciebie dotrze! Nie dość, że

jesteś uzależniony od przekłętego opium, to jeszcze zaczynasz wariować od daru!

Roześmiał się zimno.

– Anavri, widziałaś kiedyś kogoś, kto naprawdę ma problem z opium? Albo z lucyferią,

wódką czy czymkolwiek innym? – Wziął ze stołu sakiewkę i potrząsnął nią. – Proszę,

należność za lisi olejek naszykowany dla
cechu złotników w Ponte Auria! Zrobione i
oddane na czas!

– Tak, widziałam, jaki wczoraj byłeś
przytomny, kiedy się wybierałeś do
materialnego
świata. Uważaj, bo jak uśniesz na ulicy, to
jeszcze znów cię jacyś śmieciarze przygarną
–
wypaliła, nim zdążyła pomyśleć.

Żrenice Krzyczącego zapłonęły. Zważył
sakiewkę w dłoni, po czym z całej siły cisnął
nią
o ścianę. Monety z brzękiem posypały się
na podłogę. Bez słowa wyszedł z kuchni, po
drodze
rąbnawszy jeszcze pięścią we framugę.
Drzwiami nie trzasnął, bo były podparte
kawałkiem
drewna, żeby nie zamykał ich przeciąg.

Anavri wypuściła wstrzymywany oddech. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że nieświadomie postawiła tarczę. Rozproszyła czar, zastanawiając się, czy Brune mógłby do tego stopnia stracić panowanie nad sobą, żeby ją zaatakować. Czy powinna się go teraz bać.

Tylko tego mi brakowało. Zbierało się jej na płacz.

Rozdygotany i wściekły, Krzyczący

wszedł do pracowni i uaktywnił portal w zwierciadle. Naprawdę ostatnie, na co miał teraz ochotę, to tłumaczenie kolejnej osobie, że nie jest chory na to, co wszyscy próbują mu wmawiać, i nie potrzebuje leków wy tłumiających dar.

Nie słyszę głosów! Nie mam dziwacznych urojeń! Jestem w stanie jasno myśleć i wystawić się do rzeczy!

A potem tknęła go chłodna, trzeźwiąca myśl.

Nieważne, jak nazwiesz chorobę. Ważne, jakie są jej skutki.

Wkroczył w portal, nie podając zwierciadłu celu podróży, zdając się na dar.
Gdy

otworzył oczy, ujrzał, że stoi na brzegu leniwie płynącej, brudnej rzeki, a po obu jej stronach wznoszą się ubogie drewniane domostwa. Gyara. Miejsce równie dobre jak każde inne.

Naciągnął kaptur dla ochrony przed siąpiącym deszczem i szedł przed siebie brzegiem

wody, póki nie ochłonął do reszty. Dotarło do niego, że jeśli on sam jest przerażony, to trudno, żeby Anavri się nie bała, nawet jeśli bała się nie tego, co trzeba.

Sam przed sobą musiał to przyznać: było coraz gorzej. Mroził go strach, że lada dzień zatraci kontakt z rzeczywistością, odpłynie już na stałe za tę mętną szybę, która coraz częściej odcinała go od świata. Znowu będzie poruszającą się niemrawo kukłą, pozbawioną zdolności myślenia, niepotrafiącą sklecić zdania.

Pamiętał, jak odzyskał świadomość w podziemiach Shan Vaola, wśród odmieńców, którzy go przygarnęli zagłodzonego i w łachmanach – nigdy się nie dowiedział, po ilu tygodniach czy miesiącach błąkania się. Pamiętał, z jaką zgrozą i obrzydzeniem odkrywał, dokąd trafił, jak dokumentnie się stoczył. Sam wiedział najlepiej, jak bardzo boi się powtórki; że kiedyś znów ocknie się w jakimś obcym mieście, samotny, bez niczego, z szarą plamą zamiast wspomnień. Albo się nie ocknie, tylko resztę życia spędzi, błąkając się po gościńcach, brudny, zawszony, obdarty i otepiały.

I opium w tym wszystkim było naprawdę najmniejszym problemem. Palił je, bo po nim czuł się spokojniejszy i – paradoksalnie – bardziej przytomny. Bo pomagało zapanować nad

gonitwą myśli, nad lękami, bo pozwalało pracować i pomagało zasnąć. Gdy przestanie go

potrzebować, odchoruje kilka dni złego samopoczucia i tyle. Ćwiczył to już.

Wiedział, że potrzebuje pomocy, ale nie miał pojęcia, jak ją uzyskać. Teoretycznie istniały dwie czy trzy osoby, do których mógł się zwrócić o radę, ale przewidywał, co usłyszy –

leki. Leki wytlumiające dar. A to nie było żadne rozwiązanie.

– To nie jest żadne rozwiązanie! – powiedział na głos i aż się wzdrygnął, a potem

rozejrzał z niepokojem, ale w zasięgu wzroku nikogo nie było. Znajdował się akurat obok

poczerniałego ze starości pomostu, do którego uwiązano dwie łódki. Rzeka z cichym

chlupotem lizała pale. Zdał sobie sprawę, że odruchowo sięga darem w przestrzeń, poszukując śladów obcej obecności, tego chłodnego, niemile znajomego poczucia, że ktoś go śledzi.

Wzdrygnął się i czym prędzej zawrócił. Wspiął się po błotnistej skarpie i ruszył wydeptaną w pokrzywach ścieżką w stronę ulicy. Chciał do ludzi – to dziwne, ale wśród nich czuł się bezpieczniej.

Prawie potknął się o chrapiącego wśród chwastów typa w łachmanach, obok którego leżała pusta butelka. To mu przypomniało, gdzie przebywa, i sam spowił się iluzją, przybierając postać brudnego żebraka. Nie był w nastroju na konfrontację z miejscowymi, łakomiącymi się na jego porządne ubranie albo buty. A potem pomyślał, że w zasadzie, skoro już tu się

znalazł, to równie dobrze może uzupełnić
zapas makowej trucizny – w Gyarze miał jej
sprawdzone, tanie
źródło.

Odnalazł na wpół zrujnowaną
kamieniczkę, gdzie w suterenie mieściła się
palarnia

opium, i dokonał na zapleczu transakcji z
właścicielem – sędziwym, zasuszonym jak
mumia

Nedgvarczykiem. Jak było do
przewidzenia, unosząca się w przybytku
słodkawa woń dymu

obudziła w zmiju znajome, dojmujące
pragnienie, lecz je stłumił.

*Nie tutaj, na litość. I na ulicy też nie.
Odrobina samokontroli, na to cię jeszcze
chyba stać.*

Pospiesznie opuścił palarnię, starając się nie patrzeć na wychudzone, niechlujne postacie,

które kuliły się na pryczach, pociągając z fajek. Dotykając schowanego pod kurtką skórzanego woreczka, pomyślał ironicznie, że opium o zachodzie słońca w enklawie to nie najgorszy plan na wieczór, zwłaszcza że Anavri jest na niego wściekła.

Ale los chciał inaczej.

Wracając, Krzyczący w pewnej chwili ujrzał snujący się błękitnawy dym i poczuł gryzącą woń palonego papieru. Rozglądając się w poszukiwaniu jej źródła, stanął jak wryty.

Jego wzrok padł na murowaną kapliczkę, gdzie stał posązek bóstwa w długich szatach,
z

obliczem zniszczonym przez deszcze i mrozy – może Araya, może Leleya, może

Sabel. U stóp

figury leżał zwiędły bukiecik oraz
karteczki z wypisanymi modlitwami, których
całą garść,

zgodnie ze starym obyczajem, złożono w
żelaznym koszyczku i podpalono. Jedne tliły
się

jeszcze, z innych pozostał jedynie siwy
popiół, rozwiewany przez wiatr.

Popiół...

Brune zdążył tylko poczuć chłodne
ukłucie strachu, nim od rzeczywistości znów
odgrodziła go mętna szyba.

*Popiół pokrywający dłonie, palce...
osypujący się szarawymi płatkami...*

Na moment oparł się o drewnianą ścianę

najbliższego domu, oddychając ciężko. Potem ruszył dalej – teraz chwiejnym, niepewnym krokiem, lekko się zataczając.

Iluzja się nie

rozwiąła, więc dwóch zbirowatych typów, którzy wyłonili się zza rogu, minęło go bez drugiego spojrzenia. Ot – pijany bezdomny włóczęga, jeden z wielu.

Żmij w ogóle ich nie zauważył.

Nogi ugiwały się pod nim, więc usiadł na bocznych schodach jakiegoś budynku, pod poskrzypującym na wietrze szyldem golibrody, obejmując się ramionami. Ręce mu dygotały.

– Pamiętam – wyszeptał do siebie, a w oczach zabłyśły mu łzy.

Pamiętał.

Nie mógł sobie tylko przypomnieć jej imienia.

Była adoptowaną córką nieżyjącego już alchemika. Zarabiała na życie, kopiując stare pergaminy i księgi pisane ideogramami, których nie można powielić techniką drukarską.

Pamiętał jej niebieskie oczy, skromne czarne suknie, drobne dłonie poplamione

atramentem. Jej głos, kiedy bez
zająknięcia czytała fragmenty starożytnych
traktatów
medycznych, kronik i przypowieści o
bogach.

Nie mógł sobie przypomnieć jej imienia
ani tego, kiedy ją poznał – może na studiach,
może później... Miał niejasne wrażenie, że
nie pochodziła z Ri Talma i że w jego
wspomnieniach brakuje kluczowych
elementów, bez których to, co teraz widzi, to
ledwie kilka odłamków ze
strzaskanego witrażu. Narratyw, z którego
wycięto główny wątek, pozostawiając
pojedyncze
wyrwane z kontekstu epizody.

Pamiętał za to czystą lnianą pościel na jej
łóżku, zapach brzoskwiń i kwiatu
pomarańczy
– perfum, które dla niej sporządził. A

także noc w pierwszym tygodniu po wybuchu zarazy,

kiedy obcięła warkocz i spaliła go w kominku, wypowiadając formuły w języku, który nie był

mową magów. Czar ochronny, tak jak krąg soli z trzema świecami; na tyle prosty, by mogła go użyć nawet fałszywa magini – bo daru nie posiadała, tego był prawie pewien.

Ale nie obawiała się jego źrenic.

I pamiętał okoliczności, w jakich zmarła.

Przyszedł do niej bezpośrednio po pogrzebie Faivrin, do izby, którą wynajmowała na

przedmieściu, tak jak przychodził wcześniej już nieraz. Właścicielka domu potrzebowała

pieniędzy z czynszu i nie interesowało jej,
z kim spotyka się milcząca, nosząca żalobę
lokatorka

– tak długo, dopóki był to jeden
dyskretnie się zachowujący mężczyzna, a nie
co noc inny.

Szczęśliwie dzięki darowi rana na
policzku, która u zwykłego człowieka
niechybnie

zaogniłaaby się, powodując gorączkę,
może nawet zagrażając życiu, Deuvenowi nie
doskwierała

aż tak bardzo. Odpowiednio dobrane
zakłęcie zastąpiło szwy. Oko mu zapuchło, a
mówiąc, z

trudem poruszał ustami, ale makowa
żywica tłumiała ból.

Nie wiedział, czy zastanie dziewczynę –
wiedział, że poprzednie dni spędziła w
szpitalu,

pomagając przy chorych, jak wiele innych ochotniczek, które nie posiadały rodzin.

Zastał.

Leżącą na łóżku w ubraniu, ledwie żywą, płonąącą od gorączki i z oczami powleczoneymi

mleczną, lśniąca błoną. Łamanym głosem bredziła coś o demonie, który sprowadził zarazę na

miasto, o walce, o tym, że został pokonany... Gospodyni, która bała się nawet wejść do pokoju, wyjąkała jedynie, że poprzedniego wieczoru panienka była jeszcze zdrowa. To znaczyło, że jest bardzo źle; gdy choroba rozwijała się tak błyskawicznie, ślepica zabijała zwykle w ciągu dwóch dni, najdalej trzech.

Deuven podjął jedyną decyzję, jaka wchodziła w grę – został, żeby zaopiekować się

chorą. Wciąż jeszcze jak ogłuszony po śmierci Faivrin, oszołomiony opium, które

palił od czasu jej pogrzebu, żeby móc jakoś funkcjonować – nie myśleć, nie rozpamiętywać, nie czuć – działał

teraz z pozoru trzeźwo, spokojny i opanowany. Skupił się na tym, żeby ulżyć umierającej. Nie miał yadhmarskiej kory – zapasy w miejskich aptekach skończyły się już dawno – więc żeby

obniżyć gorączkę, musiał poprzestać na najprostszycyń srodkacl. Zimne okłady na czoło, szyję i dekolt, pojenie chłodną wodą.

Rychło pojął, że przegra tę walkę i że przegra ją już wkrótce. Stan dziewczyny pogarszał

się z godziny na godzinę. Oddychała z coraz większym trudem, chrapliwie. Co jakiś czas

dopadał ją suchy, uporczywy kaszel, po którym długo nie mogła złapać tchu.

Potem majaki powróciły. Bredziła o szarej

krainie, o wietrze, który sypie w oczy
popiołem. Po jakimś czasie uspokoiła się;
wydawało się, że zasnęła. Deuven wiedział
dostatecznie dużo na temat ślepiczy, by się
nie łudzić, że to oznaka polepszenia.

Położył się obok chorej, objął ją
delikatnie. Nic innego nie mógł zrobić.
Zamknął oczy.

Był tak piekielnie zmęczony.

Choć później miał tego nie pamiętać, śnił
o mgle. Otulała cały świat, zimna i
nieprzyjazna. Wędrował przez mgłę,
nawołując, lecz nie odpowiadało mu nawet
echo.

Gdy się ocknął, w pierwszej chwili poczuł
się zdezorientowany. Nie mógł zrozumieć,
czemu czuje coś sypkiego pod palcami i
na twarzy. Potem stopniowo dotarła do niego

okropna

świadomość, że dziewczyna nie oddycha.
Otworzył oczy.

Trzymał w ramionach coś
przypominającego niekształtną kukłę,
ulepioną z popiołów...

Krzyknął zduszonym głosem i puścił to, a
wtedy rozkruszyło się do szczętu, rozsypało
w proch.

Brune ukrył twarz w dłoniach i płakał
bezgłośnie, bez szlochu, tylko ramiona mu
drżały.

Anavri nie oczekiwała, że zmij po kłótni szybko wróci. Gdy nie pojawił się wieczorem, z irytacją pomyślała jedynie, że widocznie obraził się bardziej, niż sądziła. Ale rano, gdy się zbudziła, w chacie nadal było pusto. A kiedy poszła do kuchni i nie znalazła tam żadnych śladów nocnej bytności właściciela, naprawdę się zaniepokoiła.

Poszła do pracowni i po dłuższym zastanawianiu się nad formułami nakłoniła zwierciadło, aby pokazało ostatni cel podróży. W tafli ukazały się podle wyglądające drewniane domy nad rzeką o leniwym nurcie. Gyara.

Myśl logicznie, dziewczyno. Jeśli wybrał się tam odurzony opium, teoretycznie mogło go spotkać wszystko – od napaści

rzezimieszków poczynając, a skończywszy na
wpadnięciu w ręce

srebrnych magów. Ale jeżeli stało się
najgorsze, to i tak nie można mu już pomóc.

A jeśli po prostu po raz kolejny zatracił
kontakt z rzeczywistością, wszedł w ten
dziwny, podobny do

transu stan, który nie dawał się
wytłumaczyć samym tylko działaniem
narkotyku, może jeszcze
nie jest za późno.

Pomyślawszy nad tym chwilę, Anavri
uspokoila się. Szybko skompletowała
ekwipunek.

Szarfa z symbolami, ukryta pod tuniką.
Sztylet, iluzja na twarz.

*Jeśli się okaże, że od wczoraj palisz
opium w jakiejś speluncie, straciwszy rachubę
czasu, przysięgam, że obedrę cię ze skóry.*

Z bijącym sercem stanęła przed
zwierciadłem, wyszeptała formułę
uaktywniającą portal,
po czym wkroczyła w wirujący chaos
kolorów.

Gdy świat wokół niej ponownie ułożył się
w materialne kształty, ujrzała, że znajduje się
na przedmieściu Gyary. Naokoło wznosiły
się ponure domy czynszowe o śmierdzących
podwórkach, a ulicę pokrywało grząskie,
obrzydliwe błoto. Dwie świnie ryły w stercie
odpadków.

Anavri przymknęła oczy, uspokajając
bijące serce. Przebadła otoczenie zmysłami
maga,
stopniowo sięgając coraz dalej, cofając się
z obrzydzeniem, ilekroć wewnątrz
obskurnych
domostw natrafiała na jaźnie

mieszkańców. Biedota i szumowiny, pijacy, prostytutki... Nagle drgnęła.

Brune znajdował się gdzieś w pobliżu, bliżej niż się spodziewała. Żywy i zdrów – przynajmniej fizycznie. Skupiła się, próbując określić kierunek.

Tam.

Ruszyła przed siebie z przymkniętymi oczami, całkowicie skupiona na śledzeniu ulotnego tropu, odbierając rzeczywistość jako srebrzysto-czarny wzór aur. Pozwoliła, by jej stopy instynktownie wybierały drogę; dar na szczęście w takich sytuacjach przejmował

prowadzenie i nie płatał brzydkich figli, nie musiała się obawiać, że za chwilę się potknie i wyląduje na czworakach w zmieszonym z nieczystościami błocku.

Skręciwszy za róg, otwarła oczy i stanęła jak wryta.

Krzyczący siedział bez ruchu w załomie muru pod daszkiem, przygarbiony, ze zwieszoną

głową. Był zamaskowany iluzją nadającą mu pozory żebraka, ale czar trzymał się tak słabo, że przysł, gdy tylko Anavri uklękła obok. Brune, choć musiał wyczuć jej obecność, nie poruszył się.

Mokre od deszczu włosy zasłaniały mu twarz.

– Co z tobą? – spytała gwałtownie dziewczyna.

Popatrzył na nią błędnym, wystraszonym wzrokiem. Na jego policzkach lśniły smugi

łez.

Patrząc w jego przerażone oczy – jak u sarny osaczonej przez myśliwych – Anavri zmartwiała.

Była w zasadzie pewna, że to nie opium doprowadziło go do takiego stanu.

– Alesso – wyszeptał ochryple żmij. –
Przecież ty nie żyjesz...

Bogowie, stało się – pomyślała ze spokojem, który ją samą zaskoczył. Postradał zmysły.

– Chodź – poleciała, ujmując go za ramię. Wstał posłusznie. Łzy nadal płynęły mu po twarzy.

Upewniła się na wszelki wypadek, że są w zaułku sami, po czym zdematerializowała się

razem z nim – wprost do enklawy.
Wiedziała, że mżący deszcz szybko zatrze ślad czaru, a
chciała przede wszystkim jak najszybciej odstawić Krzyczącego w bezpieczne miejsce.

Bez protestów dał się zaprowadzić do chaty. Szedł chwiejnie, z przymkniętymi oczami,
ale znalazłszy się we wnętrzu domostwa, jakby oprzytomniał. Uwolnił dłoń z uchwytu dziewczyny, ściągnął wilgotną kurtkę i bez słowa udał się do sypialni. Anavri podążyła za nim, pełna złych przeczuć. Kiedy zobaczyła, że wyjmuje z kieszeni woreczek z opium, miała ochotę podbiec, wyrwać mu paskudztwo z ręki, a potem trzasnąć go w twarz.

– Oszalałeś? Jeszcze ci mało?!

Żrenice Krzyczącego rozbłysły żółto.
Cofnęła się, wyczuwając wzbierającą w nim
czern.

Ale nie straciła rezonu.

– Co, zaatakowałbyś mnie? – spytała
wyzywająco. – Mnie?

– Odejdź – syknął tylko, odwracając się
plecami. Anavri ani drgnęła. Zaciskając zęby,
patrzyła, jak Brune napętnia lufkę
brunatnymi bryłkami, jak siada na sienniku,
zapala płomyczek pod szklaną bańką i
wdycha uwalniające się opary.

Czekała cierpliwie. Tak jak się
spodziewała, wypaliwszy całą działkę, zdjął
buty, położył

się na wznak, podkładając ręce pod głowę,
i zapatrzył tępo w belki powały. Wyczuwając,
że się uspokoił, a raczej to makowy dym go

uspokoił, Anavri podeszła i usiadła obok.

– Co tam się stało? – spytała cicho, siląc się na cierpliwość. Nadała głosowi delikatny, czuły ton. – Proszę, powiedz mi.

Ale Brune tylko spoglądał w przestrzeń zamglonym, nieprzytomnym wzrokiem, którego tak nienawidziła.

Gdy chciała wstać, nagle złapał ją kurczowo za nadgarstek.

– Nie odchodź, proszę. – Jego głos, jeszcze bardziej ochrypły niż zwykle, drżał – może ze strachu, może z rozpacz. – Alesso... Błagam, nie odchodź.

– Dobrze – szepnęła. – W porządku, jestem tutaj. Nie bój się.

Tłumiąc przerażenie, usiadła obok i głaskała go po włosach, póki nie usnął. Odczekała

dla pewności jeszcze chwilę, potem delikatnie uwolniła dłoń z uścisku, okryła Krzyczącego kocem i poszła do pracowni.

Widziała tylko jedno rozwiązanie.

Uaktywniła zwierciadło i czekała, zaciskając zęby, aż wirujące kolorowe wzory rozproszą się, ukazując pracownię Marshii. Mistrzynie nie było w komnacie. Po drugiej stronie tafli, falując mackami, zawisł Biss.

– Zawołaj swoją panią – powiedziała Anavri. Obejrzała się przez ramię, tknięta obawą,

że Brune się zbudzi i będzie wściekły. Ale z sypialni nie dochodził żaden dźwięk.

Chowaniec skinął psim łbem i odpłynął bezgłośnie, znikając za otwartymi drzwiami pracowni. Marshia zjawiała się po dłuższej chwili. Wspierała się na lasce, a na jej wymizerowanej twarzy malowało się gniewne zniecierpliwienie. Gdy jednak wysłuchała, co dziewczyna ma do powiedzenia, ustąpiło ono miejsca ewidentnemu, nietajonemu przerażeniu.

– Dlaczego nic mi wcześniej nie powiedziałaś? – spytała ostro.

– Ja... – Słowa uwięzły Anavri w gardle.

Tak, zatajała problem, dopóki strach o

Krzyczącego definitywnie nie przeważył nad lojalnością. Dopiero teraz dotarło do niej, że mógł to być błąd.

– On i choroba głosów, na Harana, tylko tego nam brakowało! – Marshia spojrzała na Bissa, a ten zamachał mackami, jakby dawał do zrozumienia, że podziela jej wzburzenie. –

Anavri, musisz przyjść tutaj. To nie jest temat na rozmowę przez zwierciadło.

– Ale... – Znów zerknęła przez ramię, zastanawiając się, czy powinna obudzić

Krzyczącego. Obawiała się, że po dawce opium może nie być wystarczająco przytomny, żeby zrozumieć, co się do niego mówi.

– Zastyga w bezruchu, patrząc w przestrzeń? Mówi od rzeczy? Nie zawsze cię rozpoznaje? Gwałtownie wpada w złość?

Dziewczyna niepewnie, z wahaniem potaknęła. Marshia pokiwała głową, zaciskając usta.

– To choroba głosów, Anavri. Widziałam już zmijów, u których to świństwo budziło się po wyczerpującym obrzędzie albo walce z nadprzyrodzoną istotą. Fatalnie, że mi nie powiedziałaś od razu. – Znów popatrzyła na Bissa. – Znam kogoś, kto być może mógłby pomóc... ale Brune nie będzie chciał się leczyć, cholera! – Załamana ręce.

– Mogę z nim porozmawiać – powiedziała powoli Anavri, choć aż za dobrze pamiętała ostatnią kłótnię. Ona też była skłonna się

założyć, że Krzyczący prędzej wyrzuci ją z enklawy, niż przyzna, że potrzebuje pomocy.

– Przede wszystkim nie możesz dłużej przebywać z nim w enklawie sama jedna! –

zawołała Marshia. – Dziewczyno, ocknij się, on traci kontakt z rzeczywistością! Nie kontroluje

się, może ci zrobić krzywdę! Czytałaś o magach, którzy oszaleli wskutek Skażenia?

Przyjdź

tutaj. Zastanowimy się spokojnie razem z Zazelem, co robić.

Przebudziwszy się, Brune jęknął. Głowa pękała mu z bólu, gardło miał wyschnięte i był

tak oszołomiony, że dopiero po chwili dotarło do niego, że nie leży na ziemi w jakimś zaułku, tylko na własnym posłaniu. Przetarł twarz i wycedził przekleństwo, kiedy przypomniał sobie, czemu znajduje się w takim stanie.

W sumie należy się cieszyć, że w ogóle wróciłeś do przytomności... Ciekawe tylko, na jak długo.

I wtedy uświadomił sobie, że w domostwie nie wyczuwa obecności Anavri. Zanim

zdążyło go to zastanowić, a co dopiero zaniepokoić, zauważył na sienniku kartkę.

Trzy razy czytał wiadomość napisaną

znajomym, eleganckim, kaligraficznym pismem.

Za pierwszym nie był pewien, czy dobrze zrozumiał. Za drugim miał ochotę się roześmiać. Za trzecim – z wolna ogarnęła go złość.

Wstał ostrożnie, i tak jak przewidywał, do szydła wierzącego w oczodole dołączyły mdłości z głodu. Organizm domagał się wody, śniadania, a potem jeszcze kilku godzin snu.

Tymczasem trzeba było ponieść konsekwencje własnej głupoty oraz tego, że Anavri pozostawiona samej sobie spanikowała.

Klnąc cicho, Brune poszedł do kuchni po wodę, a potem z kubkiem do pracowni. Tam zawahał się, niepewny, czy ma siłę teraz prowadzić nieprzyjemne rozmowy.

Nim podjął decyzję, ta została podjęta za niego. Lustro rozjarzyło się czerwonym blaskiem i ukazała się w nim Marshia Lavallo. W czepku i ciemnej domowej sukni, wsparta na lasce, lecz jej oczy po dawnemu ciskały błyskawice.

– Co się z tobą dzieje? – spytała ostro.

– O co chodzi? – wymamrotał. Wzdrygnął się, słysząc, jak niewyraźnie mówi – jakby jeszcze nie wytrzeźwiał po całonocnym pijaństwie. Marshia musiała pomyśleć to samo, bo jej twarz zastygła w lodowatą maskę.

– Anavri o wszystkim mi opowiedziała. Wytłumacz się.

*No jakżeby inaczej, wystraszone
poleciałyśmy pod opiekuńcze skrzydła i
zaczęłyśmy*

paplać? Poczuł, jak rośnie w nim już nie
złość, a zimna furia, która miała jedną zaletę

—

pomagała oprzytomnieć.

— Z czego, do cholery?

— Nie wiesz, z czego?

— Nie obchodzi mnie, co ci nagadała
panna Vaneisen – syknął. — Nie kazałem,
żeby mnie
szukała! Miała nie opuszczać enklawy!

— Zniknąłeś, nie mówiąc, kiedy wrócisz!
Nie było cię prawie dobie!

– No i? Co to zmienia? Gdyby coś się stało, nie pomogłybyście mi, ani ona, ani ty.

– Zostawiłeś ją w enklawie...

– Była tu bezpieczna. Mogła spokojnie zaczekać, zamiast się pchać nie wiadomo gdzie. –

Brune zaczerpnął tchu i spróbował się uspokoić. – Gdzie ona jest? Niech przyjdzie, chcę z nią mówić.

– Nie.

– Że co?

– Anavri nie przyjdzie. I nie wróci do

ciebie, chyba że rzucisz opium.
Permanently.

Zdusił chęć, żeby rąbnąć w lustro pięścią.

– Co ustaliliśmy, starsza siostrze? Anavri jest teraz moją uczennicą, nie twoją. Chyba że sama mi powie, że zmieniła zdanie.

– Zmieniła.

– Chcę to usłyszeć od niej.

Marshia zawahała się, jakby wając słowa.

– Anavri powiedziała mi, w jakim stanie cię znalazła. Jest przerażona. Uważa, że w obecnej sytuacji stanowisz zagrożenie

zarówno dla siebie, jak i dla niej, a ja się z tym zgadzam.

– Wyjaśnij, jeśli łaska, co rozumiesz przez obecną sytuację?

– Jesteś uzależniony od opium, młodszy bracie, a to jest tylko skutek, nie przyczyna.

Sam

doskonale przecież wiesz, co ci jest. Jesteś chory, poważnie chory, pora wreszcie przestać się oszukiwać. Udawanie, że nic się nie dzieje, na pewno nie pomoże ci wyzdrowieć.

Słyszając nutę satysfakcji w jej głosie, Krzyczący nagle zrozumiał. Nie chciało mu się

wierzyć, że Marshia może być aż tak małostkowa, ale nie widział innego wytłumaczenia.

Jej samej mogło się wydawać, że podejmuje racjonalną, odpowiedzialną decyzję. Tak

naprawdę była po prostu zazdrosna, już od miesięcy, że młodszy, mniej doświadczony *ka-ira* okazał się dla kogoś lepszym nauczycielem.

– Zawołaj Anavri – powtórzył.

– Nie.

– Dobrze, więc sam się do was pofatyguję.

– Postąpił w kierunku lustra, ale Marshia uniosła rękę

– Nie próbuj. Moja enklawa cię nie wpuści.

Zdumiony, na moment po prostu zamilkł.

– Żartujesz – odezwał się po chwili.

– Bynajmniej. Wygląda na to, że ktoś musi tobą potrząsnąć, młodszy bracie, dla twojego

własnego dobra. Najpierw pozbądź się nałogu. Potem szczerze ci polecam podjąć leczenie tej

drugiej choroby, póki jeszcze nie jest za późno. Mogę ci polecić medyka, który zna się na rzeczy.

Gdy się namyślisz, daj mi znać. Anavri na razie zostanie ze mną.

Słuchając jej, Krzyczący powoli się uspokajał, a zarazem coś w nim lodowaciało.

– Świetnie – syknął, gdy zamilkła. –
Skoro tak stawiasz sprawę... Będę miał o
jeden
kłopot mniej.

Obraz rozmówczyni zgasł, lustro znowu
było tylko lustrem. Brune zagapił się na
swoje
odbicie.

Nie wątpił, że Marshia święcie wierzy w
to, co mówi, bo jego zarośnięta, wynędzniała
twarz oraz błędny wzrok wydawały się
najlepszym dowodem na słuszność jej
zarzutów.

Scysja z Marshią sprawiła, że zupełnie odechciało mu się snu. Nadal czuł się zmięty i otępiały, ale ochłonął na tyle, żeby zacząć myśleć. I nagle pstryknął palcami.

Gorczyca. Wiedźma z Krzywej Alei, która wtedy za pierwszym razem uleczyła go z szaleństwa, nadając nowe imię. Jeśli ona nie będzie umiała niczego doradzić... Nie chciał
rozważać takiej możliwości.

Gorczyca coś wymyśli.

Pół godziny później, wciąż jeszcze pełen tłącej się złości na Marshię i Anavri, popatrzył

w lustro, upewniając się, że wygląda jak ktoś całkowicie zrównoważony i zdrow na umyśle.

Poprawił kołnierz czystej koszuli, po czym sprawdził, czy ma przy sobie sztylety i gemmę.

Wyszeptał formułę, a gdy tafla ożyła kolorowymi wzorami, wkroczył w portal.

Nie miał świadomości, że nieduże, podobne do gołębia astralne stworzenie, które czatowało po zewnętrznej stronie osłon jego enklawy, poleciało za nim.

Zmaterializował się na zarośniętym krzakami brzegu rzeki, na wszelki wypadek natychmiast spowijając się niewidzialnością. Zdążył tylko zarejestrować, że w pobliżu nie wyczuwa żadnych żywych istot.

Nagle poczuł chłodne ostrzeżenie daru, a chwilę później niebo ogarnęła pulsująca fioletowa łuna. Zachwianie.

Brune zaklął cicho. Nie umiał stwierdzić, czy jego pojawienie się miało z tym coś wspólnego, czy nie. Ekwilibrium w Shan Vaola bywało cholernie niestabilne.

A potem jego świadomość przeszły lodowate groty – jeden, drugi, trzeci, czwarty. Poczul, jak kamuflująca go iluzja rozwiewa się. Gardło ścisnęła mu panika – mrozące przeczucie, że to koniec.

Srebrni.

Materializowali się kolejno w rozbłyskach oślepiającego światła. Czterech akolitów,

jedna mistrzyni – poznał to po różdźce w jej dłoni. Białe szaty, srebrne medaliony, urodziwe twarze, oczy podobne kałużom rtęci.

Rozdział 25: Rozkaz szarego króla

– Poddaj się, zmiju! – krzyknął najwyższy z akolitów, długowłosa, w srebrnej masce.

Równocześnie w powietrzu zaiskrzyło się od błękitnych wyładowań. Wszystkie rozprysnęły się o barierę zaklęcia tarczy.

Krzyczący powiódł wzrokiem po otaczających go twarzach, pełnych chłodnej obojętności. Nagle poczuł na skórze dziwny, zimny ucisk, jakby powietrze zmieniło się w napierającą na niego galaretę. Bariera

blokująca dematerializację, najsilniejsza, z jaką miał dotąd do czynienia.

Wiedział, że zostanie pojmany, ale zamierzał się postarać, żeby drogo okupili zwycięstwo. Nagle stanęła mu przed oczami twarz Adriena de Vere, leżącego bez zmysłów w
Domu Godnego Odejścia.

Tknięty impulsem zamknął oczy – i zdematerializował się. Zdematerializował się, choć
teoretycznie nie powinien być w stanie tego zrobić. Przechodząc przez barierę, którą go otoczyli, przez moment poczuł w całym ciele palący ból, aż pociemniało mu w oczach. Potem wokół
zawirowały barwy i pojawiło się znajome, mrozące zimno. Płynął przez bezprzestrzeń poza
wymiarami, z trudem łapiąc oddech.

Wiedząc, że tamci lada chwila złapią trop, pozwolił, aby dar przerzucił go z powrotem do

materialnego świata, i pół sekundy później stał już w nieznanym miejscu gdzieś daleko na

południu, na spieczonej słońcem równinie, gdzie rzadkie krzaki czepiały się piaszczystego

gruntu, smagane wiatrem niosącym tumany pyłu. W oddali wznosiły się jałowe, kamieniste

wzgórza, spowite rdzawą mgiełką. Choć tuż nad horyzontem wisiała czerwona słoneczna tarcza, niebo na północy i wschodzie jarzyło się dziwną fioletową barwą, a powietrze miało metaliczny posmak. Zachwianie.

Brune nieufnie poruszył rękami, pokręcił głową – w mięśniach i kościach wciąż jeszcze

czuł echo bólu, który towarzyszył
przełamaniu bariery – ale wyglądało na to,
że nie doznał
żadnych fizycznych obrażeń. Jeszcze.

Spowił się niewidzialnością, lecz sekundę
później znów poczuł lodowate ostrzeżenie
daru i iluzja rozwiała się. W powietrzu
nad nim zmateriałizowały się trzy sylwetki
magów –
mistrzynie i dwóch akolitów. Wiatr
roziewał ich białe szaty.

Zaatakowali bez ostrzeżenia – z góry
lunęły oślepiające groty energii, z sykiem
trafiając
w grunt, zostawiając po sobie rozbryzgi
stopionego na szkło piasku. Lecz zakłęcie
tarczy i tym razem spełniło swoją rolę.

Dwa rozbłyski i ostrzeżenie daru

powiedziały żmijowi, że dwaj pozostali
akolici też

zmaterializowali się nieopodal. Wynik
walki w tym miejscu, na płaskim terenie bez
żadnej

osłony, mógł być tylko jeden. W czasie
krótszym niż potrzeba, aby zwerbalizować tę
myśl,

Krzyczący podniósł garść piasku i cisnął
nim w stronę prześladowców, uwalniając
moc.

Powietrze przecięła smuga blasku,
zabrzmiał ostry trzask. Jeden z lewitujących
akolitów

wrzasnął, z głuchym łupnięciem zwałił się
na ziemię i już nie wstał.

Żmij zapatrzył się na widoczne w dali
wzgórza i zdematerializował się ponownie,
by

wylądować na kamienistym zboczu. Nie
ustał; zachwiał się i przewrócił, zdzierając
sobie skórę z dłoni. Cudem tylko udało mu

się nie sturlać w dół. Poderwał się,
oddychając ciężko, i schronił

się pod osłoną skupiska głazów – w samą
porę, bo srebrni już nadlatywali, łopocząc
szatami, niczym wielkie białe ptaki. Miotane
przez nich świetliste pociski uderzyły w
zbocze, wzbijając piach, żwir i odłamki skały.
Zasyczało, zapachniało spalenizną. Brune
tylko wzmocnił czar

tarczy. Mrużąc oczy, czekał na
sprzyjający moment, żeby się zrewanżować.

W górze, na niebie zakwitły warkocze
sinawego ognia. Jedne gasły, na ich miejsce
zapalały się nowe. I nagle znikąd lunęły
języki płomieni – liliowe, rozedrgane,
upiorne...

Jednakże narastające zachwianie nie
zrobiło na srebrnych wrażenia. Utworzyli w
powietrzu krąg, chwytając się za ręce.
Mistrzynie zaczęła rytmicznie skandować w
mowie magów, pozostali
zawtórowali. Wokół nich zajaśniała

aureola mocy, jaskrawsza z każdą chwilą.
Cztery pary oczu rozbłysły płynną rtęcią.

Brune zasłonił twarz ręką, bo blizny na
policzku zapłonęły bólem. Poczul
rozlewający się

w całym ciele zimny, lepki, niebezpieczny
bezwład. Osunął się na klęczki, z trudem
chwycił

oddech – nieubłaganie tracił siły,
podtrzymywanie tarczy stało się nieznośnym
wysiłkiem.

Zamrugnął oczami – widział nieostro,
jakby świat zaczynał się zasnuwać mgłą.

Nie, to naprawdę była mgła! Spływając
znikąd, spowiła go mleczną, błogosławioną
zasłoną. *Portal!* Nie wiedział, kto go
otworzył ani jakim cudem. Uczucie było
podobne jak wtedy po balu, gdy w sygnecie
mordercy uaktywniła się pułapka – lecz
Brune intuicyjnie czuł, że teraz jest inaczej,

że tym razem portal go ratuje. Dlatego nie walczył. Pozwolił, by mgła spowiła go i uniosła daleko, daleko od prześladowców.

Gdy się rozwiała, ujrzał, że stoi na popielistym pustkowiu. Naokoło kłębiły się opary,
wiatr niósł jęki i zawodzenie. Żmij znał to miejsce. Pamiętał.

Wspomnienia powróciły do niego, tak jaskrawe i wyraźne, że nie umiał pojąć, jakim cudem miesiącami żył bez nich.
Demonessa w szarych szatach, i rozmowa po tym, jak o mało
nie zginął w sferach, po walce z wysłannikiem srebrnych, który próbował go dopaść w jego
własnej enklawie... *Jesteś nasz* – tak powiedziała. Był pionkiem w rękach demonów, ich marionetką. Jakim sposobem mógł o tym nie pamiętać przez tak długi

czas?

Siłą woli opanował wir dezorientacji i cisnących się pytań. *Później. Później będziesz się nad tym wszystkim zastanawiać.* Mimo woli przymknął oczy, chłonąc czarną aureę, która biła tu od każdej skały, każdego kamienia. Po chwili odetchnął z ulgą i otarł rękawem pot z czoła.

Potem na wszelki wypadek przywołał moc, czując zmysłami maga, że ktoś – coś – nadchodzi.

Z mgły wyłonił się czarnowłosy, smukły mężczyzna w szarych szatach.

– Nie dziękuj mi – rzucił zwięźle. – Działiałem we własnym interesie.

– Nie wątpię – mruknął zmij. Przemienił

rapier z powrotem w sztylet i schował go.

Nieznajomy podszedł bliżej. Cokolwiek kryło się wewnątrz jego cielesnej powłoki, z zewnątrz, dla ziemskich oczu, był to arystokrata. Z krwi i kości. Blady, gładko ogolony i

urodziwy, o delikatnych rysach, prostym nosie, wąskich ustach. Oczy miał jak dwie bryłki

niebieskiego lodu.

– Znam cię – oznajmił.

– Doprawdy? A ja was nie.

– Nazywam się Favill. – Nieznajomy uśmiechnął się, ukazując nieskazitelnie białe, równe zęby. – Lecz w Otchłani tytułują mnie Spalonym Władcą. Jestem królem

Doliny

Popiołów. – Zamilkł, jakby czekając na reakcję, a nie doczekawszy się, ciągnął: – Zapraszam cię na rozmowę, mój agencie.

Krzyczący chętnie odpowiedziałby sarkastycznie, ale jak na złość zabrakło mu konceptu.

Milczał więc, a demon kontynuował:

– Twoja choroba się nasila, sam to czujesz. To już nie kwestia dni, ale godzin, zanim

znajdziesz się po drugiej stronie lustra – mówiąc to, wyraźnie wyczekiwał odzewu, ale zmij i teraz nie zaszczycił go odpowiedzią. – Jestem twoją jedyną nadzieją na wyzdrowienie,
Deuvenie.

– Nie wiem, czy określiłbym to mianem

nadziei – mruknął Krzyczący.

Spalony Władca patrzył na niego z politowaniem.

– Niby jak na człowieka jesteś inteligentny, a nadal nie dociera do ciebie, jak się sprawy

mają. Służysz nam, jesteś nasz. Jeżeli zapagniemy, możemy cię uzdrowić, aczkolwiek... –

Nachylił się, tak że żmij wyczuł jego oddech, ciepły, lekko pachnący kadzidłem. –
Miej

świadomość, że jeśli do reszty osuniesz się w szaleństwo, dla nas to niewielka strata, nadal będziemy cię mogli wykorzystać do naszych celów.

Cofnął się, wyraźnie czekając, aż te słowa odniosą skutek. Krzyczący wciąż jeszcze

walczył z chęcią palnięcia czegoś, czego
mógłby rychło pożałować; ostatecznie
wygrała
ciekawość.

– Rozmowa, powiadasz. – Wzruszył
ramionami. – To dokąd się udamy, demonie?

Spalony Władca wyciągnął smukłą dłoń.

– Chodź.

– Nie powinnaś była tu wracać –
powiedziała Lorraine.

– Wiem. – Jej kuzynka usiadła na łóżku i
zgarbiła się bezradnie. – Na świetlistą Arayę,
co ja narobiłam? Jak mogłam być tak
głupia?

Przygryzła kostki palców. Nie była
pewna, na kogo jest bardziej wściekła: na
Marshię
czy na siebie.

– A ja myślałam... och, idiotka...
myślałam, że ona będzie wiedziała, co robić...

– Wiesz – odparła powoli panna Nevers –
czasem wiedzieć, a chcieć to dwie różne
rzeczy.

Anavri skryła twarz w dłoniach, myśląc bezsilnie o tym, jakie głupstwo popełniła.

Potem

wstała z pełną determinacji miną.

– Idę do niej. Musi mnie wypuścić z enklawy. Wracam do niego.

Mogłaby uciec nawet w tej chwili – zdematerializować się mimo zakazu, łamiąc zabezpieczenia, będące teraz zaledwie cieniem tych, które chroniły enklawę kilka miesięcy

wcześniej. Czuła pokusę, by tak właśnie zrobić – umknąć z klatki, nie oglądając się na nic – ale powstrzymało ją poczucie odpowiedzialności. Nie wiedziała, czy osłabiona Marshia byłaby w stanie później odtworzyć ciągłość zapór.

– Zaczekaj – powiedziała Lorraine. Była bardzo blada. – Teraz już jest za późno.

– Jak to za późno? O czym ty...

W dal patrząca ze skupieniem wpatrywała się w powietrze.

– Zaczęła się ścieżka, której nie mogłam przewidzieć. Nie możesz teraz wrócić.

Brune...

Och, bogowie... Dolina Popiołów upomniała się o niego.

– Więc tym bardziej muszę wrócić!

– Nie! – krzyknęła Lorraine. – Nie rozumiesz! Nie mieszaj się w to! Oni chcą mu pomóc.

Jeśli go nie wyleczą, oszaleje już na dobre. Błagam, uwierz mi!

Anavri powoli usiadła z powrotem.

Widziała już dość, żeby wierzyć kuzynce bez zastrzeżeń. Ale to znaczyło...

– Chcesz powiedzieć – odezwała się z wahaniem – że Brune ma jakieś powiązania z Otchłanią?

– Jest agentem Doliny Popiołów – odrzekła równie cicho Lorraine. Wzrok miała udęczone, jakby targały nią wątpliwości, czy powinna to mówić. – Już od lat.

Anavri poczuła się tak, jakby zamiast siedzieć na wygodnej sofie, spadała przez

zimną
pustkę.

– Od kiedy o tym wiesz? – usłyszała dochodzący z daleka czyjś martwy głos. Jej własny?

– Kiedy się dowiedziałaś?

– Teraz, w tej chwili. – Panna Nevers skuliła się z miną świadcząca o wyrzutach sumienia. – Przysięgam, że ujrzałam to dopiero teraz.

– Ale on służy Otchłani od dawna, powiadasz. – Znów ten martwy, obcy głos. – Od jak dawna?

Lorraine wpatrywała się w czubki swoich czarnych trzewiczków. Milczała długo.

– Kiedy pojawił się w Shan Vaola, zanim jeszcze poznał Marshię, już był zaprzysiężony

– odezwała się w końcu. – Tylko tyle widzę. Więcej nie wiem.

Anavri powoli pokiwała głową. Miała wrażenie, że coś wewnątrz niej zamarza.

Tężeje na

kość i pokrywa się szronem.

Nie powiedziałaś mi.

Zmaterializowali się w komnacie o kamiennych ścianach. Za ostrołukowym oknem

kłębiły się chmury podobne do brzuchów bestii, w odcieniach jadowitego grynszpanu, trupiego fioletu i chorej żółci. Powietrze, bardzo suche, miało woń spalenizny i brudnego metalu.

Krzyczący podszedł do okna. Tak jak się spodziewał, ujrzał rozciągającą się w dole popielistą równinę, po której wiatr pędził kłęby pyłu oraz jęczących, zawodzących cieni.

Popatrzywszy po sobie, otrzepał ubranie z kurzu. Zupełnie nie odczuwał już skutków walki ze srebrnymi. Czarna aura Otchłani ogrzewała i pobudzała, błyskawicznie likwidując

zmęczenie, niczym kordiał z lucyferią.

– Proszę, usiądź – zachęcił Spalony Władca, wskazując jedno z dwóch krzeseł przy

niedużym stole. Wszystkie meble zrobione były, jak się zdawało, z polerowanej smoczej kości, zaś na jednej ze ścian wisiała czaszka jakiegoś olbrzymiego stwora z pięcioma oczodołami i

sterczącym do góry rogiem. – Wina?

Wyczuwając za sobą obecność, Krzyczący odwrócił się gwałtownie. Mglista istota, która sekundę wcześniej musiała wyłonić się wprost ze ściany, skłoniła się w milczeniu.

– Przynieś złote wino, Chassim – rozkazał Spalony Władca, nie czekając na odpowiedź.

Mglisty sługa skłonił się ponownie i zniknął.

Krzyczący zawahał się, po czym usiadł.
Dopiero teraz spostrzegł, że demon posiada
skrzydła – wielkie, podobne do łabędzich,
o piórach smolistej barwy. Nie był pewien,
czy
wcześniej jakimś cudem ich nie zauważył,
czy też po prostu ich nie było.

Po chwili na stole znikąd pojawił się
srebrny dzban oraz dwa kieliszki. Spalony
Władca
nalał zmijowi i sobie. Wino pachniało jak
dojrzałe, słodkie jabłka i nagrzane słońcem
wrzosowiska.

– Nie ma sensu marnować czasu, zatem
przejdę od razu do meritum – oznajmił. –
Mam

dla ciebie zadanie, mój agencie. Moja
córka została uwięziona gdzieś w głębinach

Otchłani

przez demona imieniem Sathoon. Moi mędracy twierdzą, że jeśli ktoś ma szansę ją odnaleźć i uwolnić, to tylko ty.

– A jeśli wolno spytać, dlaczego właśnie ja?

– Przez lata była twoim demonem stróżem. Więź, która was łączy, działa w obie strony.

Anyah mogła cię odnaleźć w dowolnym miejscu w każdej chwili. Zgodnie z logiką tego czaru,

także i ty powinieneś ją odnaleźć i dotrzeć do niej, niezależnie od tego, gdzie ją uwięziono i jakimi zaklęciami spętano.

– A wtedy wy zajmiecie się resztą, zaś ja będę mógł popatrzeć, jak robicie porządek z

tym... jakże go zwał... Sathoonem? – Żmij uśmiechnął się krzywo. Spalony Władca zmarszczył brwi.

– Obawiam się, że to nie takie proste. Jeśli, jak przypuszczam, kryjówka Sathoona znajduje się na terytorium którejś z wrogich nam Dolin, wówczas ani mnie, ani żadnemu z

moich poddanych nie wolno tam wkroczyć, chyba że zależałoby nam na wywołaniu wojny. A

czego jak czego, ale zbrojnego konfliktu chcemy uniknąć za wszelką cenę. Dlatego po przekroczeniu granicy między Dolinami będziesz zdany tylko na siebie. Ty możesz ją przekroczyć bez żadnych konsekwencji. – Uśmiechnął się kącikiem ust. – Na takiej samej

zasadzie, na jakiej w twoim świecie dzikie zwierzęta mogą wędrować, gdzie chcą, nie przejmując się granicami państw.

– Bardzo elegancki plan – stwierdził z ironią Krzyczący i upił łyk wina. Było bardzo dobre. – Ja zmaterializuję się tam, gdzie ten... Sathoon... więzi mego demona stróża, a wtedy Sathoon albo jego słudzy, bo pewnie takowych posiada, szybko zrobią ze mną porządek.

– Och nie, tutaj właśnie tkwi sęk. – Spalony Władca zetknął dłonie czubkami palców. –

Mam powody, by sądzić, że nie będzie chciał cię zabić... nie tak od razu. Widzisz, jeśli jest tak, jak podejrzewam, to Anyah została uwięziona jako przynęta. Przynęta na ciebie. I Sathoon chce cię dostać w swe ręce żywego.

– Coraz lepiej – stwierdził zmij po dłuższej chwili milczenia. – A skąd to

wiadomo?

– Ponieważ już się spotkaliście w przeszłości. Konkretnie w Ri Talma, przed czterdziestu laty.

Brune wstrzymał oddech.

Ri Talma. Czy ja śnię?

– Jakieś... szczegóły? – spytał cicho.

– Szczegóły? Proszę bardzo. Sathoon, który w tamtym czasie służył Dolinie Światła, pospołu ze swym przybocznym zesłał na miasto wielką zarazę, planując zdobyć tysiące dusz.

Jednak nie powiodło im się. Ty

zlikwidowałaś sługę, a moja Anyah, która w owym czasie

jeszcze żyła ludzkim życiem jako śmiertelniczka, pokonała pana. Dusze zmarłych zamiast do

Doliny Światła trafiły do Doliny Popiołów, a Sathoon już nigdy nie zmaterializuje się w świecie ludzi, jest na wieczne czasy uwięziony w Otchłani. Zakładam zatem, że teraz chodzi mu o zemstę. Na Anyah, na tobie i na mnie.

– Więc należy mnie posłać prosto w paszczę smoka? Na podstawie jakiej logiki, że tak

delikatnie spytam?

– Naszej logiki, człowieku. Sathoon nie będzie chciał cię zabić, tylko ogłupić, złamać i

przeciągnąć na swoją stronę. Jesteś magiem, więc zawsze będziesz cenniejszy

jako agent niż

jako dusza uwięziona w Otchłani. Możesz być tego tak pewien, jak tego, że w twoim świecie

rośliny zawsze rosną w stronę słońca. Twoim zadaniem będzie oprzeć mu się, uwolnić Anyah i powrócić z nią tutaj.

– Kim w zasadzie jest ten cały Sathoon? To znaczy, kim jest tu na dole?

– Demonem wysokiego rodu. Arystokratą z rodu Czarnoustych, aktualnie nominalnym lennikiem Doliny Rdzy... ale to i tak niewiele ci powie.

– Liczycie – zmij prychnął cierpko – że zdołam w pojedynkę pokonać tak potężną istotę?

– Liczę, że zdołasz uwolnić moją córkę.
Pokonanie Sathoona nie jest niezbędne... acz,
przyznaję, byłoby mile widziane.

– Dobrze wiedzieć, że demony miewają
poczucie humoru.

Spalony Władca zaśmiał się z cicha.

– Widzę, że nas nie doceniasz, człowieku.

Krzyczący spokojnie napił się wina,
którego aromat oraz idealnie zrównoważone
proporcje kwasu i słodczy kojarzyły mu
się z najlepszymi winami znad Zatoki Snów.

– W porządku. Pomogę wam. Ale nie za
darmo. – Uśmiechnął się, bez drgnienia

patrzac

w lodowato niebieskie oczy rozmowcy. –
Znasz prawo magow, o krolu. Nic za darmo.

– Uratowanie ci dzisiaj zycia – Spalony
Wladca uniosl brwi – obliguje do
wdziecznosci,
magu.

– Wasza Wysokosc – Krzyczacy nie
spuscil wzroku – obaj wiemy, ze to wy
jesteście mi
cos winni. Od lat.

Na dluzsza chwile zapadla cisza. Zmij z
pozorna nonszalancja dopil zawartosc
kieliszka,
zastanawiajac sie, czy aby na pewno obral
dobra strategie.

– No cóż. – W głosie demona zabrzmiało leciutkie rozbawienie. – Odważnie, mój agencie. Bardzo odważnie. Rzekłbym, że wspinasz się na skute lodem urwisko, nie mając liny.

– Jestem *ka-ira*, to zobowiązuje. – Brune, decydując się rozegrać do końca kartę bezczelnego zuchwalstwa, pozwolił, by jego źrenice rozbłysły żółto. Zorientował się, że decyzja była dobra, kiedy Spalony Władca zaśmiał się pobłażliwie.

– W istocie. Nie boisz się przepaści ani wichru; jeśli spadniesz, pofruniesz, co? Ale pamiętaj, mój agencie, że nie muszę być przepaścią. Mogę być dłonią, która cię chwyci. Weź pod uwagę, że jesteś chory, i to poważnie. A my, w zamian za pomoc, możemy cię wyleczyć.

– Nie.

Demon znowu uniósł brew.

– Nie?

Krzyczący na moment zamknął oczy.

Dyplomatycznie dobrać słowa, elegancko ująć sprawę. Zachowując przy tym absolutny spokój i zimną krew. Tylko tak można było cokolwiek osiągnąć w rozmowach z demonami.

– Może inaczej. Królu, obaj wiemy, że jeśli mam wam być do czegoś przydatny, muszę być w pełni władz umysłowych. Tak?

Jeśli mam ruszyć na poszukiwanie twojej córki, najpierw

musicie mi pomóc rozwiązać ten... drobny problem, z którym się ostatnio borykam. –

Dotknął

skroni, uśmiechając się krzywo. Demon z enigmatyczną miną skinął głową.

– Zapewne.

– Skoro wyleczenie jest warunkiem wykonania misji, zgodnie z prawem magów trudno

je uznać za zapłatę. To zaś, o co chcę poprosić, to dla ciebie, panie, drobiazg. Chcę informacji.

Tylko tyle i aż tyle.

– To znaczy?

– Na początek chcę wiedzieć, dlaczego wam służę. W jaki sposób stałem się waszym agentem i kiedy.

Spalony Władca zamyślił się na moment.

– Skoro to dla ciebie takie ważne... W porządku. – Wyciągnął dłoń. – Twój talizman.

Dwie karty. Daj mi go.

Krzyżącemu przemknęło przez głowę, że poszło chyba za łatwo, że powinien się mieć na baczności. Ale nie wyczuwał ze strony rozmówcy żadnych wrogich intencji, a zresztą nie

żywił złudzeń – tu w Otchłani, tak czy owak, był na łasce swoich mocodawców. Wyjął skórzany woreczek noszony na rzemyku pod tuniką i wręczył go demonowi.

Spalony Władca wyjął ze środka dwie karty i przez chwilę obracał je w dłoni, jakby w

zadumie. Potem pokazał Krzyczącemu obrazek przedstawiający Maga.

– Nataen z Camarry. Twój ojciec, Deuvenie. – Obrócił kartę i stuknął palcem w wizerunek Błazna. – Adrien de Vere z Alkary. Twój dziadek ze strony matki. Dwóch potężnych czarnych magów. Masz w sobie część ich obu.

Krzyczący powstrzymał się od zapytania, co ta rewelacja ma do rzeczy.

– Sądziłem, że Adrien został zabity w Domu Godnego Odejścia – powiedział powoli. –

To powinno uniemożliwić jego duszy
odrodzenie się.

Spalony Władca pokręcił głową.

– To byłoby zbyt proste, przyjacielu.
Owszem, Adrien pożegnał się z życiem w
Domu

Godnego Odejścia. Nie możesz być
dosłownie jego ponownym wcieleniem, bo
srebrni zabili go

w sposób wykluczający powrót duszy. Ale
ścieżki przeznaczenia są kręte. Adrien de
Vere

pozostawił córkę imieniem Amparo,
córkę, która nie posiadała daru... to długa
historia, nie będę ci jej teraz opowiadał...
Amparo zaś po różnych perypetiach związała
się z czarnym magiem,

który – demon zrobił pauzę, unosząc palec
wskazujący – należał już wtedy do mnie,
zapisał mi duszę kilka lat wcześniej, podczas

pewnego tragicznego w skutkach powstania
w górach

Camarry. Nazywał się Nataen, Deuvenie.
Masz z nim doprawdy wiele wspólnego.

Zamilkł, może czekając na reakcję. Nie
doczekawszy się, kontynuował.

– Słyszałeś lub czytałeś może o
camarryjskiej wojnie domowej? Nie?
Kilkanaście tysięcy

zwolenników starego porządku, szlachty,
żołnierzy i chłopów, zbuntowało się przeciw
swojemu

królowi, gdy postanowił podpisać pakt z
Elitą. Rozprawiono się z nimi po pół roku
krwawych walk. Brat Nataena był jednym z
przywódców rebelii, nie przeżył jej. Krótco
po jego śmierci Nataen sprzedał mi duszę w
zamian za życie kilkudziesięciu niedobitków
ze swojego oddziału.

Bardzo szlachetnie, przyznasz chyba.

Cenię sobie szlachetnych szaleńców;
niezmiernie łatwo ich przeciągnąć na moją
stronę, jeśli tylko użyje się właściwych
argumentów.

– I wywiązaliście się z zobowiązania?

– Oczywiście. Wszyscy powstańcy,
których objęła umowa, przeżyli. Niektórzy
nawet

dożyli potem późnej starości. Przeżył
również Nataen, nie pozwoliłem mu zginąć.
Ale

odebrałem mu pamięć.

– Forma zabezpieczenia?

– Oczywiście. Nie chciałem ryzykować,
że spróbuje uciec przed zobowiązaniami
wynikającymi z cyrografu. Cyrografu,

który podpisał najzupełniej dobrowolnie,
będąc w pełni władz umysłowych.

Znów zawiesił głos, jakby oczekując
reakcji, ale Krzyczący milczał.

– Nataen uciekł z Camarry – kontynuował
demon – gdzie za jego głowę wyznaczono
niebotyczną nagrodę. Poszukiwali go
słudzy króla i srebrni magowie, ale za moją
sprawą
znaleźli tylko śmierć. Poszukiwany
zniknął. Zaszył się na pustkowiu, na
odludnych bagniskach daleko na zachodzie.
A kilka lat później przekroczył moje
najśmielsze oczekiwania, bo związał
się z córką Adriana de Vere. Amparo
nosiła wówczas inne nazwisko i nie chwaliła
się swoim
pochodzeniem. Kiedy dochowali się
potomka, uznałem, że wolę zamiast duszy
Nataena wziąć

duszę jego pierworodnego syna, w którym
płynie krew starego rodu de Vere, rodu
potężnych
magów.

– Cyrograf zezwalał na taką możliwość?
Pytam z zawodowej ciekawości.

– Wiesz, jak to jest z przestrzeganiem
umów. – Spalony Władca znów się
uśmiechnął. –

Zapisy nie zawsze są jednoznaczne, a gdy
można je interpretować na różnoraki sposób,
w

praktyce rację ma silniejszy. Należałeś do
mnie, od chwili gdy się urodziłeś. – Pstryknął
palcami.

– Ale twoi rodzice oszukali mnie,
Deuvenie. Moje zaklęcie zapomnienia, jak się
okazało, nie podziałało do końca. Nataen
zorientował się, że grozi ci
niebezpieczeństwo. Wypowiadał się w

świątyni Tanathe, oby jej imię było przeklęte, i znalazł tam pomoc. Oddał bogini swoje życie w zamian za bezpieczeństwo kochanki i jej syna. Amparo wywiozła cię potajemnie i ukryła... I

byłeś bezpieczny przez dwadzieścia kilka lat. – Jego uśmiech stał się szerszy, błysnęły równe, perłowe zęby. – Ale cyrografu nie da się oszukać, w końcu i tak dostałem, co mi się należało. A w tak zwanym międzyczasie rozwinąłeś się, jeśli wolno mi to rzec, doprawdy w interesującym

kierunku. Adekwatnym do twojego pochodzenia. Krew nie woda... I teraz jesteś mój, Deuvenie

de Ragues. Mam cię, jak mawiał nieodżałowanej pamięci Farael de Lyche.

Krzyczący ze spokojem dopił wino i odchylił się do tyłu na krześle.

– Bardzo ciekawe – powiedział

wzgardliwie. – Tym ciekawsze, że kiedy ostatnio

rozmawiałem z twoimi sługami, panie, słyszałem inną wersję.

– To znaczy?

– Mówiono mi o cyrografie, który podpisałem osobiście, własną ręką. Jak mogę wierzyć

w cokolwiek, co mi mówicie?

– Nie masz obowiązku wierzyć. – Spalony Władca również dopił wino. – Prawda, drogi agencie, jest jak cebula, ma wiele warstw.

– Nie wątpię – stwierdził cierpko Krzyczący. – Zwłaszcza że gdzieś po drodze zagubiło

się czterdzieści lat, których nie pamiętam.

– Och, tych czterdzieści lat spędziłeś u nas na dole. Tyle czasu minęło, zanim zdołaliśmy cię przywrócić do życia po próbie samobójczej, którą nierozsądnie podjąłeś, straciwszy w Ri Talma najpierw siostrę, a później ukochaną.

– To bzdura – prychnął zmij. Potem przesunął palcami po ledwie widocznych
sinych
bliznach na nadgarstku, tknięty ukłuciem wątpliwości, ale chłodna logika uspokajała.

Kłamstwa, same kłamstwa. Podcięte żyły wyleczyliby w okamgnieniu.

– Oczywiście, że nie pamiętasz. I nie będziesz pamiętał. Po tym, jak ludzkie ciało
mojej

córki zmarło w Ri Talma, by jej druga dusza mogła ożyć w moim królestwie, rzuciłeś na siebie klątwę unicestwienia. Z niejasnych przyczyn – może z powodu błędu, omyłki w formule, może

czegoś innego – zadziałała połowicznie. Czterdzieści lat spędziłeś zawieszony między bytem a niebytem, rozdarty między wymiarami. To Anyah sprowadziła cię z powrotem między żywych,

a w zamian pozwoliłem, by została twoim stróżem. – Spalony Władca nachylił się, wyciągając

dłoń, jakby chciał musnąć palcami szramy na policzku zmija; ten cofnął się, zakrywając ręką policzek, drgający w bolesnym skurczu. – To zostało ci na pamiątkę.

– Nie wierzę – powiedział szybko Krzyczący. A potem przesłonił ręką oczy, gdy wróciło do niego wspomnienie.

*Gorączka zakrzywia kontury świata,
księżyc wydaje się wypalać dziurę w mózgu.*

Piję

*wodę z rowu, próbuję nią obmyć twarz –
boli tak potwornie, jakby w ciało wbijały się
zardzewiałe kolce, jakby skórę powolutku
trawił ogień. Opuchlizna nie pozwala
otworzyć oka.*

*Zbyt słaby, by iść dalej, kładę się na
ziemi. Czuję mdlącą woń zgnilizny. Jestem
martwy, a księżyc spęza w dół jak wąż o ciele
z rtęci, by obgryźć moje zwłoki, zostawiając
tylko kości.*

*Wbił zęby w wierzch dłoni, trzeźwiąc się
ból, żeby nie odpłynąć. Nie pozwolić
świadomości znów umknąć za mętłą
szybę.*

– Nie pamiętam żadnej klątwy –
powiedział wolno, gdy trochę ochłonał. –
Pamiętam za

to, jak opuściłem Ri Talma. Jak błąkałem
się po traktach, gorączkując. To... trwało jakiś
czas.

Raczej tygodnie niż dni... Tyle akurat
pamiętam bardzo dobrze. Więc...

– Klątwa zadziałała połowicznie, mój
agencie. Połowicznie. Na wpół obłąkany z
bólu,

pod jej wpływem istotnie włóczyłeś się
przez jakiś czas, nie mogąc umrzeć. Ponieważ
swoją

obecnością zaburzałeś Ekwilibrium...
mniej więcej tak samo, jak zaburzałoby je
kilkudziesięciu ludzi płonących żywcem...
srebrni zaczęli cię szukać. Z początku marnie
im szło, bo tylko

częściowo znajdowałeś się już w
materialnym świecie, a częściowo wisiałeś w
tej szarej nicości, gdzie mieszkają umarli. Ale

w końcu udało im się ciebie wytropić i zgarnąć. Wtedy

postanowiliśmy zainterweniować, zabraliśmy cię na dół i zajęliśmy się tobą. A kiedy już

zdołaliśmy na powrót scalić twoje ciało i ducha, zostałeś przywrócony światu dokładnie w takim stanie, w jakim do nas trafiłeś... powiedzmy, że za karę.

Krzyczący, choć nadal zasłaniał ręką oszpeconą połowę twarzy, kurczącą się w tiku,

zmarszczył brwi; obudziła się w nim trzeźwa ciekawość. Nawet pomimo faktu, że nadal nie był

przekonany, czy powinien wierzyć w choć jedno słowo demona.

– A to, na co cierpię, te napady wizji....
Mają jakiś związek z tamtą historią? Bo to przecież nie jest choroba głosów, objawy

się nie zgadzają.

– Nie, to nie jest choroba głosów –
potwierdził Spalony Władca. – Ty chorujesz,
można

rzec, na chorobę pamięci... lub też jej
braku. Oszalałbyś, mając w głowie wszystkie
swoje

wspomnienia, dlatego cię ich
pozbawiliśmy. Niestety, nie da się wymazać
pamięci, nie

wywołując skutków ubocznych. Ściślej
mówiąc, w ogóle nie da się wymazać pamięci
w

dosłownym znaczeniu tego słowa. Można
jedynie zablokować wspomnienia, by nie
wracały, co

nie jest pozbawione ryzyka, kiedy blokuje
się większą ich liczbę. Żaden umysł nie jest w
stanie znieść czegoś takiego bez szwanku.
Wiesz coś na ten temat.

– Wiem – mruknął Krzyczący. Znów przypomniiał sobie kryptę śmieciarzy w Podziemiach i siebie wtedy, na samym początku.

– Ocaliłem cię od nieuchronnego szaleństwa, ryzykując, że zamiast wariować od

wspomnień, zwariujesz od ich braku. Na szczęście, tak jak zakładałem, okazało się, że szok

wywołany ich odebraniem stopniowo minął. Pozbierałaś się... Niestety nie do końca. Po jakimś czasie blokady, nawet najmocniejsze, słabną; to, co zostało zepchnięte w głąb, wypływa na

powierzchnię. Stąd właśnie biorą się twoje sny, przebłyski obrazów na jawie i odpływanie od rzeczywistości. Im bardziej twoja pamięć stara się wrócić, tym bardziej cię to destabilizuje.

Jesteś zdrow tylko tak długo, dopóki nie pamiętasz.

– Zatem znowu jesteście w stanie mnie wyleczyć tylko na jakiś czas, tak? Nakładając na

moje wspomnienia świeżą blokadę? –
Krzyżący wstał, gwałtownie odsuwając krzesło. – A
niechże was szlag.

Nie zdążył zarejestrować ani momentu, w którym demon również się podniósł, ani ruchu

jego ręki – jedynie trzask uderzenia i palący ból. Został spoliczkowany jak bezczelny dzieciak.

Źrenice zmija rozbłysły żółto, ale coś – bardzo możliwe, że zdrowy rozsądek – kazało mu

powściągnąć wściekłość i zmilczeć.

– Trochę więcej szacunku, mój agencie – zasyczał Spalony Władca. – Tak, nałożymy blokadę. Tym razem postaramy się, aby podziałała dłużej. Potem, grzecznie wysłuchawszy instrukcji, ruszysz wypełnić swoją część umowy. Jakies pytania?

Brune przełknął wściekłość i upokorzenie.

– Nie.

– Cieszy mnie to. Teraz daj rękę.

– Po co?

Demon uśmiechnął się wzgardliwie.

– Bez obaw, nie spotka cię żadna krzywda. Daj rękę.

Krzyczący nieufnie wyciągnął dłoń. Spalony Władca ujął ją w swoje, gładkie i zimne.

Chwilę później zmij chwycił oddech, nie będąc w stanie nawet wrzasnąć – krew w jego żyłach, zdawałoby się, na mgnienie oka zmieniła się w tysiące brzytw rozdzierających go od środka.

Wrażenie ustąpiło po sekundzie, pozostawiając po sobie jedynie słabe ćmienie, dogasające w całym ciele echo bólu.

– Co to było? – wykrztusił.

– Uzdrowiłem cię z uzależnienia od opium. Potraktuj to jak drobny prezent.

Rozdział 26: Tajemnica demonessy

Kłęb zrośniętych razem węży,
zwieszający się z kikuta uschniętego drzewa,
wił się i
falował, lecz z ich paszcz zamiast syku
wydobywały się ciche, matowe kobiece
głosy,
powtarzające bez ustanku jedną frazę.

*Czy pragniesz cierpieć... Czy pragniesz
cierpieć... Czy pragniesz... .*

Krzyczący w Ciemności ominął je łukiem.

Pasma cuchnącej mgły snuły się między
powykręcanyimi pniami, podobnymi do

kalekich

sylwetek wyciągających błagalnie ramiona. Grzyby barwy rybiego brzucha, wysokie jak dorosły mężczyzna, rozpościerały swe kapelusze niby baldachimy; po niektórych pełzały oślizgłe pomrowy wielkości psa. Podmokły grunt uginał się przy każdym kroku, pod nogami chlupotało;

zagłębienia terenu wypełniała ciemna woda, śmierdząca gorzej niż gnijący szlam z dna fosy.

Żmij przezornie obszedł bokiem grząskie miejsce, gdzie z błota sterczały żebra i kręgosłup jakiegoś wielkiego stwora. Dotarłszy na nieco suchsze wzniesienie, rozejrzał się, czujny i pełen napięcia niczym kot, który zakradł się na obcy teren. Wyczuwał obecność istot, które czaiły się we mgle, w cieniu grzybów i krzaków. Jedne nie reagowały, gdy przechodził, inne skradały się bezszelestnie w ślad za nim. Wiedział, że

obserwują go łakomie, śledząc każdy krok. Czekając, aż osłabnie? Nie wążąc się atakować bez rozkazu? Czuł ich wrogość, z trudem hamowaną żądzą krwi. Miał jednak świadomość, że, o ironio, chronią go stosunki panujące w

Otchłani – subtelne nici powiązań i zależności między Dolinami. Skoro zuchwale zjawił się tu w pojedynkę, on, słaby mag z krwi i kości, wedle logiki demonów znaczyło to, że musi

reprezentować kogoś potężnego. Był zatem nietykalny – do czasu.

Przybył na te cuchnące bagniska, wykorzystując czar tropiący zorientowany na więź

między agentem a jego demonem stróżem, otrzymany od Spalonego Władcy.

Konstrukcja

zaklęcia nie przypominała żadnej ze znanych zmijowi formuł, czy to srebrnych, czy czarnych, ale zadziało. Mniej lub

bardziej.

Od momentu, gdy zmaterializował się w podmokłej kotlinie na pograniczu Doliny Rdzy i

Doliny Kwiatów, Brune widział w oddali swój cel – twierdzę górującą ponad morzem oparów – i ku swej frustracji musiał brnąć ku niej pieszo. Aura tego miejsca zaburzała magię teleportacyjną równie silnie, co czary, którymi srebrni magowie obwarowywali swe siedziby – bał się

próbować tu dematerializacji czy otwarcia portalu. Nie miał najmniejszej ochoty zawisnąć

uwięziony w pustce między światami lub zginąć w płomieniach królestwa salamander.

Okolica przyprawiała go o ciarki. Tchnęła czernią w inny sposób niż Dolina Popiołów.

Przebywając w dominium Spalonego Władcy, nabierał sił, zaś te smrodliwe

moczary

przytłaczały go, wydawały się powoli wysysać wolę życia.

Ciemna, oleista toń była jak brudne zwierciadło, w którego głębi czaiły się koszmary.

Wszystkie zapomniane grzechy, zastarzały ból, zaginiona, odebrana przeszłość – nie mógł się oprzeć myśli, że to wszystko tam jest. Czai się, pełza, czeka. Na potknięcie, nieostrożny krok?

Zaledwie to pomyślał, zahaczył butem o korzeń i omal nie wyłożył się jak długi.

Oddychając ciężko, przystanął. Rozejrzał się. I poczuł narastający gniew.

Majająca w oddali twierdza nie przybliżyła się ani trochę.

– Ejże, człowieku – usłyszał za sobą syczący szept. – Czego tu szukasz? Zgubiłeś się?

Odwrócił się szybko. Na gałęzi drzewa siedział brzydki kosmaty stworek, podobny do

dusiołka, lecz o olbrzymich, jarzących się czerwono ślepiach i pysku przypominającym trąbkę.

– Coś ty za jeden? – spytał Krzyczący.

Stworek poruszył trąbką, nadał się, po czym z nienacka splunął deszczem jadu.

Brune w

porę osłonił się zaklęciem tarczy. Kilka kropel, które zdążyły paść na jego kurtkę, z sykiem wżarło się w sukno.

Oczy zmija zwęziły się. Wyszeptał parę słów w mowie magów. Paskudztwo wrzasnęło,

łapiąc się za pękaty brzuch. Spadło z gałęzi niczym włochata piłka, odbiło się kilka razy od ziemi i potoczyło, znikając w zaroślach.

Gałęzie drzew zaszumiały złowrogo. Brune nagle poczuł, że coś łapie go za kostkę.

Wyszarpnął się gwałtownie i wzniósł nad ziemię, lewitując, a długie macki, które podpełzły ku niemu niepostrzeżenie, bezsilnie chwyciły teraz powietrze. Właściciel macek, tylko częściowo wynurzony z błota, nienawistnie łypał ku zmijowi bladym okiem.

Dość tego – pomyślał ze złością
Krzyczący. Wbił spojrzenie w odległą
twierdzę i skupił
się, sięgając w jej kierunku zmysłami

maga. Nie, nie była iluzją, wyczuwał jej obecność – ogrom zimnej skały nasyconej złą, obcą magią Otchłani. Gdy zamknął oczy, był w stanie ujrzeć to, co kryło się wewnątrz. Cienie. Szepty. Falowanie. Jak wodorosty. Ręce wyciągające się, by
 pochwycić. Usta otwierające się, by
pożreć.

Tknięty impulsem, maksymalnie skupiony na tym obrazie, ponownie wypowiedział zakłęcie Spalonego Władcy. I rzeczywistość zawirowała, a gdy ponownie się wygładziła,
 zewsząd otaczały go mury – nie lepkie i oślizgłe, jak podświadomie oczekiwał, lecz czarne,
 gładkie jak obsydian.

W mrocznym wnętrzu panowały chłód i cisza. Kroki zmija wydawały się przeraźliwie głośne, gdy powoli szedł przez rozległą

salę, zostawiając na wypolerowanej posadzce
ślady
 błota.

Za szybko, za łatwo...?

Oślonił się czarem tarczy i rozglądał
czujnie, wytestując zmysły maga do granic
 możliwości, w każdej chwili spodziewając
się ataku.

Potem wyczuł obecność, która
przyprawiła go o lodowaty dreszcz.

Ona. Lecz nie potrafił sprecyzować,
gdzie się znajdowała. Nie był pewien, czy
puste pomieszczenie, które ma przed oczami,
nie jest częściowo iluzją; obca, wroga aura
twierdzy
 przytłaczała go i dezorientowała w jeszcze

większym stopniu niż aura bagnisk.

Legowisko smoka.

– Witaj, Deuvenie.

Niski, donośny głos odbił się echem od obsydianowych murów. Brune odwrócił się, dobywając rapiera, a jego źrenice zabłyśły żółto. Nie ujrzał nikogo, lecz wyczuł narastającą wokół moc, ohydną i drapieżną.

Cichy, paskudny śmiech dobiegał niejako zewsząd – wydawał się sączyć ze ścian i spod posadzki. A potem mury zafalowały i zaczęły się wybrzuszać, nie w jednym, a w wielu miejscach. Wybrzuszeń przybywało w oczach – rosły, wzbierały, jakby magia Otchłani

kształtowała kamień niczym miękką glinę.

Od muru oderwał się najpierw jeden toporny kształt, potem kolejne i kolejne. Ich transformacja dobiegła końca – stały się człekokształtnymi postaciami, trochę przypominającymi golemy z Podziemi, lecz o ślepych twarzach bez rysów. Jeden po drugim unosiły dłonie, ze szczękiem wysuwając z palców kilkucalowe zakrzywione ostrza.

Krzyczący skupił się na analizowaniu tego, co mówiły mu zmysły maga. Wyczuwał tylko magię Otchłani, bez śladu indywidualnych jaźni. Zamknął oczy i przywołał więcej mocy, skupiając się na najboleśniejszym z odzyskanych wspomnień, za które omal nie zapłacił zdrowymi zmysłami.

*Kukła ulepiona z popiołu, rozsypująca się
w proch...*

Ślepe istoty zaatakowały go, ze świstem
tnąc powietrze. Pchany i kierowany przez
pulsującą w żyłach czerń, zawirował w
zwinnych unikach, parując rapierem te ciosy,
przed

którymi nie zdołał się uchylić, a potem
wzbił się w powietrze, lewitując. I uderzył.
Uderzył

telekinetycznym wichrem, jak Anavri
wtedy w górach, lecz bez porównania silniej.
Stwory

zakręciły się z wrzaskiem, porwane przez
ten wir jak suche liście, jak krople atramentu
wpuszczone do wartkiego strumienia.
Rozpadły się, zniknęły.

Brune opadł z powrotem na posadzkę,
bardziej zmęczony niż początkowo sądził.

Niedobrze – pomyślał cierpko. W dominium Sathoona tracił siły szybciej niż w materialnym świecie. Zanim wyruszył z Doliny Popiołów, spytał, czy nie mogą mu użyczyć jakiegoś

odpowiednika czarnych monet, jakiegoś dającego moc talizmanu czy choćby szat kogoś, kto

zginął bolesną śmiercią. Dostarczyli mu, czego potrzebował – dość, by mógł się naczepać do syta, lecz nie pozwolili niczego zabrać ze sobą, tłumacząc się nieznanymi mu bliżej prawami

Otchłani.

Anyah! – zawołał w myślach. Wiedział, że tu przebywała, czuł jej obecność. Choć

naokoło widział jedynie ściany z obsydianu, był pewien, że demonessa wpatruje się w niego,

bezsilna, pełna lęku. *Anyah, gdzie jesteś?*

Chwycił gwałtownie oddech, gdy przestrzeń wokół zawirowała – i nagle zewsząd

otoczyły go lustra. Czarne, lśniące prostokąty, małe i duże, niezliczone. Widział w nich swe zwielokrotnione odbicie; zabłocona odzież, umorusana twarz, rapier w dłoni, płonące żółto oczy.

– Deuvenie.

Szept wydawał się sączyć ze ścian, ze sklepienia. Dobiegał zewsząd i znikąd.

– Pokaż się! – zawołał zmij, obracając się; sto jego odbić w lustrach obróciło się równocześnie.

Echo zwielokrotniło cichy, drwiący śmiech.

– Długo czekałem, aż do mnie przybędziesz, agencie Doliny Popiołów.

– Doprawdy? – Brune kątem oka złowił ruch w jednym ze zwierciadeł, smyrgnięcie cienia, lecz gdy obrócił głowę, znów ujrzał tylko dziesiątki swoich odbić.

– Wiem, co cię sprowadza do mej siedziby. – W bezcielesnym głosie pobrzmiewała

kpina, jakby wróg umyślnie chciał się drażnić z intruzem, a może sprawdzał jego reakcję. –

Przysłano cię, żebyś uwolnił swojego demona stróża, co? Ale masz oczywiście świadomość, że

nic na tym nie zyskasz?

Krzyczący, wyteżając słuch i zmysły maga, bezskutecznie usiłował zlokalizować mówiącego. Przygotowany był na dowolną niespodziankę – w pierwszej kolejności na to, że

próba nawiązania dialogu jest zasłoną dymną, próbą uśpienia czujności intruza – dlatego

wzmocnił czar tarczy. Skupiwszy się, bez trudu wyczuwał rozmówcę – jedną potężną, wrogą

jaźń, lecz tak rozmytą, jakby stanowiła jedność z twierdzą.

– Pokaż się! – powtórzył.

– Znam cię – zaszeptał głos, który teraz wydawał się momentami rozszczepiać na wiele

głosów, przywołując na myśl chór umarłych z Podziemi. – Nie jestem ci wrogiem, flecisto.

Wiem, że nie przybyłeś tu z własnej woli.
– Pauza. – Mógłbym ci pomóc się wyzwolić
spod
władzy Doliny Popiołów.

– A to ciekawe – powiedział wolno żmij,
nadal skupiony na badaniu otoczenia
zmysłami

maga. Przez cały czas czuł tę znajomą,
jedyną w swoim rodzaju obecność, jej
obecność; tak

blisko, tak frustrująco blisko, a zarazem
jakby za szybą. Czy Anyah została uwięziona
w

sąsiednim wymiarze, specjalnie po to,
żeby mogła bezsilnie patrzeć, jak właściciel
twierdzy

rozprawia się z intruzem?

Wszystko wskazywało na to, że Spalony
Władca mówił prawdę – tkwiła tu jako
przynęta, a Sathoon dobrze wiedział, kogo

przyślą z odsieczą.

Brune zeszywniał, gdy w głębi jednego ze zwierciadeł pojawiło się seledynowe lśnienie.

Z wolna przybrało na sile, jakby źródło blasku zbliżało się do tafli od drugiej strony. Po chwili w centrum świetlistej plamy pojawiła się druga, ciemna. Rosła szybko, aż przybrała kształt sylwetki.

Wysoki mężczyzna o siwych kręconych włosach, odziany według ziemskiej mody sprzed

dwustu lat – w kaftan z wielkimi bufiastymi rękawami, pludry i jedwabne pończochy. Z ramienia zwieszała mu się krótka, fantazyjna pelerynka. Zawisł wewnątrz zwierciadła, nonszalancko splatając ramiona na piersi, i uśmiechnął się czarnymi wargami.

– Pozwól, że się przedstawię – rzekł. –
Zwą mnie Sathoon. Znałeś mnie w
poprzednim
życiu, Deuvenie.

– Nie przypominam sobie. – Żmij
zwalczył przemożną pokusę, by dodać, że nie
pamięta
wśród swoich znajomych nikogo, kto
nosiłby tak ciekawe ubiory.

– Przelotnie, ale zawsze. Poznaliśmy się w
Ri Talma, dzięki pewnemu młodemu
alchemikowi, któremu pomagałeś w
badaniach nad destylacją duszy. Nazywał
się... Tegrini, jeśli dobrze pamiętam.

Brune wzdrygnął się, uderzony
przebłyskiem wspomnienia.

Tegrini... Niski i pulchny, w skórzanym fartuchu. Odwraca się od zagraconego stołu, zdejmując ochronną maskę z grubego szkła, i mówi coś ze śmiechem, wskazując plamę sadzy na ścianie, sięgającą aż do sufitu...

Otrząsnął się czym prędzej, wracając do rzeczywistości. Mrużąc oczy, wpatrzył się w siwego jegomościa.

Iluzja. Cokolwiek przemawiało z tafl, nie posiadało ciała ani żadnej jego namiastki

–

było równie niematerialne jak wiatr, jak dym. Właściciel twierdzy krył się gdzieś tam głęboko w ciemnościach. Za zwierciadłami.

– Czy wiesz – podjął tymczasem Sathoon

– czemu Dolinie Popiołów tak bardzo zależy na tym, byś im służył?

– Z chęcią się doksztalczę. – Mówiąc to, zmij ostrożnie sięgnął umysłem w mrok za lustrami i aż się wzdrygnął, gdy dotarło do niego, jakie pokłady złowrogiej mocy drzemią w głębi twierdzy. Nie miał najmniejszych szans w starciu z taką potęgą.

Chyba że wykombinuje jakiś fortel. Ale na razie nic nie przychodziło mu do głowy.

Sathoon, czy raczej jego iluzoryczny wizerunek, mówił zaś dalej:

– Jest taka legenda, Deuvenie... Być może ją znasz. Głosi, że gdy przed tysiącletkami dziewięciu bogów waszego świata

walczyło z Wrogiem, to Eresh, pan leków i trucizn, zadał mu śmiertelny cios zatrutą włócznią. Lecz umierający Wróg przepowiedział, że potomstwo Eresha w swoim czasie sprowadzi zagładę na świat ludzi. I Eresh tego samego dnia zabił swoich siedmiu synów.

– Owszem, znam tę opowieść – odparł wolno Krzyczący. – Ale co to ma...

– Istnieje też druga wersja legendy. Mówi ona, że Eresh zabił sześciu swoich synów.

Oszczędził siódmego, który znajdował się jeszcze w łonie matki, śmiertelnej kobiety. Ta sama wersja legendy mówi też, że czarni magowie obdarzeni błogosławieństwem Eresha... w żyłach

których dziwnym trafem zawsze płynie alkaryjska krew... to tak naprawdę jego potomkowie. –

Sathoon zrobił pauzę. – Otchłań zna tę

legendę, zmiju. Mamy podstawy, by przypuszczać, iż jest w niej więcej niż ziarno prawdy. To dlatego Spalony Władca robi wszystko, byś pozostał jego agentem. Liczy, że pewnego dnia staniesz się tym, który sprawi, że Otchłań zatriumfuje nad światem ludzi i wchłonie go w całości.

– Bardzo ciekawe – prychnął zmij. – A co ty masz do tego, że tak spytam?

– Możesz przyjąć, że nie chcę, aby Dolina Popiołów zrealizowała swoje plany. –

Siwowłosy spoglądał na niego, jak się zdawało, z cieniem politowania. – Mam nadzieję, iż jesteś świadom, że uporczywie cię oszukują i manipulują tobą?

– Nie na darmo nazywają was wszystkich władcami kłamstw, demonie. Teraz powiedz mi coś, o czym bym nie wiedział.

Zaczynał odnosić wrażenie, że wyczuwa granice iluzji, lecz nadal nie potrafił przeniknąć

jej wzrokiem. A demonessa gdzieś tu była – wyczuwał jej niecierpliwość, jej strach.

Jakby

krzyczała do niego zza grubej szyby, rozpaczliwie usiłując go ostrzec.

– Czy wiesz – kontynuował Sathoon – że ja nie wykorzystuję ludzi jako agentów?

Mogę

cię wyzwolić spod władzy Doliny Popiołów, nie oczekując niczego w zamian. Zupełnie niczego, Deuvenie. Byłbyś wolny, nareszcie wolny.

Mówił spokojnie, uprzejmym, życzliwym tonem bankiera proponującego spłatę pożyczki

w ratach.

– Odruch bezinteresownego miłosierdzia?
– zakpił zmij.

– Niechęć wobec Doliny Popiołów. Tylko i wyłącznie. Jesteś wykształconym człowiekiem, więc zapewne wiesz, jak to wygląda u nas w Otchłani: jedne Doliny nie lubią innych, stale toczą się walki i podchody. Ale ciebie to nie dotyczy, jesteś tylko kimś, komu podstępnie założono obrożę. Ja zaś mogę ci pomóc ją zdjąć.

– Jak?

– Pochodzę z wysokiego rodu Czarnoustych, moja moc dorównuje mocy Spalonego

Władcy. Mogę złamać ciężące na tobie więzy cyrografu tak, jak ty łamiesz klątwy.

– To nie brzmi zachęcająco, demonie, zważywszy, że złamanie klątwy nie jest w stanie

naprawić szkód, które spowodowała.

– Dobrze, może to istotnie nie najlepsze porównanie. Więzy cyrografu nie wyrządzają ci

żadnej fizycznej szkody, po prostu są, a ja mogę sprawić, żeby ich nie było. – Sathoon rozciągnął

czarne wargi w uśmiechu. – Wystarczy, że podasz mi rękę, flecisto. – Wyciągnął bladą, wypielegnowaną dłoń.

Krzyczący po chwili wahania podjął decyzję. Podeszedł bliżej i powoli wyciągnął rękę w

kierunku zwierciadła.

Na ułamek sekundy przed tym, zanim jego palce zetknęły się z palcami siwowłosego, uaktywnił czar, który szykował już od dłuższej chwili, odzierając otoczenie ze wszystkich

stworzonych magią pozorów. Iluzoryczna postać rozwiała się jak zdmuchnięty płomień świecy.

Rozwiały się też zwierciadła. Sala nagle stała się dużo mniejsza i niższa, a jej obsydianowe ściany wyglądały teraz jak zwykły kamień, przeżarty wilgocią i pokryty zaciekami.

W następnej chwili kontury pomieszczenia zadrgały i Brune poczuł zimną falę

mentalnego ataku, jakby zalała go niewidzialna kaskada lodowatej wody. Z trudem łapiąc

oddech, spróbował się odgrodzić,
wzmocnić tarczę. Nie miał pojęcia, jak długo
wytrzyma;

wobec mocy Sathoona jego własna była
jak papierowa łódeczka rzucona na fale.

Anyah! – krzyknął telepatycznie, walcząc
rozpaczliwie z tym naporem, opierając się ze
wszystkimi siłami; wiedział, że jeśli straci
przytomność, przypuszczalnie ocknie się w
pętach.

Anyah, gdzie jesteś?

Gdyby tylko posiadał cokolwiek, co do
niej należało... Albo gdyby pamiętał więcej...

Spróbował przywołać z pamięci jej
mglistą postać, jej twarz – tę twarz, która
powracała do niego w snach. Ostrzyżone
włosy, wystrzępiona szara chusta i błękitne,
lśniące niezwykłym światłem oczy...

Jakby ten obraz dodał mu sił, zmij poczuł, że zimny uścisk na jego ciele zanika.

Odetchnął, zbierając się w sobie, i powiódł wokół wyzywającym spojrzeniem.

Ku swemu zdumieniu odkrył, że wisi w pustce. Sala zniknęła. Była tylko ciemność – w górze, w dole, wszędzie.

– Jesteś wprost wzruszająco naiwny – rzekł z politowaniem Sathoon, czy raczej iluzoryczny jegomość przemawiający jego głosem, pojawiając się znikąd. Zawisł w powietrzu,

uśmiechając się tak uprzejmie, jakby gawędzili przy grzanym winie i ciastkach. – Naprawdę

sądziłeś, że twój żalosny talent może się na coś przydać przeciwko jednemu z Czarnoustych?

W porządku – pomyślał zimno Brune, tak spokojny, że aż jego samego to dziwiło. Jestem zbyt słaby, by cię zniszczyć. Ty zaś nie zniszczysz mnie, bo chciałbyś, abym stał się twoją własnością... tak jak nie zabija się kosztownego tresowanego sokoła, który wleciał przez okno do cudzego domu. Pat, mości hrabio.

– Nie lubię zabaw pozorami – odrzekł powoli. – Po co te iluzje?

– Mam do nich słabość, ot i wszystko. – Siwowłosy skinął dłonią i nagle znaleźli się w bogato urządzonej salonie: czerwone zasłony, lśniący jak lustro parkiet, zgrabne meble obite pasiastym atłasem według lossorskiej mody. W dwóch dużych lichtarzach płonęły świece.

Krzyczący zmarszczył nos, czując mdlący odór, i rozejrzał się odruchowo w

poszukiwaniu

źródła. Jedynym, co burzyło harmonię wnętrza, była stojąca na stoliczku misa pełna ochłapów padliny.

– Ponawiam propozycję, zmiju – rzekł Sathoon. – Ja zrywam więzy łączące cię z Doliną

Popiołów, ty odchodzisz wolny. Lub też – w jego głosie zabrzmiała nuta groźby – rozprawię się z tobą tak, jak rozprawiam się z intruzami z wrogich Dolin, a wtedy pozostaniesz tu na zawsze.

Wybieraj.

Brune zawahał się. Po raz pierwszy zaświtała mu myśl, że może Spalony Władca kłamał

od początku do końca. Zgodnie z tym, co zmij wiedział na temat praw rządzących Otchłanią,

zgoda na to, by oddać się na służbę któregoś

z Dolin, musiała zawsze zostać wyrażona wprost, w niebudzących wątpliwości słowach. Nie mógł zostać sługą Sathoona, dopóki dobrowolnie nie

zadeklarował takiej intencji. A Sathoon jak dotąd wcale nie kwapił się, by mu to zaproponować.

Może zatem oferta demonicznego hrabiego była najzupełniej szczerą?

Motywowana, tak jak sam

oświadczył, chęcią zaszkodzenia Dolinie Popiołów i niczym więcej?

Nic nie jesteś winien Spalonemu Władcy
– szepnął trzeźwo głosik w głowie zmija.

Lecz natychmiast odpowiedział mu drugi:

*Nigdy nie ufaj demonom. A zwłaszcza wtedy,
kiedy*

*twierdzą, że gotowe są bezinteresownie ci
pomóc.*

Co by się stało, gdyby Sathoon istotnie

zerwał więzy cyrografu? Nagle zmij pojał, na czym polega kruczek. Bezczelny w swej łatwej do przeoczenia oczywistości, niczym podstępne

klauzule w umowach, jakimi bankierzy wiązali klientów. *Jestem tu sam, nie mogę się zdematerializować ani otworzyć portalu. Aby się stąd wydostać, musiałbym ponownie przebyć pieszo bagna... Więcej niż pewne, że tym razem ich mieszkańcy nie pozwoliliby mi bezpiecznie przejść. Ktoś życzliwy niewątpliwie zdążyłby ich poinformować, że już nie obejmuje mnie protekcja żadnej obcej Doliny, że jestem po prostu słabym, smakowitym kąskiem ludzkiego mięsa. A Sathoon zjawiłby się w ostatniej chwili, oferując mi uratowanie życia w zamian za przyjęcie na służbę.*

Nie ze mną takie gierki, hrabio.

– Najpierw mnie złap – syknął, po czym

spowił się niewidzialnością i wykorzystując
swe

doświadczenie w iluzjach, przekształcił
otaczającą ich fałszywą rzeczywistość. W
przyptywie złośliwej kreatywności zasypał
elegancki salon stertami tych śmieci, które
gniły na tyłach

jadłodajni w Eume.

Uśmiechnął się mściwie, gdy całe
pomieszczenie poczęło falować i wzdymać
się, a

potem wszystko – meble, zasłony, śmieci
– ożyło, łącząc się w przedziwne
konfiguracje, rosnące w oczach po to, by
malowniczo się rozpaść.

Efekt interferencji. Tak jak żmij
przewidywał, jego własne iluzje weszły w
reakcję z

tutejszymi – skutek zmieszania dwóch
obcych sobie mocy.

Potem świece, połamane teraz i sterczące wprost ze ścian oraz spomiędzy fragmentów mebli, lecz wciąż płonące iluzją ognia, zgasły. Wnętrze salonu – przypominającego obecnie

raczej deliryczny majak – zniknęło, wymazane przez mrok. Czarnej twierdzy nie spodobała się ziemska magia. To także było do przewidzenia.

Czując, jak wokół niego ponownie tężeje zimny uścisk mocy Sathoona, Brune wsunął dłoń za pazuchę i zacisnął palce tym razem nie na gemmie, lecz na woreczku z dwiema kartami.

A potem skupił się na najbardziej wyrazistym obrazie demonessy, jaki był w stanie przywołać.

Noc w Shan Vaola, gdy na dworze padał śnieg, on palił opium na ulicy i Anyah przyszła do

niego... Zapomniał o tym, tak jak zapomina się sny, lecz teraz wspomnienie powróciło, zarazem smutne i słodkie.

Znów stanęła mu przed oczami taka jak wtedy, pod postacią ludzkiej kobiety w szubce i

eleganckiej sukni. Miękkie futro jej szala, zapach owocowych perfum i wirujące wokół białe płatki.

Znów poczuł na twarzy jej pocałunek.

Ponieważ tęsknisz.

I poczuł, że dematerializuje się, wymyka tym okowom, które już-już miały go zadławić.

Gdy otworzył oczy, ujrzał komnatę o
żebrowanym sklepieniu i ścianach z
pociemniałej

cegły. Na ścianach, w żelaznych
uchwytach, płonęły pochodnie. W rogu
wznosiła się

prymitywna rzeźba z szarego piaskowca;
u jej stóp stał mały ołtarz, na nim naczynia
ofiarnicze.

Spętana potrójnym kręgiem nakreślonych
na posadzce symboli, Anyah trwała w
bezruchu, ledwie widoczna, niczym
smuga mgły. Ale na jego widok uniosła
głowę.

– Uwolnij mnie – szepnęła ledwie
słyszalnie.

Sekundę później komnata zaczęła

falować, a Brune jęknął, znów walcząc z zaciskającą

się wokół niego niewidzialną zimną obręczą – Sathoon się zorientował, dokąd umknęła ofiara.

Mobilizując ostatnie rezerwy mocy, by zablokować jego atak, żmij dobył sztyletu i skaleczył się w dłoń, po czym w trzech miejscach skropił krąg swoją ziemską krwią, niweczając jego moc.

I obyś była w stanie coś zrobić, bo ja już nie. Czuł, że lada moment przegra mentalne starcie. Pociemniało mu w oczach, skóra mrowiła ciarkami. Osunął się na kolana.

Zdażył wyczuć wahnięcie aury, gdy symbole kręgu z sykiem rozbłysły czerwienią, a

potem zniknęły. W następnej chwili owionęła go mgła. Anyah wzbiła się ze swojego więzienia, niematerialna jak obłok,

do reszty tracąc ludzkie kształty.

Usłyszał jej głos. Recytowała formuły w języku Otchłani. Zimny napór obcej mocy zelżał. Brune odczekał chwilę, aż miną zawroty głowy, po czym dźwignął się chwiejnie.

Miejsce, gdzie się znajdowali, zmieniało się w oczach – ściany lochu przekształcały się w

czarny obsydian. Żmij czuł wzbierającą wściekłość Sathoona, jakby wokół kumulowały się

wzburzone fale, które lada chwila runą, by ich zatopić.

Chłodne dotknięcie przejęło go dreszczem. Owionawszy go niczym mgłą, Anyah

czarpała od niego siłę życiową. Po chwili

szarawy opar ponownie ułożył się w znajomą postać odzianą w postrzępione szaty.

– Daj mi twój sztylet – rozkazała.

– Ale...

– Sztylet! – Wyciągnęła rękę.

Wręczył jej broń, rozpaczliwie walcząc z ogarniającą go słabością – czerpanie dobiło go ostatecznie.

– Teraz pokaż dłoń – poleciła. Gdy usłuchał, czubkiem ostrza nakreśliła na jego skórze

jakiś znak. Znak ochronny? *Rychło w czas* – pomyślał cierpko Krzyczący. Kłujący ból

skaleczenia trochę go otrzeźwił, ale
obsydianowe mury znowu wzbierały
dziesiątkami

wybrzuszeń, kształtujących się w sylwetki
człekokształtnych stworów ze szponami.

A potem uświadomił sobie, że otaczająca
go aura zmieniła się – już nie była zimna i
obca, lecz tchnęła gorącą, kuszącą
obietnicą siły, tak jak aura Doliny Popiołów.

– Co mi zrobiłaś?! – Zwrócił się ku
demonessie, zaskoczony i wystraszony.

– Zdjęłam blokadę, która ciążyła na tobie,
odkąd tu przybyłeś – odparła z uśmiechem,
oddając mu sztylet. – Jestem demonem z
innej Doliny, nie mogę czerpać mocy z tego
miejsca.

Ale ty teraz już możesz. Czerp i przekazuj
mi moc, ja się zajmę resztą.

Nie tracąc czasu na zadawanie pytań,
Brune schował broń i opadł na kolana,
przykładając
dłonie do posadzki. Czuł... Teraz – och, na
bogów – czuł je. Tak, jak w Dolinie
Popiołów.

Tysiące pochłoniętych dusz, które zlały
się z tym miejscem w jedno. Tysiące pełnych
bólów głosów dźwięczących w jednym
chórze, budzących w nim znajomy głód.

Demonessa położyła mu ręce na
ramionach.

– Spokojnie! Ty tylko kanalizuj. I nie bój
się.

Dzieci obsydianowej twierdzy płynęły ku nim, unosząc szpony, szczerząc bezokie paszcze. Zaczął czerpać, stopniowo otwierając się na cierpienie setek tysięcy dusz.

Strumień mocy wniknął w niego jak gorące ostrze, lecz nie raniąc, nie powodując bólu.

Na moment wszystko przesłoniła czarna euforia. Gdy Brune odzyskał wzrok, zobaczył, że

wrogowie rozpadają się w dym, lecz ściany twierdzy rosły z każdą chwilą, wyciągając się w

górze. Sklepienie niknęło teraz w ciemności gdzieś tam hen, wysoko.

W oczach rosła też demonessa. Rychło stała się olbrzymią mglistą postacią o włosach jak połacie chmur.

W mroku załśniła poświata, powoli kształtując się w sylwetkę gigantycznego białego

zwierzęcia. Lew o ciele jakby uczynionym z księżycowego blasku. Ryknął tak głośno, że obsydianowe mury się zatrzęsły, a Brune – karzełek przy dwójce demonów – pojął, że oto

Sathoon objawił się w swojej prawdziwej postaci.

Anyah otworzyła oczy, jarzące się niczym dwa błękitne księżyce.

Wyciągnęła ręce. Zahuczał wicher.

Lew skoczył na nią.

Wszystko zniknęło w czarnym błysku.

Gdy odzyskał przytomność, przez długą chwilę nie widział zupełnie nic. Wisiał w mrocznej nicości, pozbawiony ciała.

Potem przed jego oczami zjawiły się obrazy. Wstrzymał oddech, gdy dotarło do niego, że
widzi wspomnienia Anyah – to, co wydarzyło się w Ri Talma czterdzieści lat wcześniej.

*Siwowłosy mężczyzna w odzieniu
bakałarza leży na posadzce lochu, u stóp
rzeźby z*

*piaskowca przedstawiającej lwa. Jego
twarz jest jedną krwawą miazgą, w poprzek
gardła ziele głęboka rana, a pierś nie
porusza się w oddechu.*

*Materialna powłoka została zniszczona, a
to, co ją zamieszkiwało – przegnane do
Otchłani.*

*Dziewczyna w żałobnej sukni przywołuje
gestem swoją drugą duszę. Anyah niechętnie
przestaje chleptać krew i zostawia trupa.
Na razie jeszcze musi być posłuszna swej
znenawidzonej siostrze z ciała i kości.
Tej kruchej, słabej istocie zrodzonej z
kobiecego łona.*

Alessa. Tak brzmi jej imię.

Alessa powoli podchodzi do ołtarza i patrzy na ofiarne naczynia. W glinianej misie leżą cuchnące skrawki padliny, ruszające się od larw. Obok spoczywają dwie posiniąte martwe

dłonie, ucięte w nadgarstkach. Nad wszystkim góruje zaś szklany kielich pełen dziwnej

fosforyzującej cieczy, znad której wznoszą się delikatne smużki pary.

– To eliksir sprowadzający ślepicę – mówi Anyah, towarzysząca swej bliźniaczce jak cień. – Sathoon uwarzył go z jaskółczych odchodów i krecich serc, z koguciego piania i wężowego jadu, z własnej krwi i ostatniego oddechu martwej kobiety, tak jak uczą prastare księgi z Abroz Khar. Każdy, kto umrze podczas tej epidemii, obudzi się w Otchłani jako poddany Doliny Światła.

– *Wiesz, jak zneutralizować ten czar?*

– *Wiem, siostrzyczko. Ale obawiam się, że to nie będzie łatwe.*

– *Mów.*

– *Musisz wypić wszystko, co jest w kielichu, do ostatniej kropelki. Kogoś zabito, by*

wywołać tę zarazę, i ktoś musi oddać życie, żeby ją powstrzymać.

Alessa milczy dłuższą chwilę, przetrawiając to, co usłyszała. Może kalkulując za i przeciw?

*– Jego śmierć – wskazuje głową
martwego mężczyznę – się nie liczy?*

*– A jak sądzisz? Nie, nie ma tak łatwo. To
musi być dobrowolna ofiara, siostrzyczko.
Znasz zasady.*

*Alessa powoli potrząsa głową. Bierze do
rąk kielich, potem go odstawia. Walczy ze
sobą.*

*Anyah, widząc to, uśmiecha się kącikiem
ust.*

*W oczach jej siostry pojawiają się łzy.
Nagle chwytą naczynie i pije duszkiem, jakby
bojąc się, że w trakcie może zabraknąć
jej odwagi.*

*Odrzuca kielich, który rozbija się z
brzękiem, i jęcząc, pada na kolana. Zaczyna*

kaszleć, a potem krztusić się, rozpaczliwie walcząc o oddech. Anyah patrzy na to beznamiętnie.

Osiągnęła cel.

Alessa kaszle długo, bardzo długo. W końcu przestaje. Dźwiga się niepewnie, ale nogi

uginają się pod nią, musi się oprzeć o ścianę. Krzywiąc się, przyciska dłonie do brzucha.

– Boli, co? – pyta demonessa. Nie słysząc odpowiedzi, wzrusza ramionami i odwraca się,

jakby zamierzała odejść.

– Wracaj, Anyah – mówi zimno Alessa. W jej głosie nie słychać nawet śladu drżenia. – Dopóki żyję, ja tu rządzę.

Wyciąga rękę, a demoniczne drugie ja powoli, z niechęcią przyływa do niej i wnika z

powrotem w jej ciało. Anyah wie, że nie ma potrzeby się kłócić. Wystarczy wszak odrobina cierpliwości. Jeszcze tylko kilka godzin...

Nie zamierza też informować siostry, że skłamała – że dusze tych, którzy zmarli na zarazę, nie ulecą w światłość, wolne, lecz trafią do Doliny Popiołów. Nie będzie aż tak okrutna, by kazać Alessie umierać z tą świadomością.

Alessa tymczasem wychodzi z lochu, przytrzymując się ściany. Przeciera oczy; widzi teraz wszystko jak przez mgłę. Znow dopada ją atak suchego kaszlu. Gdy wreszcie mija, dziewczyna zaczyna się chwiejnie wspinać na schody, przystając co jakiś czas,

żeby złapać oddech.

– Nie – szepnął Brune, choć wiedział, że nie da się cofnąć przeszłości, nie da się wymazać tego, co wydarzyło się przed czterdziestu laty.

A potem się ocknął. Tym razem naprawdę. Stał wśród obsydianowych murów, a kawałek

dalej spoczywało potężne białe truchło, spod którego sączyła się krew koloru smoły.

Głuchy, złowróżbny grzmot wstrząsnął fundamentami budowli, ściany zadygotały.

Demonessa spłynęła na posadzkę, malejąc do ludzkich rozmiarów.

– Chodź – powiedziała. – To wszystko zaraz runie. Zaklęcie tarczy nie wystarczy, ja

cię
ochronię.

Objęła go mocno. Brune poczuł tylko chłód, jakby owionął go wiatr.

Chwilę później twierdza zaczęła się walić.

Odkąd wiodła samodzielne życie jako demon, Anyah nie знаła takiego uczucia jak strach. Gdy zamek Sathoona rozpadał się wokół niej, myślała tylko o tym, by człowiek, którego osłaniała, nie doznał żadnej krzywdy.

Po kilku nieskończenie długich sekundach, a może minutach, nad ich głowami załśniło

blade niebo. Stali na szczycie wzgórza, a wokół wznosiły się sterty czarnego gruzu – wszystko,

co pozostało z twierdzy. Córka Spalonego Władcy rozejrzała się beznamiętnie.

W dole, wśród snujących się mgieł wrzał gorączkowy ruch. Stwory żyjące na moczarach

nie czekały, aż będzie im dane posmakować gniewu wrogów, którzy zburzyli siedzibę

Czarnoustego, lecz uciekały – leciały, biegły i pełzły w stronę granicy.

Brune oparł się o fragment zburzonego muru, dygocząc na całym ciele. Nie był

ranny,

tylko oszołomiony, w szoku. Anyah dotknęła jego ramienia.

– Daj mi rękę. Wracamy do Doliny Popiołów.

– Nie – szepnął nieprzytomnie. Oczy miał szeroko otwarte, szkliste, wpatrzone w jeden punkt. Majaczył.

– *Niepotrzebnie to zrobiłeś. – Dłoń w metalowej rękawicy dotyka płonącego bólem*

policzka. – Na dziewięć ognistych kręgów Rahimu, czemu nie mogłeś się zabić jak normalny człowiek? Otruć się, powiesić, podciąć sobie żył? Teraz minie wiele lat, nim zdołam cię przywrócić między żywych. A nie wiem wcale, czy warto.

– Warto, ojcie. – Jedna z szaro odzianych kobiecych postaci pod pływa bliżej. – To spadkobierca Adriena de Vere, obdarzony błogosławieństwem Eresha. Bóstwo naznaczyło go rękami losu, tak jak piszą w księgach.

Nie chcę się zastanawiać nad tym, co znaczą jej słowa. W otumanionym gorączką mózgu kołacze się tylko jedna rozpaczliwa myśl.

Nie umarłem.

Jedna rana za moją siostrę, jedna za kobietę, którą kochałem, jedna za mnie samego.

Maść z tojadem, a na koniec klątwa, która miała obrócić w proch moje ciało i na zawsze

zniszczyć duszę. Klątwy zyskują siłę dzięki bólowi, stąd dodatkowe dwa cięcia i rozjątrzająca je toksyna – to jedno, już gojące się, które zafundował mi de Lyche, mogłoby nie wystarczyć, żeby nabrała wystarczającej mocy.

Legendarna, nadnaturalna żywotność ka-ira sprawia, że samobójstwo staje się cokolwiek problematyczne. Ogień mógłby mnie zabić – ale mógłby też nie zabić; podobnie poderżnięcie sobie gardła, skok z dużej wysokości czy trucizna. W księgach można wyczytać, iż próby

powieszenia bądź utopienia ka-ira zwykle kończyły się tak, że życie po jakimś czasie

powracało –

*do nieodwracalnie uszkodzonego mózgu.
O tym zaś, by użyć do tego celu magii
teleportacyjnej, lepiej zapomnieć –
dematerializacja czy portal czasem zabijają
wskutek błędu w formule, wypaczenia aury,
ale nigdy na skutek świadomego działania
maga.*

*Bardzo nie chciałem ryzykować, że
przeżyję. Stąd klątwa.*

Która, jak się okazało, nie wystarczyła.

*Choć jej czarny żar zżera mi połowę
twarzy i pali w żyłach, nie umarłem. W
każdym razie nie w ogólnie przyjętym
znaczeniu tego słowa.*

Wspomnienie było jak półeczka nad

przepaścią, na której chwiał się przez chwilę
– a

potem spadł. Runął w ciemność, w pustkę
bez czucia i pamięci.

– **Brune**, obudź się.

Chłód na twarzy, jakby owionął go wiatr.

– Obudź się, proszę.

Otworzył oczy i beznamiętnie popatrzył

na pochylającą się nad nim postać. Usiadł ostrożnie i zobaczył, że znajdują się na pagórku wznoszącym się ponad popielistą równiną, zasnętą pełzającymi leniwie oparami.

Potarł czoło, usiłując zebrać myśli. Czuł się słaby i oszołomiony, jakby obudził się po pełnym halucynacji półśnie zesłanym przez *utalhixtal* albo z majaczeń wywołanych gorączką.

Nie do końca potrafił złożyć w całość wydarzenia z ostatnich godzin. Ale pamiętał, kim jest towarzysząca mu kobieta o szarej jak popiół skórze, w postrzępionych szatach barwy pyłu.

Nie wiedział, czy powinien jej nienawidzić, czy czuć bezsilny smutek na myśl o tym, co

ją spotkało wtedy w Ri Talma. Co spotkało ich oboje. Na to pytanie, jak na tyle

innych, nie było odpowiedzi.

– Jak się czujesz? – spytała demonessa.
Wzruszył ramionami.

– Bywało gorzej.

– Spalony Władca czeka na ciebie na zamku – powiedziała. – Jest ci winien podziękowania.

Brune zawiesił wzrok na jej twarzy, znajomej i obcej zarazem. Przypomnił sobie pełne

rozpaczy i determinacji spojrzenie jej ludzkiego wcielenia. *Wracaj, Anyah. Dopóki żyję, to ja tu rządzę.*

Alessa, dziewczyna w żałobnej sukni,

zmarła na zarazę w Ri Talma. Istniała już tylko

Anyah, córka Spalonego Władcy.
Księżniczka Otchłani.

– Uwolniłem cię – powiedział powoli.

– Tak.

– Co teraz? Pozwolicie mi wrócić do świata żywych i wymażecie pamięć? Znowu?

Demonessa odwróciła głowę, jakby nie chcąc patrzeć mu w oczy.

– Zapewne. Zdecyduje o tym mój ojciec.

W dole, nad Doliną Popiołów, snuły się

dymy i cienie.

Rozdział 27: Śmierć zapisana w gwiazdach

Śledztwo, które z rozkazu Akhanii rozpoczął Mohellen, dość długo nie przynosiło

oczekiwanych efektów. Owszem, udało się dowiedzieć, kim był morderca z Eume. Jakie nosił

nazwisko, od jak dawna mordował, ile ofiar miał łącznie na sumieniu i komu służył. Ale obecni na balu *ka-ira*, kimkolwiek byli, umieli skutecznie zatrzeć swój ślad. Czary wróżebne nic nie dały, podobnie jak wysłanie w sfery astralnych tropicieli.

Mohellen był jednakże wytrwały, a Elita nie na darmo dysponowała siatką szpiegów i

informatorów, zarówno w świecie ludzi, jak i wśród mieszkańców astralnego świata. Dlatego po wielu wysiłkach udało mu się w końcu wpaść na trop ciemnowłosego, śniadego zmija o żółtych

źrenicach, a gdy powiązano jego opis z pewnym listem gończym, poszukiwania podjęto ze zdwojoną energią.

Cieniutkie nitki tropu biegły w różne miejsca. Do Gyary, gdzie członkowie cechu grabarzy okazali się niechętni do współpracy i nawet kuszeni złotem nie wyjawili niczego

użytecznego. Do felczera nazwiskiem Denigis, który – jak na złość – zniknął, jakby zapadł się pod ziemię, nim agenci Elity zdążyli do niego dotrzeć. Do starej biblioteki w Tay, której

mieszkańcy za stosowną sumę z rozkoszą sprzedaliby każdego – lecz, niestety, w tym przypadku wiedzieli zbyt mało, by to, co

wyjawili, miało jakąś wartość. I do karczmy położonej w Chereon, w ósmym dominium astralnym, gdzie zmiennokształtny wilkostwór powiedział Mohellenowi

kilka ciekawych rzeczy nad szklanicą fosforyzującego zielonego trunku, łąc jak z nut, ale na swoje nieszczęście zapomniał, że srebrni magowie potrafią wyczuwać kłamstwo równie sprawnie jak czarni.

Śledztwo nabrało tempa dopiero wtedy, kiedy ludzie Mohellena, idąc za donosem na temat pewnej młodej lekarki, dotarli do szpitala dla ubogich w Shan Vaola. Trafili tam na

rozmownego medyka nazwiskiem Kranz, który udzielił im nader interesujących informacji – i zainkasował za nie elegancką sumę.

Potem było już tylko kwestią czasu, nim

akolici Mohellena, wytrwale rzucając czary
wróżebne i zaznaczając wyniki na mapach
sfer, zdołali wyznaczyć najbardziej
prawdopodobną
lokalizację poszukiwanej enklawy. Gdy
następnie wysłano w tamten rejon astralnego
szpiega,
ten powrócił z wielce ciekawymi
wieściami.

Tak ciekawymi, że Mohellen uzyskał od
władz Elity pozwolenie, by zorganizować
atak.

Dobrze znając Marshię, Anavri spodziewała się, że teraz, gdy wróciła pod jej skrzydła, dawna mistrzyni narzuci żelazną dyscyplinę i zacznie uczyć tego wszystkiego, w czym nie

zdażył jej wyszkolić Brune, komentując cierpko jego brak systematyczności i konsekwencji.

Myliła się jednak. Marshia, pochłonięta własnymi sprawami, spędzała teraz całe dni w zamkniętej pracowni, a dziewczęta pozostawiła samym sobie, pod życzliwą kuratelą Zazela.

Chowaniec początkowo nie chciał im wyjawić, czym mistrzyni się zajmuje. Na trzeci dzień

Lorraine zdołała jednak wydobyć z niego prawdę. Wykorzystując znajomości i powiązania, jakie jej jeszcze pozostały w materialnym świecie, Marshia szukała dla nich obu innych domów, innych opiekunów.

A to mogło oznaczać tylko jedno.

Dopiero teraz, obserwując mistrzynię na co dzień, Anavri zdała sobie sprawę, że mimo wszystkich wysiłków Krzyczącego, by przywrócić Marshii zdrowie, walka w sferach okaleczyła

zmijkę nieodwracalnie. Marshia najwyraźniej też przestała się łudzić, że kiedyś odzyska choćby ćwierć dawnej sprawności. I, trzeźwo myśląca jak zawsze, za priorytet przyjęła zapewnienie bezpieczeństwa uczennicom.

Przez trzy kolejne wieczory, przewracając się bezsennie w czyściutkiej, wykrochmalonej pościeli, Anavri zastanawiała się, co je obie teraz czeka. Była skłonna się założyć, że Lorraine trafi pod skrzydła jakiejś bogatej arystokratycznej rodziny – zostanie powierniczką czyjejs córki jedynaczki, a może będzie towarzyszyć na każdym kroku

czyjejś sędziwej, niedołejnej babce.

Szlachetnie urodzona, wykształcona w tajnikach etykiety, milcząca, umiejąca wtopić się w tło – bo to wszak już nie tamta Lorraine, o której półtora roku wcześniej plotkowano na wszystkich

salonach Szmaragdowej Dzielnicy.

Przestała słyszeć głosy umarłych, a z całego repertuaru

dawnych dziwactw pozostało jej jedynie ubieranie się na czarno. Anavri nie wątpiła, że jeśli kuzynka uzna za stosowne, bez trudu ukryje przed otoczeniem fakt, że miewa wizje. Tak,

Lorraine sobie poradzi.

A ja?...

Coś mówiło jej, że Marshia może chcieć ją oddać pod opiekę komuś piastującemu wysokie stanowisko. Nie tropi się *ka-ira* na dworach władców ani w świtach

dypłomatów.

No cóż, zawsze możesz po prostu wybrać samodzielność. Biła się z myślami, nie wiedząc, co byłoby lepsze. Wiedziała, czego pragnąłby jej ojciec, lecz miało to dla niej coraz mniejsze znaczenie.

Wiedziała też, co doradziłby jej Brune.

Stopniowo zaczynało do niej docierać, jak bardzo za nim tęskni, i ta świadomość bolała.

Szóstego dnia po kolacji Marshia wezwała Anavri, Lorraine i Zazela do swej pracowni.

– Dziewczęta, musimy pomówić o waszej przyszłości – oznajmiła tonem, w którym pobrzmiwało skrywane napięcie.

Choć w komnacie nie było zimno, Anavri zadrżała. Od chwili, gdy dopiła herbatę i wstała od stołu w jadalni, ciążyło jej nieokreślone złe przeczucie. Jakby ta rozmowa miała przynieść niedobre skutki.

Zerknęła na kuzynkę. Lorraine nie wyglądała na zaniepokojoną ani zmartwioną. Zsunęła z nadgarstka bransoletkę ze srebra i polerowanych muszelek – upominek, który Anavri kupiła dla niej na targowisku na Wyspach Śpiewu – i zaczęła się nią bawić.

Naraz wzdrygnęła się i teatralnie zapatrzyła w przestrzeń. Na tak długą chwilę, że najpierw Zazel, a potem Marshia obejrzeli

się na nią ze zdziwieniem.

– Lorraine? – zagadnął ostrożnie chowaniec. – Co widzisz?

Bransoletka wysunęła się z palców dziewczyny i spadła na parkiet.

– Idą! – wykrztusiła w dal patrząca, tocząc wkoło nieprzytomnym spojrzeniem. – Idą tu!

– Ale kto? – Zazel wskoczył na stół, podbiegł do niej. – Kto, Lorraine?

Z rozlewającym się powoli dreszczem zimnej, mdlącej zgrozy Anavri zdała sobie sprawę, że zna odpowiedź, nim ta padła:

– Sre... brni...

Marshia poderwała się z miejsca,
przypadła do dziewczyny.

– Ile mamy czasu?! – krzyknęła nieswoim
głosem.

Lorraine oklapła, oddychając ciężko.
Zmijka potrząsnęła nią.

– Ile mamy czasu?!

Panna Nevers opanowała się nadludzkim
wysiłkiem, przełknęła ślinę i popatrzyła na
nich

już przytomniej, lecz z takim
przerażeniem, że Anavri zrobiło się zimno.

– Może kwa... drans...

– Musieli rzucić Mgłę Quislinga –
wyjąkał pobladły jak ściana Zazel –
zabezpieczyć się
przed magią wróżebną, inaczej byś...

Marshia nie słuchała go. Podbiegła do
bocznego stolika, na którym leżał papier i
przybory do pisania. Chwyciła pióro i
nakreśliła na kartce kilka zdań, skinieniem
dłoni osuszyła atrament, po czym wręczyła
Lorraine złożony we czworo list.

– Schowaj i strzeż jak źrenicy oka!
Wręczysz go bankierowi Orpiusowi w Bel
Ingre,
nikomu innemu, pamiętaj! – Zwróciła się
do chowańca. – Zabierz ją do materialnego
świata i

zostań z nią. Nie waż się tu wracać.

Zazel przytaknął bez słowa. Marshia położyła dłoń na jego łysej głowie, a Lorraine przytuliła, krótko i mocno. Potem przywołała Anavri i wcisnęła jej w rękę niedużą, lecz ciężką sakiewkę.

– Złoto – powiedziała krótko. – Będzie ci potrzebne.

Czubkami palców dotknęła czoła dziewczyny, szepcząc coś. Anavri w niemym szoku

patrzyła, jak Zazel i Lorraine wkraczają w zwierciadlaną taflę, pulsującą kolorowymi wzorami.

Po sekundzie portal się zamknął, lustro znowu było już tylko lustrem.

Przełknęła ślinę. Serce tłukło się w jej piersi niczym spłoszony ptak. Marshia – jak ona to robiła, na Otchłań?! – nadal była lodowato spokojna.

– Biegnij nad staw – rozkazała – i zdematerializuj się tak, żeby zatrzeć za sobą trop.

– Dokąd?

– Jak najdalej, dziewczyno, jak najdalej! Och, na Otchłań, poczekaj... – Mistrzynie rozejrzała się po półkach, chwyciła niedużą, zniszczoną księgę i wetknęła Anavri do rąk. – Weź jeszcze to, przyda ci się. Teraz leć!

Anavri nadal stała jak wmurowana, zastanawiając się, co powinna powiedzieć,

jakimi

słowami się pożegnać. Marshia chwyciła ją za ramię i popchnęła do drzwi.

– Uciekaj! – krzyknęła.

Na wpół ogłupiała Anavri wreszcie ocknęła się z odrętwienia. Gdy zbiegała po schodach,

jej kroki dźwięczały echem w pustych korytarzach willi. Nagle poczuła idiotyczną nadzieję, że może tego dnia wcale się nie obudziła i wszystko to jest jedynie snem, koszmarem, z którego ocknie się rano, bezpieczna w swojej komnacie.

Wychodząc na zewnątrz, drżącą ręką schowała sakiewkę i księgę w zanadrze.

Nagle

uświadomiła sobie, że nie ma płaszcza, bielizny na zmianę, grzebienia, że czyste

koszule i różne przydatne drobiazgi leżą spakowane w małej torbie w sypialni.

Obejrzała się na pałacyk.

Wracać? Nie wracać? Przypomniała sobie przerażone oczy Lorraine i strach popchnął ją naprzód. Pobiegnęła na skróty przez zachwaszczone, nieprzycinane od dawna trawniki, na łączkę, gdzie Brune wieki temu udzielał jej pierwszych lekcji walki.

Nieruchomej tafli stawu nie mąciła najmniejsza zmarszczka. Undyna dawno już opuściła

enklawę, odleciały też łabędzie. Anavri odwróciła się, by po raz ostatni popatrzeć na domostwo Marshii. Przełknęła łzy, zamknęła oczy i przywołała z pamięci obraz piaszczystego wybrzeża

pod niebem, na którym migoczą obce gwiazdy.

Jak najdalej.

Gdy zalał ją wir kolorów wypełniający bezprzestrzeń między wymiarami, nagle przypomniała sobie ostrzeżenia na temat dematerializacji z enklaw i teleportowania się na wielkie odległości, zakrzywionych szlaków astralnych i pętli czasowych. Nie sprawdziła godziny ani układu gwiazd, nie wiedziała, czy zamiast w świecie ludzi nie wyląduje w którymś z tych dominiów sfer, gdzie rządzi Otchłań...

Ale było już za późno, by zawrócić.

Marshia stanęła przy oknie pracowni i czekała. Biss zawisł przy jej ramieniu, strzygąc psimi uszami. Po chwili, czując wahnięcie aury, oboje odetchnęli z ulgą. Żmijka odwróciła się do chowańca.

– Uciekaj, Biss – powiedziała spokojnie. – Ratuj się.

Stwór pokręcił psim łbem.

– Uciekaj – powtórzyła.

Chowaniec zafalował mackami, szepcząc do niej telepatycznie. W milczeniu, ze smutkiem pokręciła głową. Biss warknął cicho, obnażając kły.

Czekali, spoglądając w napięciu na szare pagórki enklawy pod równie szarym niebem.

Zegar w pracowni tykał miarowo. Tyk-tyk. Tyk-tyk.

Nagle nad horyzontem załśniła smuga czerwonej poświaty. Zaczęła się powoli rozszerzać, jakby po drugiej stronie nieba szalał pożar.

Zmysły maga mówiły Marshii wszystko, co musiała wiedzieć. Intruzi przybyli.

Neutralizowali zabezpieczenia enklawy. Działali powoli, bez pośpiechu. Wiedzieli, czym grozi uaktywnienie zmierzchu z Rikos.

Miała jeszcze chwilę na załatwienie tego, co konieczne.

Odwróciła się i podeszła do najbliższego z

wiszących na ścianach zwierciadeł.

Przyłożyła

dłonie do tafli, szepcząc formuły w języku magów. Rozległ się trzask; w szkłe pojawiła się rysa, potem następne. Rozbiegły się we wszystkie strony, pokrywając zwierciadło pajęczyną pęknięć.

Gdy zmijka cofnęła ręce, szkło z brzękiem posypało się na parkiet.

Portal był zamknięty.

Marshia Lavallo powtórzyła operację z pozostałymi zwierciadłami. Kiedy skończyła, podłoga pracowni zasłana była odłamkami szkła, a niebo za oknem jarzyło się czerwienią i pełgały po nim języki ognia.

Zostało bardzo mało czasu. Ze skrytki w ścianie wyjęła rzeźbioną hebanową kasetkę, a

Z

niej puzderko z agatu. Rozejrzała się i dopiero teraz dotarło do niej, że Biss zniknął.

Zmysły maga powiedziały jej, że chowaniec oddała się, frunąc ponad pagórkami.

Westchnęła. Nie mogła już nic poradzić – wybrał. Usiadła na krześle w rogu pracowni, machinalnie wygładzając fałdy sukni, i wyjęła z puzderka igłę.

Nie bała się – od zawsze wiedziała, że nie będzie się bać – lecz świadomość tego, co musi zrobić, przejęła ją lekkim dreszczem.

Madelena Rizzi opanowała się prawie natychmiast. Srebrni magowie wdzierali się do jej

enklawy, a ona miała jeszcze coś do zrobienia. Należało zatrzeć ślady po

uciekinierkach.

Zamknęła oczy i znów zaczęła szeptać w języku magów. Na jej skroniach pojawiły się kropelki potu.

Zegar tykał. Tyk-tyk. Tyk-tyk.

Nagle wahnięcie aury było niczym bezgłośny grzmot. Przełamali osłony, nie uaktywniając żadnego z zabezpieczeń. Nie budząc zmierzchu z Rikos. Byli dobrzy. Lepszy niż przypuszczała. Zacisnęła zęby.

Nadchodzili. Czują ich. Jeden Mistrz Elity, piątka akolitów. Biss zajmie ich – lecz nie na długo.

Tyk-tyk. Tyk-tyk.

Po raz ostatni obrzuciła wzrokiem
pracownię, a potem przywołała z pamięci
twarz
swojego mistrza.

*Argilu, zabili cię w Domu Godnego
Odejścia. Zniszczyli twoją duszę tak, by nie
mogła się już nigdy odrodzić w świecie
żywych. Ale jeśli nauki ze Świętej Księgi są
cokolwiek warte...
będziesz na mnie czekał.*

Przestrzeń enklawy rozwarła się niczym teatralna dekoracja, ukazując fragment kamienistego pustkowia. Sześć postaci w białych szatach zstąpiło z otworu wprost na porośnięty trawą pagórek.

Za nimi przez szczelinę w osłonach przeleciał chowaniec Mohellena, Yggris, wyglądający jak kruk z długim jaszczurczym ogonem, a w ślad za nim przeszło kolejno siedem mechanoidów – metalowych stworów przypominających bezskrzydłe, stąpające niezgrabnie na dwóch łapach ptaszyska. Gdy już wszystkie zebrały się na pagórku, Mohellen podszedł do szczeliny. Z fałdów szaty wyjął umocowany na łańcuszku mały srebrny artefakt do rozmów na odległość, zwany różą, bo złożony był z wielu płatków ułożonych w koncentryczne okręgi.

– Weszliśmy – poinformował Akhanię ar Vithanare.

Potem skinął dłonią i przestrzeń spoiła się na powrót, ciemny otwór zniknął. Sześć róż stało się bezużytecznych; przyłożywszy je do ucha, usłyszałoby się jedynie trzaski. Teraz, w enklawie, do której wdarli się jako intruzi, byli odcięci od możliwości komunikowania się z zewnętrznym światem.

– Idźcie do willi – zasyczał Yggris. – Reszta enklawy jest pusta.

Mohellen zasępił się. Czuł niepokój. Poszło za łatwo, zdecydowanie za łatwo. Zwłaszcza

biorąc pod uwagę, że – o ile się nie pomylił, odczytując ślady w aurze – tam na zewnątrz, po drugiej stronie osłon, nie tak

dawno temu zginął srebrny szpieg, którego Elita nadal uważała po prostu za zaginionego bez wieści w sferach.

Lecz miał pod swoją komendą pięciu akolitów – dwóch własnych podwładnych i troje

ludzi Akhanii. Doskonale wyszkolonych, specjalnie przyuczonych do walki z czarnymi magami.

A do tego wsparcie w postaci mechanoidów. Teoretycznie nawet gdyby przyszło im się ścierać z równym liczebnie wrogiem – co, jeśli wierzyć zebranym informacjom, nie wchodziło w rachubę

– i tak mieliby przewagę. Wprawdzie tylko dwaj najstarsi akolici z Mohellenowego oddziału,

Cleot i Poul, mogli się równać pod względem mocy z doświadczonym czarnym magiem, ale za

to *ka-ira*, samotne wilki, nie trenowali latami walki w grupie, nie umieli łączyć sił. A

najpotężniejszymi ze srebrnych czarów
bojowych były właśnie te rzucane wspólnym
wysiłkiem
przez kilku magów.

– Tam! – Cleot, barczysty, jasnowłosy
młodzian w srebrnej masce, wskazał pałacyk.

–

Mistrzu, ona jest tam! I jest sama!

– Chora i słaba – zawtórował Yggris, a
jego ślepie błysnęły łakomie.

– Wiem – potwierdził Mohellen. Uniósł
różdżkę, której czubek zajaśniał światłem. –

Teraz posłuchajcie. Nie będziemy
ryzykować, rozdzielimy się. Cleot, ty
weźmiesz...

I wtedy znikąd spadł na nich potwór.

Wyjąca nieładzko, poruszająca się
błyskawicznie

kula świszczących, smagających biczy,
ciskających trzeszczące fioletowe
wyładowania.

Mohellen, kierując się czystym
instynktem, padł płasko na ziemię, osłaniając
się zaklęciem

tarczy. Usłyszał wrzask jednego z
akolitów, kątem oka dostrzegł, że Yggris
pikuje na poczware, zionąc błękitnymi
płomieniami, lecz chybia – a potem świat
rozbłysł oślepiającym blaskiem
najczystszej srebrnej mocy.

Choć czterech akolitów połączyło siły, by
cisnąć świetlistą sieć, czar chybił, gasnąc
nieszkodliwie w powietrzu, a stworzenie
zdołało umknąć. Zatoczyło łuk w powietrzu i
zaatakowało ponownie. Ale tym razem
Yggris zawisł nad swoim panem, osłaniając
go, a

Mohellen włączył się do walki.

Wycelował różdżką we wroga i spokojnie wypowiedział dwa

słowa, zamrażając przestrzeń tak, by na niedużym jej obszarze czas płynął dwadzieścia razy wolniej.

Stwór zawisł w powietrzu niczym w gęstej galarecie – rozpaczliwe ruchy jego macek

przypominały teraz powolne figury w jakimś przedziwnym tańcu. Wyładowania, którymi nadal

usiłował strzelać w magów, trzeszczały i gasły nieszkodliwie. Mohellen popatrzył z obrzydzeniem na istotę będącą

skrzyżowaniem psa i ośmiornicy, po czym zabił ją jednym dobrze wycelowanym grotem energii. Następnie skinieniem dłoni rozproszył anomalie czasową. Zwłoki

padły na trawę z nieprzyjemnym głuchym plaśnięciem.

– Chowaniec! – Mistrz Elity niemalże
wypluł to słowo.

– Spowił się cz-czarem kamuflującym,
dlatego go nie w-wyczuliśmy – wyjąkał Poul,
dotykając czoła, na którym smagnięcie
macką pozostawiło brzydką, nabrzmiewającą
czerwoną

pręgę. Mohellen rozejrzał się za
pozostałymi. Cleot i najmłodszy z akolitów,
Frixus, dyszeli ciężko, lecz fizycznie nie
doznali szwanku. Yggris, również cały i
zdrowy, z trzepotem

wylądował na trawie. Naissa klęczała nad
powalonym Espinem, który potrząsał głową,
powtarzając w narastającej panice:

– Bogowie, moje oczy, moje oczy... Nic
nie widzę...

– Trafiło go wylądowanie – wyjaśniła

sucho akolitka. Mohellen przykląkł przy podwładnym, unosząc różdżkę, by oświetlić jego przerażoną twarz. Nie było na niej widać

żadnych obrażeń, lecz źrenice nie zwęziły się pod wpływem światła – pozostały szerokie,

zajmując niemal całe tęczówki.

Mistrz Elity wyszeptał kilka słów, kładąc dłonie na czole młodzieńca. Bez efektu.

Wyjął

spod szaty zawieszony na łańcuszku talizman w kształcie ibisa, chuchnął nań i poleciewszy

Espinowi zamknąć oczy, dotknął wisiorkiem jego powiek. Ale i to nic nie dało.

Wstał i ponownie nakazał osłonom wokół enklawy rozchylić się, tworząc szczelinę.

– Ewakuuj się do siedziby Jej Świetlistości Akhanii – zdecydował. – Frixus, ty mu pomożesz.

Następnie sam zbliżył się do szczeliny, aby zameldować przez różę, co się stało.

Najmłodszy z akolitów pomógł towarzyszowi się podnieść i podprowadził go do otworu.

Gdy przeszli na drugą stronę i przestrzeń ponownie się zasklepiła, Mohellen schował różę i odwrócił się do swych ludzi.

– Idziemy – rozkazał.

Mechanoidy, które podczas samobójczego ataku chowańca zwinęły się w opancerzone

kule – nie potrafiły bowiem nic zdziałać przeciwko tak szybko latającemu wrogowi – rozwinęły się teraz, wysuwając łapy. Wśród zgrzytu i poskrzypywania ruszyły kołyszącym się krokiem za czwórką magów.

Mohellen zatrzymał się przed willą.

Jeszcze chwilę wcześniej wyczuwał w willi czarną jaźń skażonej magini, a teraz zmysły

maga mówiły mu, że w domostwie nie przebywa nikt żywy. Na pewno nie uciekła –

każdy z

mechanoidów, których metalowe ciała pokryto od wewnątrz mnóstwem wyrytych formuł, był

jednocześnie chodzącym talizmanem blokującym czarną magię teleportacyjną, a siedem

stwarzało blokadę właściwie nie do pokonania. Należało przypuszczać, że schwytana w pułapkę zmijka zastosowała jakiś fortel, kamuflując swoją obecność. Ale i tak jej to nie pomoże.

Po tym, jak w ciągu kwadransa od przekroczenia osłon zmuszony był wycofać z akcji

dwóch ludzi, nie zamierzał już podejmować większego ryzyka niż to konieczne. Dlatego

najpierw wysłał pięć mechanoidów, by spenetrowały budynek w poszukiwaniu ewentualnych

pułapek – zakamuflowanych portali czy

ukrytych w przedmiotach klątw.

Gdy metalowe stwory wróciły, cykaniem i ćwierkaniem raportując, że nie znalazły żadnych zagrożeń, Mohellen i jego akolici wkroczyli do środka. Czujni, osłonięci zaklęciami tarczy, przygotowani na to, że w willi mogą się znajdować zasadzki, których mechaniczne

stwory nie zdołały odkryć. Ale nie. Wszystko wskazywało, że mieszkający tu *ka-ira* nie przygotowali na powitanie intruzów żadnych niespodzianek.

Mohellen rozkazał, by mechanoidy zostały na dole i patrolowały teren wokół willi. Sam

wszedł z akolitami na piętro, bo wszyscy czworo wyczuwali to, co emanowało z jednego z

położonych tam pomieszczeń – echo niedawnej śmierci.

Weszli do pracowni, gdzie od progu uderzyła ich gorąca, budząca odrazę aura czerni, i ujrzeni kobietę.

Siedziała na krześle z głową odchyloną na oparcie. Kilka kosmyków wymknęło się z nienagannej fryzury. Na nieruchomej twarzy zastygł lekki uśmiech.

Mohellen zacisnął zęby. Gestem powstrzymał Naisę, która chciała podejść bliżej i

przyjrzeć się zwłokom. Uważnie sprawdził zmysłami maga, czy krzesło ani szaty martwej zmijki nie kryją jakiegś złowrogiej niespodzianki. Upewniwszy się, że nie, podszedł, by obejrzeć ciało.

– *Ka-ira* była tu, ale już jej nie ma –
wycedził po chwili, podnosząc złamaną igłę,
która wysunęła się ze stygnących palców.

– Więc nie da się przywołać jej duszy z
powrotem? – upewniła się Naissa.

Mohellen tylko zaśmiał się sucho.

– Suka przechytryła nas. – Popatrzył z
nienawiścią na jej znieruchomiałą twarz. –
Dobre

i to. O jednego gada mniej. – Wyjął z
zanadrza małą srebrną puszczkę, ostrożnie
schował doń złamaną igłę, po czym odwrócił
się do akolitów. – Dalej, nie stójcie jak
durnie! Trzeba

sprawdzić dom. Może gdzieś zachowały
się ślady, które pozwolą nam trafić do jej
przyjaciół.

W tymże momencie Poul zachwiał się i z jękiem osunął na ziemię. Mohellen i Naissa przypadli do niego. Młodzieniec poruszył ustami, próbując coś powiedzieć, lecz tylko zakaszłał.

Zakrztusił się i nagle zwymiotował krwią oraz strzępami tkanki. Opadł na wznak, łapiąc powietrze niczym wyrzucona na brzeg ryba, i zakrzyczał boleśnie.

– Kłątwa! – rzucił Mohellen, po czym wyjął srebrny sztylet, zranił się w dłoń i mocnym, zdecydowanym głosem jął intonować zaklęcia. Cleot mu zawtórował.

– Ten przekłety chowaniec... – wyszeptała Naissa, która nie знаła recytowanej przez nich trudnej formuły.

Czuła, jak silny jest czar, który w ciągu kilku sekund od uaktywnienia splugawił aurę

Poula niczym kozuch glonów na wodzie albo sadza powlekająca od wewnątrz klosz lampy.

Porazić tak potężną klątwą sługę srebra – oto moc, o jaką akolitka nigdy nie posądziłaby

astralnego potworka służącego zmijom!
Lecz śmierć ma wielką moc, a czar przypieczętowany samobójstwem – jeszcze większą.

Kilka minut później, gdy Mohellen i Cleot, spoceni i bladzi z wysiłku, kończyli inkantację, Poul leżał nieprzytomny. Jego twarz pociemniała niczym oblicze wisielca.

Spomiędzy opuchniętych powiek sączyły się strużki zielonkawej ropy, a w ustach poruszało się coś ciemnego, pokrytego łuską, co nie było językiem.

Przemieniał się pod wpływem klątwy. Coś wykluwało się w jego wnętrznościach – astralny byt, którego nie można zniszczyć, zabijając ciało nosiciela. Siatka ochronnych zaklęć spleciona w rozpaczliwym pośpiechu przez mistrza Elity mogła ten proces spowolnić, lecz nie powstrzymać.

– Wracam z nim do siedziby Akhanii – zdecydował Mohellen. – Jest szansa, że zdołają mu jeszcze pomóc. Cleot, Naisso, wy zostajecie. Przeszukacie dom.

Rozdział 28: Dusza za duszę

Otworzył oczy i poderwał się, oddychając szybko, w panice. Jego oczy w oszołomieniu rejestrowały szczegóły otoczenia.

Wełniany koc, siennik nakryty zgrzebnym
prześcieradłem,
drewniane belki pochyłego sufitu w jego
własnej sypialni.

Już dobrze. Śniłeś.

Lecz sekundę później zmroziła go
świadomość, że nie, bynajmniej. Nie śnił.

Półprzytomnie przegarnął palcami włosy,
dotknął twarzy, natrafił na blizny. Blizny, nie
jątrzące się rany. Nie było brudu,
pokrywającego odzież i ciało. Żadnych
śladów bytności... tam.

Nie tym razem.

Choć fizycznie nie doznał żadnego szwanku, wyprawa do Otchłani i wydarzenia, które

się tam rozegrały, pozostawiły swój ślad. Skonstatowawszy, że jest z powrotem u siebie w

enklawie i nic mu nie grozi, Brune padł z powrotem na posłanie i przespał prawie dobę, budząc się tylko po to, żeby napić się wody.

Kiedy w końcu oprzytomniał na tyle, by wstać, poczuł, że jest głodny jak wilk.

Pobieżna

lustracja kuchni uświadomiła mu, że ostatnie zakupy zostały zrobione jeszcze przed odejściem Anavri. Czyli tak naprawdę

cholera wie ile dni wcześniej, bo z oczywistych przyczyn zupełnie zatracił rachubę czasu. Klnąc pod nosem, wyrzucił resztki zapleśniałego chleba, zjełczanego masła oraz zeschniętej, nieświeżej baraniej pieczeni. Przyniósł ze spizarki suchary, ser, wędzoną rybę, oliwki i ostatnią garść suszonych moreli. Jedząc, zaczął się zastanawiać, czy skontaktować się z Marshią, czy też dać sobie spokój. Nadal miał w pamięci ostatnią kłótnię z nią, ale złość już mu z grubsza przeszła. W przypiływie optymizmu uznał, że może jakoś zdołają się dogadać. Tak naprawdę chciał porozmawiać przede wszystkim z Anavri i przekonać ją do powrotu.

Sprawdził godzinę i doszedł do wniosku, że nie ma co się spieszyć – w enklawie Marshii

była teraz noc. Równie dobrze mógł się najpierw zająć prozaicznymi sprawami, jak zakupy oraz doprowadzenie chaty do

porządku po paru tygodniach snucia się w makowym otępieniu.

Kilka godzin później stanął przed zwierciadłem i spróbował nawiązać kontakt z Marshią,

wiedząc, że nawet jeśli zmijka jeszcze śpi, to któryś z chowańców zawsze dyżuruje rankiem w pracowni swojej pani, na wypadek gdyby przyszła jakaś ważna wiadomość od jej sojuszników.

Ku jego zdumieniu ani pierwsza, ani druga, ani trzecia próba nie powiodły się; tafla pozostała ciemna i pusta. Najpierw pomyślał, że zwierciadło szwankuje, ale nie – czar, którym było

obłożone, nie miał tendencji do wygasania z upływem czasu.

Rozłożył karty, a gdy zobaczył, co pokazują, przygryzł wargę. Działo się coś niedobrego.

A w zasadzie, jeśli wierzyć wróżbie – już się wydarzyło. Ale nie potrafił zinterpretować, co konkretnie. Karty miały to do siebie, że ich ostrzeżenie mogło sygnalizować równie dobrze duże kłopoty, co jakiś banalny problem, na przykład chorobę kucharki. Brune po raz czwarty spróbował nawiązać kontakt z Marshią – bez efektu.

Dłuższą chwilę zastanawiał się, co robić. Pełzające na skraju świadomości chłodne przeczucie podpowiadało mu, że stało się coś bardzo złego i że cokolwiek to było, nastąpiło nagle – tak nagle, że Marshia nie zdążyła wysłać do niego żadnej wiadomości. W grę wchodziły zasadniczo cztery scenariusze: albo nagłe załamanie się stanu zdrowia zmijki, albo atak wrogów z Otchłani, albo napaść jakichś drapieżnych istot z astralu... albo srebrni.

Jeszcze niedawno byłby skłonny uważać, że Marshia wyjdzie cało z każdej opresji, ale teraz, mając w pamięci incydent ze szpiegiem srebrnych, bynajmniej już tak nie sądził. Pytanie brzmiało, czy on sam może teraz w jakikolwiek sposób wpłynąć na bieg wydarzeń. Czy

powinien ruszać z odsieczą na ślepo, nie wiedząc, czy enklawa Marshii w ogóle jeszcze istnieje?

A może właśnie buszują tam najeźdźcy z któregoś z mroczniejszych dominiów astralnych lub też srebrni po zgarnięciu mieszkańców zastawili pułapkę i teraz czekają, żeby sprawdzić, kto się w nią złapie?

Marshia da sobie radę. Lata doświadczenia. Martwił się przede wszystkim o dziewczęta.

O Anavri i pozbawioną daru Lorraine.

Dłuższą chwilę stał niezdecydowany,

gapiąc się w zwierciadło. W końcu zaklął, podwinął rękawy i ostrzem sztyletu nakreślił na przedramionach znaki ochronne, a potem

sprawdził to i owo na mapach sfer w grymuarze Liseniusa. Po namyśle wyjął ze skrzyni szarfę, którą wyhaftowała dla siebie Anavri i której zapomniała zabrać. Przewiązał się nią w pasie i sprawdził z nawyku, czy ma przy sobie gemmę Eresha. Oddychał szybciej – teraz, gdy już podjął

decyzję, chłodne przeczucie zmieniło się w lodowate, jednoznaczne ostrzeżenie daru. Pchał się prosto w kłopoty.

Nie pierwszy raz, psiakrew, i nie ostatni.

Opuścił chatę, zszedł nad jezioro i zdematerializował się. Wylądował w środku podmokłej dżungli gdzieś w drugim dominium astralnym, gdzie tęczowe motyle trzepotały

wokół gigantycznych skrzypów i paproci. Przeszedł jakieś sto kroków, omijając zwalone drzewa oraz zwisające kurtyny pnączy, i zdematerializował się po raz drugi.

Tym razem, tak jak planował, zmaterializował się na kamienistym pustkowiu w pewnej odległości od enklawy Marshii, na tyle daleko, by jego pojawienie się nie było łatwo wyczuwalne dla obecnych wewnątrz. Błękitny, lśniący bąbel wznosił się w oddali, na pozór nienaruszony. Jednak już z tej odległości Brune czuł, że coś jest nie tak.

Spowił się iluzją niewidzialności, dbając o to, by czar stłumił także jego aurę, i ruszył pieszo w stronę enklawy. Mniej więcej kwadrans później miał już pewność, że pierwsze wrażenie go nie omyliło.

W aurze enklawy dawało się wyczuć obcą, zimną nutę. Nutę srebra.

Żmij zwolnił kroku, zastanawiając się, co teraz. Wewnątrz enklawy nie wyczuwał gwałtownych wybuchów mocy towarzyszących walce – a to znaczyło, że jest po wszystkim. Zaś jeśli było po wszystkim...

Zdrowy rozsądek nakazywał wynosić się precz. *Nic już nie poradzisz, nie pomożesz, osiągniesz co najwyżej tyle, że złapią i ciebie.* Ale uciec już teraz, nie sprawdzwszy, co się wydarzyło – to nie leżało w naturze Krzyczącego.

Rozejrzał się, wytestując zmysły maga. Nigdzie wokół nie widział ani nie wyczuwał

obecności żadnych stworzeń, ale to nie znaczyło, że oczy i uszy srebrnych nie obserwują

okolicy. Wyszeptał słowa wzmacniające jego kamuflaż, po czym sięgnął umysłem do wnętrza

enklawy, metodycznie, spokojnie sprawdzając, ilu ludzi znajduje się w środku. Zabezpieczenia nie stanowiły dla niego żadnej przeszkody – teraz były to wszak te same formuły, co w jego

własnej siedzibie. Rozpoznawały go i poddawały się jego woli.

Po chwili wiedział już wszystko.

Dwoje magów Elity. Dokładniej – dwoje akolitów. Do tego siedem jakichś mechanicznych stworów ożywionych mocą srebra.

Oraz zwłoki Marshii Lavalle.

Brune zacisnął zęby. Naraz drgnął, wyczuwając wahnięcie aury. Kilka kroków dalej

pojawiła się znajoma mglista postać.

– Pomyślałam, że lepiej będzie, jeśli tu się zjawię, zanim zrobisz coś głupiego – powiedziała Anyah.

– Co masz na myśli?

– Powiedz mi z łaski swojej, jaki masz plan?

– Zlikwidować tych drani. – Wskazał enklawę.

– Dwójkę srebrnych? – Nie był pewien, czy w jej głosie słyszy niedowierzanie, czy ironię, ale to nie miało znaczenia.

– Jeśli nie zamierzasz mi pomóc, to przynajmniej nie przeszkadzaj – warknął.

Z namysłem przyłożyła palec do ust, potem skinęła głową.

– Pomogę ci.

Na każdym przedmiocie, jakiego człowiek używa, osadza się jego aura. Stosunkowo słabo na odzieży, silniej na obiektach z metalu, takich jak biżuteria, sprzączka od pasa albo noszona stale przy sobie broń.

Ale na przedmiotach, które pozostały w komnatach willi, nie przechował się nawet ślad

aury. Nie ulegało wątpliwości, że wiszące w szafach suknie były użytkowane, jedwab wciąż

jeszcze pachniał perfumami. Naissa metodycznie spenetrowała wszystkie trzy kobiece sypialnie, sprawdzając pościel, grzebienie, pantofelki i ozdoby. Nic. Zacisnęła zęby.

Zostali przechytrzeni.

Śmierć ma wielką moc. Akolitka skłonna była się założyć o najcenniejszy z posiadanych

talizmanów, że martwa zmijka zapłaciła własnym życiem za to, by zatrzeć trop swoich towarzyszek, kimkolwiek były.

Skoro tak, spróbujemy inaczej. Przeszła do gabinetu. Zmysłami maga czuła, że Cleot nadal przebywa w pracowni; reszta domostwa, pusta, trwała w martwej ciszy. Naissa zaczęła

przeglądać listy i dokumenty leżące na eleganckim sekretarzyku z orzechowego drewna. Po

chwili syknęła przez zęby; tu także nie było niczego, co mogłoby się przydać, przynajmniej na pierwszy rzut oka.

Kurtuazyjne pozdrowienia podpisane inicjałami, jakiś dwuznaczny bilecik, suchy raport od zarządcy majątku wyliczający ilość zboża złożoną w spichrzach, w którym nie podano nazwy posiadłości... I nabazgrana

niewprawną ręką, pełna błędów
ortograficznych

skarga dzierżawcy do „Jaśnie
Wielmożnego Pana”, podpisana „Jakob
Grint”. Akolitka tylko

pokręciła głową; Jakobów Grintów
musiały w Siedmiu Krainach żyć całe setki.
Dwa ostatnie

listy pisane były w języku sylfów,
zawijasami i robaczkami, których nie umiała
odcyfrować. Po namyśle zgarnęła wszystko –
niech mistrz im się przyjrzy, może on zdoła
wyczytać więcej.

Nagle uniosła głowę, niepewna, czy
usłyszała skrzypnięcie podłogi, czy tylko jej
się

zdawało. Nasłuchiwała chwilę, po czym
wróciła do przeszukiwania sekretarzyka.

Nie wydała krzyku, kiedy ostrze rapiera
przeszyło jej pierś.

Sekundę później jej ciało zaczęło czernieć, zwęgląć się i rozpadać w oczach.

Śmierć Naissy wybuchła w świadomości Cleota lodowatą eksplozją. Akolita zatoczył się na ścianę, zasłaniając oczy. Chwilę później był już w stanie myśleć trzeźwo. Nie wyczuwał w enklawie obecności żadnego intruza – zatem akolitka musiała uruchomić jakąś pułapkę ukrytą w tym przeklętym domu.

Chwycił różę do rozmów na odległość,
lecz zaraz wypuścił ją z ręki, słysząc jedynie
trzaski. Stojąc bez ruchu, sięgając
umysłem w przestrzeń, usiłował dociec, co
się stało. Wyjrzał
za okno – mechanoidy zignorowały
wahnięcie aury, nadal patrolowały obszar
wokół willi,
posłuszne rozkazowi Mohellena.

Co robić? Naissa nie żyła – dar mówił mu
to z całą pewnością. Cokolwiek ją zabiło,
niewyczuwalne dla zmysłów maga, a
umiejące zneutralizować wpływ potężnych
srebrnych
talizmanów ochronnych, mogło zabić i
jego. W czasie krótszym niż potrzeba, aby
przeanalizować tę kwestię, Cleot
zdematerializował się, lądując na trawniku
przed willą, i
dmuchnął w piszczałkę, którą zostawił mu
Mohellen. Niesłyszalny dla ludzkiego ucha
świst był

sygnałem przyzywającym mechanoidy.

Ośloniwszy się na wszelki wypadek
czarem niewidzialności i czarem tarczy,
akolita

czekał, aż wszystkie przybiegną do niego
na swych pokracznych metalowych łapach.

Gdyby

któryś doznał szwanku, konstruktorzy z
Wyspy Łabędzi nie byłiby szczęśliwi.

Gdy zgromadziły się na trawniku, wśród
cichych zgrzytów i pobrzękiwania, błyskając
ognikami szklanych ślepi, Cleot przeliczył
je i zaklął cicho – jednego brakowało.

Spojrzał w stronę ciemnych okien pustej
willi, próbując zdecydować, co zrobić.

Nie wiedział jeszcze, że bez względu na
to, jaką podjąłby decyzję, i tak było już za
późno.

Spięty i czujny, akolita z daleka wyczułby
obecność zmija mimo najlepszych czarów
kamouflujących. Ale przez zasłonę, jaką
rozsnuła wokół swojego podopiecznego
demonessa, nie
miał szans, by wyczuć cokolwiek.

Aż do momentu, gdy niewidzialny wróg
zaatakował i wszystko zniknęło w sinym
blasku
paralizujących magicznych wyładowań.

Wyczuwając obcą, czarną aurę, mechanoidy rzuciły się ku atakującemu, lecz powstrzymała je niewidoczna telekinetyczna bariera. Po chwili zaczęły miotać się bezładnie, wymachując kończynami i dobywając z metalowych gardeł rozpaczliwe dźwięki, a pomiędzy nimi zakłębił się mglisty opar – to demonessa postanowiła się nimi zająć.

Żmij przykląkł nad nieprzytomnym akolitą, by sprawdzić, czy delikwent oddycha i czy

nie doznał na przykład wylewu. Brune nie zamierzał zafundować mu trwałych obrażeń, a jedynie pozbawić przytomności na kilka godzin. Z ulgą skonstatował po chwili, że chyba się udało.

Potrzebował do swoich celów żywego srebrnego maga – nie trupa i nie ciała w śpiączce.

Zerknął ku mechanicznym stworom. Dwa już leżały bez ruchu na trawie; na oczach zmija

z donośnym brzękiem blach dołączył do nich trzeci. Pozostałe, widząc to dały dowód, że w ich mózgach jednak rezyduje jakaś namiastka rozumu, bo zaczęły uciekać. Po krótkim namyśle

Brune przelewitował ciało nieprzytomnego akolity przez próg willi, sam wszedł do środka,

zatrzasnął drzwi i kredą nakreślił na nich od środka znak broniący mechanoidom przystępu do wnętrza domu. Potem, przez cały czas podtrzymując akolitę w powietrzu przed sobą, wspiął się po schodach na piętro, do pracowni Marshii. Tam ostrożnie złożył go na podłodze i otarł pot z czoła – tak długie utrzymywanie czaru lewitacji zmęczyło go niemal w równym stopniu, co

dźwiganie delikwenta na własnych plecach.

Demonessa, która zostawiła ocalałe mechanoidy w spokoju i przyplęnęła tu za nim,

zawisała w powietrzu z pytającym wyrazem twarzy.

– Zawołaj tu twojego ojca – rozkazał Krzyczący.

– Co ty kombinujesz? – zdziwiła się.

– Chcę mu zaproponować układ. Dusza tego srebrnego drania za moją. To chyba uczciwa wymiana?

– Dusza... – Córka Spalonego Władca zagapiła się na niego tak, jakby bredził.

– Co, chcesz powiedzieć, że tak się nie da? Znam wasze prawo, Anyah. On jest magiem i

ja jestem magiem. Dusza za duszę.
Zawołaj tu ojca.

Anyah otworzyła usta, jakby chcąc coś powiedzieć, ale zrezygnowała i zdematerializowała się.

Żmij czekał, zaciskając zęby. Gdy już zaczynał się zastanawiać, w którym momencie

powinien zapomnieć o układach z Doliną Popiołów i wynosić się precz, powietrze na środku

komnaty zadrgało i znikąd spłynął kłęb mgły, formując się w dwie postacie.

Demon o czarnych łabędzich skrzydłach

popatrzył pytająco na zmija. Brune wskazał leżącego.

– Proszę, o królu. Srebrny mag, żywy, cały i w miarę zdrowy, tylko trochę... uszkodzony.

Weź sobie jego duszę zamiast mojej, a mnie puść wolno.

Spalony Władca zaśmiał się z wyraźną aprobatą.

– No, no, Anyah – zwrócił się do córki. – Jest jeszcze bezczelniejszy, niż myślałem.

Demonessa nic nie odrzekła. Sprawiała wrażenie wystraszonej.

Spalony Władca z namysłem patrzył na

nieprzytomnego akolitę. Przykląkł i położył mu

rękę na czole, później zadarł powiekę i zajrzał w oko. Cmoknął.

– Za taką cenę, mój agencie, możesz kupić najwyżej kilka lat wolności. Ale w porządku.

Skoro tak bardzo ci zależy... niech będzie. Niech będzie, Deuvenie.

Zawiesił głos. Żmij patrzył wyczekująco.

– Mogę ci ofiarować siedem lat, licząc od teraz. Pragnę zaznaczyć – w głosie demona zabrzmiała nutka groźby – że ta oferta nie podlega negocjacji. Albo się zgadzasz, albo nie.

Krzyczący zakrył dłonią oczy. Wahał się zaledwie przez moment.

Siedem lat wolności... Lepsze niż nic.

– W porządku – powiedział wolno. –
Niechże tak będzie. Przez siedem lat
trzymacie się z

daleka, nie śledzicie mnie, nie ingerujecie
w moje życie... i nie zabijam dla was. –

Wypowiadając to ostatnie, zawahał się,
prawie pewien, że demony zaprotestują. Ku
jego

zaskoczeniu Spalony Władca spokojnie
skinął głową.

– Umowa stoi, człowieku. Masz na to,
przy świadku, moje królewskie słowo.

Wyciągnął rękę. Żmij uścisnął ją nieufnie.
Wydało mu się, że w niebieskich oczach
Favilla dostrzega błysk drwiny, ale może

mu się tylko zdawało.

Anyah spuściła głowę i objęła się ciasno ramionami. Była demonem, Brune nie potrafił wyczuć jej emocji, ale wystarczyło popatrzeć na jej twarz.

– Trzeba zniszczyć tę enklawę – odezwała się, z pozoru spokojnie. – Poradzisz sobie sam? Możemy...

– Poradzę sobie – uciał.

– Dobrze. Nic tu po nas, córko. Zabierz tę nieszczęsną ofiarę i wracamy. – Spalony Władca dał znak demonessie i oboje rozpłynęli się w powietrzu. Wraz z nimi zniknął też nieprzytomny akolita.

A więc skończone.

Skupiając się z powrotem na terażniejszości, Brune rozejrzył się po pracowni Marshii.

Pospiesznie zebrał księgi i pergaminy na tyle cenne, że nie chciał ich tu zostawiać na zmarnowanie. Zawinał je w jedwabny obrusik z bocznego stolika, tworząc zgrabny pakunek.

Potem pozgarniał z półek drobiazgi, które mogły mu się przydać – kilka fiolek z ingrediencjami, szczerozłoty sztylet do rytuałów, mały globusik astralny. Pochował wszystko po kieszeniach.

Działał jak automat, teraz nie było miejsca na emocje. Zawahał się nad kryształową kulą wróżebną, ale przypomniał sobie, że artefakty tego typu nie zawsze akceptują nowego

właściciela. Z zalem pomyślał o bibliotece, ale nie było czasu na przeglądanie

zgromadzonych tam dzieł, żeby wybrać dwa
czy trzy najcenniejsze tomy. Zresztą z tego,
co wiedział, Marshia

przechowywała wszystkie księgi
magiczne w pracowni, a traktatów o historii,
geografii czy sztuce sprawowania władzy,
choćby spisanych przez najwybitniejszych
autorów, nie
potrzebował.

Nie należało już dłużej zwlekać. Ale nie
mógł odejść bez pożegnania. Podszedł do
martwej siostry w darze i naraz odkrył, że
całe jego opanowanie było jak warstewka
lodu na

rzece, tak cienka, że można ją skruszyć
uderzeniem obcasa.

Przez ściśnięte gardło wyrecytował w
mowie magów słowa pożegnania. Dotknął
dłoni

Marshii, a po chwili wahania delikatnie

pocałował ją w chłodne czoło.

Potem zdematerializował się, lądując w kamienistym terenie tuż poza granicą enklawy,

nieopodal miejsca, gdzie rozegrała się walka z wysłannikiem srebrnych.

Nakreślił na ziemi odpowiednie symbole i zaczął recytować skomplikowane frazy w języku magów, odruchowo sięgając umysłem w przestrzeń, sprawdzając, czy nie zbliżają się srebrni. Ale nikt się nie zjawiał.

Osłony enklawy były teraz tak słabe, że wystarczyło zdjąć formułę stabilizującą, by błękitna, lśniąca kopuła zapadła się niczym pęcherz, z którego uszło powietrze, po czym

zniknęła, odsłaniając wewnątrz: pagórki

porośnięte szarą trawą i widoczny w oddali pałacyk. A potem zadziałało ostatnie z ochronnych zaklęć Marshii i budynek zaczął topnieć w oczach

niczym rzeźba z cukru wrzucona do wody. Po chwili nie było już po nim śladu.

Następnie zabrzmiał grzmot, powietrze zadrgało i zniknęły też same łąki – rzeczywistość

sfer pękła na moment, natychmiast spajając się na powrót. Teren otaczający willę powrócił do materialnego wymiaru, skąd lata wcześniej został wyrwany. Lecz już bez willi – ta rozpadła się, rozplynęła bez śladu w bezprzestrzeni między wymiarami. Ściany, meble, dywany, ozdoby, ciało chowańca i ciało zmijki – wszystko wsiąkło w pustkę. Ostatni, pośmiertny popis czarnej sztuki w wykonaniu Marshii Lavalles.

Brune dopiero teraz poczuł, że nogi

uginają się pod nim z wyczerpania. Usiadł ciężko na ziemi.

Był wolny. I nie czuł z tego powodu radości ani satysfakcji. Nie czuł zupełnie nic.

A potem błysnęła mu chłodna, trzeźwiąca myśl.

Zazel. Lorraine.

Anavri.

Rozdział 29: Daleko, daleko

W tylnej salce karczmy przy niskim

stoliku siedzieli na matach: chalkiryjski kupiec

nazwiskiem Meddis, niejaki Obazi, starszy jednej z tutejszych wiosek, oraz Anavri w przebraniu chłopca. Przed nimi stały szklane czarki, karafka wody różanej, talerz tłustych kokosowych ciastek oraz haftowana sakiewka wypełniona perłami.

Budynek, choć nieduży, był murowany, o grubo bielonych ścianach, więc nawet w południe panował tu przyjemny chłód. Za zasłoną z nanizanych na sznurki koralików widać było fragment głównej sali, gdzie kilku marynarzy popijało palmowe wino i rzadkie, kwaśnawe piwo, dłubiąc w zębach i spluwając. Na zewnątrz z nieba lał się żar.

– Czterysta? Niech się pocałuje – warknął Meddis, pleczysty, wąsaty jegomość.

Wyspiarz dystyngowanym gestem wziął ciasteczko i wsunął je do ust. Jego krągłe oblicze, podobne do wypolerowanej miedzianej patelni, nie wyrażało żadnych uczuć.

– Wielce dostojny Obazi – przetłumaczyła Anavri – pan Meddis nie może się, niestety, zgodzić na proponowaną przez Ciebie cenę.

Po półgodzinie dalszego targowania się transakcja została w końcu zawarta i nieszczęsne

perły zmieniły właściciela. Anavri otarła pot z czoła i duszkiem wypła czarę wody różanej.

Obazi schował należność, po czym wyszedł. Meddis przywołał karczmarza i zamówił obfity obiad.

Dziewczyna przeszła do głównej sali i usiadła w swoim kącie, blisko wejścia do kuchni.

Zza uchylonych drzwi jak co dzień sączył się melanz zapachów: słodko-kwaśny wieprzowy

gulasz z marynowanymi jarzynami, pszenne placki *chok*, pikantna pieczona ryba, ryż z rodzynkami i cynamonem. Anavri przełknęła ślinę; doskwierał jej głód, ale musiała cierpliwie czekać, aż karczmarz zawoła, żeby *talmene* Fabien przyszedł coś zjeść. Wiedziała, że nie stanie się to prędko, bo o tej porze dosyć często pytano o jej usługi.

Gospoda mieściła się na wyspie Suniz, najbardziej wysuniętej na północ, największej i

najludniejszej z całego archipelagu. Obfitowała w klientów niezależnie od pory

dnia; kupcy, żeglarze i kapitanowie spotykali się tu, aby wymieniać wieści i zawierać transakcje. Anavri dziękowała gwiazdom za wykształcenie panny z dobrego domu. Ojciec kiedyś zakładał, że być

może wyda ją za mąż za wysokiego urzędnika w koloniach lub dyplomatę, a teraz, znając biegle dwa obce języki, mogła jakoś przetrwać w tym wielokulturowym tyglu, oczywiście przez cały

czas udając chłopca. Brakowało jej lepszych pomysłów. Cały jej majątek składał się teraz z

odrobiny złota, paru kupionych tutaj ubrań i starego traktatu o podstawach wiedzy magicznej, do którego nawet nie zaglądała, bo sam widok tej księgi sprawiał, że przypominała sobie

pożegnanie z Marshią i do oczu napływały jej łzy. Żyła z dnia na dzień; wszystko, co udawało się jej zarobić, dostawał właściciel gospody w zamian za skromne wyżywienie oraz

zakwaterowanie w nędznej izdebce,

nawiedzanej przez karaluchy i pająki.

Wiedziała, że musi

znaleźć jakieś lepiej płatne zajęcie, i to takie, które nie będzie wymagało ciągłego kontaktu z ludźmi. Wprawdzie srebrni magowie rzadko bywali na Wyspach Śpiewu, ale nie miała

najmniejszej ochoty odkryć któregoś dnia, że zmuszona jest usiąść twarzą w twarz z jakimś

sługą Elity i rozmawiać z nim jakby nigdy nic.

Rozwiązanie najbardziej oczywiste, czyli zaoferowanie swych usług tutejszej gildii przestępczej, odrzucało ją. Nie umiała przecież, jak Krzyczący, warzyć eliksirów ani leczyć skutków klątw. Nie sądziła, by ktokolwiek zdrów na umyśle chciał z niej uczynić płatnego

zabójcę, ale dzięki iluzjom oraz telekinezie mogłaby być świetnym złodziejem.

*Wprost idealne zajęcie dla córki Alaina
Vaneisen.*

Poza tym bała się tych ludzi – bo rozpoznawała ich z daleka, bez względu na to, czy byli

obdarci i zbirowaci, czy też grubi, wystrojeni i dostojni. Mieli martwe oczy, a gdy wypili za dużo palmowego wina, słyszała ich myśli, śmierdzące jak rybie wnętrzności.

Czasem udawało się jej spostrzec, jak porozumiewają się niby to przypadkowymi gestami, jak sakiewka czy kilka

złotych monet zmieniają właściciela. Szybko odwracała wtedy wzrok. Na nią szczęśliwie nikt

nie zwracał uwagi – przez karczmę przewijało się wielu jasnowłosych talmeńskich marynarzy –

choć wiedziała, że jest bezpieczna tylko tak długo, dopóki w jakichś niefortunnych

okolicznościach nie wyjdzie na jaw jej
płeć.

Przesiadując tutaj dzień po dniu,
przysłuchując się rozmowom, zdążyła się
zorientować,

że kapitanowie pływający po
niebezpiecznych wschodnich wodach chętnie
zatrudniają na swych

statkach zaklinaczy wiatru, członków
alkaryjskiego bractwa posiadającego od Elity
specjalną dyspensę na posługiwanie się mocą.
W pierwszym odruchu dostrzegła w tym
nadzieję dla siebie, lecz szybko nabrała
wątpliwości: cóż z tego, że miała intuicyjną
łatwość posługiwania się

żywiołem powietrza, skoro nikt nigdy nie
uczył jej, jak chronić statki przed wichurą i
wysoką falą albo jak przegonić rozhulane
sylfy, gdy zapragną zatopić żaglowiec ot tak,
dla zabawy?

Co dzień przed świtem, skryta pod iluzją niewidzialności, szła bosą na plażę, żeby się wykąpać w morzu. Sięgała wtedy darem w przestrzeń, starała się wyczuć prądy powietrza i cichą harmonię Ekwilibrum. Potem przywoływała moc i delikatnie przyzywała wiatr lub uciszała go.

Nigdy w najmniejszym stopniu nie zaburzyła równowagi prądów Zmrocy. Na Wyspach Śpiewu

trwała teraz sucha pora roku, ale ilekroć Anavri czuła, że po południu pogoda się zmieni, że nastąpi krótkotrwała, gwałtowna burza z ulewą – tak właśnie się działo.

Czasem przychodziły też spontaniczne zachwiania, w trakcie których księżyc zmieniał barwę na szafirową lub

czerwoną, wiatr niósł szlochy i dziwne, niezrozumiałe okrzyki, a niekiedy zaczynał padać

topniejący w oczach śnieg. Miejscowi bali się wtedy wychodzić z chat, a jeśli już musieli wystawić nos za próg, zasłaniali twarze, wierząc, że inaczej mogą ich urzec duchy

zmarłych.

Anavri nie obawiała się zachwiań, ale
ilekroć patrzyła na wiszący nad palmami
szkarłatny

księżyc, przypominał się jej Krzyczący.
Opadające nieporządnie włosy, plama
cierpienia

wypalona na policzku, zapach dymu i
kamfory. Schrypnięty głos i ostrożny, ciepły
dotyk

śniadych dłoni.

Czasem rozpaczliwie pragnęła, żeby ją
tutaj odnalazł. Kiedy indziej, gdy nad
wyspami

trwała noc, a ona przewracała się z boku
na bok na swym nędznym pościeliu, bo upał
nie

pozwalał zasnąć, nabierała chłodnej
pewności, że Brune nie żyje. Lub też – że
żyje, ale nie ma motywacji, by jej szukać. I
kto wie, może tak było lepiej.

Może tak było lepiej.

– Nie obawiaj się, panie. Ja, Koren Lefeu, ręczę honorem, że dopłyniemy na wyspę Boro wystarczająco szybko, byś zdążył tam załatwić swe interesy.

Poirytowany męski głos, mówiący po nedgvarsku niezbyt dobrze, ze śpiewnym chalkiryjskim akcentem. Anavri drgnęła i poszukała wzrokiem mówiącego.

Czarnowłosy młodzieniec w stroju marynarza z północy – rozchełstana z przodu lniana

koszula, hajdawery i wysokie buty – odchylił się do tyłu na ławie, splatając ramiona na piersi. Za barwną szarfę, która zastępowała mu pas, zatknięte miał dwa

długie noże o zakrzywionych
ostrzach. Towarzysząca mu kobieta,
ubrana podobnie i podobnie uzbrojona,
zmarszczyła brwi.

– Wypłyniemy, kiedy naprawy będą
ukończone, to chyba logiczne. Bez obaw,
szacowny

Zaimie, o tej porze roku „Koziorożec” jest
w stanie dotrzeć na wyspę Boro w trzy
tygodnie.

– Nawet bez sprawnego zaklinacza? –
naciskał dalej Zaim, brzuchaty i brodaty

Nedgvarczyk w szacie z frędzlami. Anavri
wyteńczyła słuch.

– Trzy tygodnie – powtórzył z naciskiem
młodzieniec.

Jego rozmówca mruknął coś z niezadowolaniem, po czym wstał i skłonił się nisko, na co

Chalkiryjczycy odpowiedzieli jedynie skinieniami głowy. Kiedy Nedgvarczyk opuścił karczmę, kobieta spojrzała na towarzysza.

– Widzisz? – powiedziała niegłośnie w ojczystym języku. – Już się rozniosło, że Fulp nie

daje sobie rady, odkąd oberwał tą cholerną klątwą.

– Powiedziałem, że znajdę mu kogoś do pomocy, i tak zrobię. Mamy kilka dni, rozejrzemy się, popytamy. I tak musimy czekać, póki nam nie połatają steru.

– Bracie, ale gdzie znajdziesz podszkolonego zaklinacza wiatru, który

zgodzi się

współpracować z Fulpem? W pełni
wyszkoleni szukają samodzielnych posad, a
branie podrostka

nie ma sensu, bo wszak potrzebujemy
kogoś, kto już coś umie...

Mówili jak szlachta i mimo zawadiackiej
aparycji oraz noszonej ostentacyjnie broni nie
wyglądali na piratów. Ich aury tchnęły
życiem, śmiałością, swobodą oceanu. Anavri
podjęła
decyzję. Wstała i podeszła do nich.

– Czy dobrze mi się zdaje, szlachetni... –
miała powiedzieć „szlachetni panowie” i w
ostatniej chwili ugryzła się w język – że
poszukujecie zaklinacza wiatru?

Cisza.

Dwie pary czarnych oczu zmierzyły ją badawczym wzrokiem. Milczenie przedłużało się;

Anavri czuła, jak na skronie występuje jej pot. Potem młodzieniec wskazał stołek.

– Proszę, siadaj, przyjacielu. Jestem Koren Lefeu z Chalkiru, kapitan „Koziorożca”, a to mój drugi oficer, Adrea Lefeu.

Siostra – pomyślała ze zdziwieniem Anavri, patrząc na ich twarze. Adrea, atrakcyjna kobieta o chmurnym wejrzeniu i lekko drapieżnym profilem, sprawiała wrażenie nieco starszej od brata. Jej włosy spływały czarną kaskadą, przewiązane na czole szkarłatną chustką, a w uszach kołysały się duże kolczyki z masy perłowej.

– Jak masz na imię, chłopcze? – spytała.

– Fabien. – Głos Anavri nawet nie zadrżał.

– Jestem... byłem, ee, uczniem wędrownego zaklinacza wiatru, ale mój mistrz zachorował i zmarł... kilka tygodni temu.

– Ile masz lat? – zapytał Koren.

– Dwadzieścia.

Popatrzyli na siebie. Anavri wyczuła ich nagle obudzoną nieufność i pożałowała, że nie

skłamała, że jest młodsza. Jeśli kandydatów na zaklinaczy przyjmowano do terminu w wieku

jedenastu, dwunastu lat, jak w wielu innych cechach, to dwudziestolatek powinien już dawno

być nie uczniem, a czeladnikiem.

Koren Lefeu bez pośpiechu sięgnął po czarę, napił się palmowego wina, po czym oparł łokcie na stole.

– No dobrze, Fabienie. Trzeba ci wiedzieć, że „Koziorożec” to trójmasztowiec, brygantyna, przypuszczalnie najszybsza na tutejszych wodach. Najczęściej pływamy między

Wyspami Śpiewu a wyspą Boro, przewozimy trochę towaru, pocztę i zwykle również

pasażerów. Bywa, że najmujemy się do ochrony konwojów. Na tych morzach oprócz piratów

grasują krakeny, morskie mamuny i dziwy, zdarza się też, że statki, które zawędrują zbyt daleko na południe, przekraczają granicę wymiarów i giną bez

wieści w sferach. Nasz zaklinacz jest zdolny i doświadczony, lecz odkąd w walce oberwał klątwą, choruje. Czasem przez kilka dni nie jest w stanie pełnić swych obowiązków. Dlatego zdecydowaliśmy się nająć dla niego pomocnika. Co potrafisz?

– Umiem wezwać i uciszyć wiatr. Przywołać i rozproszyć mgłę. Umiem wyczuć, kiedy nadchodzi sztorm albo zachwianie Ekwilibrium... – Urwała, ponownie wyczuwając ich konsternację. Koren popatrzył na siostrę; ta zmarszczyła brwi i wykonała dłonią drobny gest.

Potem znowu wbił spojrzenie w Anavri.

– Pochodzisz z Talme, co?

– Znad Zatoki Snów.

– Ale twój mistrz był z alkaryjskiego bractwa?

– Tak.

– Hm. – Dopił wino i krzywiąc się, odstawił czarę. – Ależ szczynty tu dają, bodaj ich...

Pływać umiesz?

– Tak.

– A walczyć?

– Jeśli trzeba. – Przewornie nie sprecyzowała, jaki rodzaj walki ma na myśli.

Mierzył ją pełnym namysłu wzrokiem i Anavri nagle poczuła irracjonalny lęk, że jakimś

sposobem przeniknął jej kamuflaż. Ale nie, to było niemożliwe.

– Rozmawiałaś kiedyś z sylfem?

– Tak – odrzekła, mając nadzieję, że nie spytają, w jakich to było okolicznościach.

Chętnie spytałaby, na co choruje ich zaklinacz, ale powstrzymała się.

Wbrew sobie odkryła, że wpatruje się w Korena Lefeu. Miał smagłą, śmiałą twarz o wydatnych kościach policzkowych, ze schludnie przystrzyżoną bródką. Złoty kolczyk w uchu,

na odsłoniętej, szczupłej piersi kilka wytatuowanych symboli – dziewczyna

rozpoznała prostą formułę mającą chronić od śmierci w walce.

Adrea szepnęła coś bratu na ucho, ten pstryknął palcami i wstał.

– Chodź no na zewnątrz, mości Fabienie.

Anavri przełknęła ślinę. Dar nie sygnalizował jej żadnego zagrożenia, ale i tak czuła się

niepewnie, wychodząc z dwojgiem uzbrojonych nieznajomych. Karczmarz odprowadził ich wzrokiem.

Poszli między palmami w stronę plaży, a potem brzegiem wody. Koren nie odezwał się,

póki nie znaleźli się dosyć daleko od

karczmy. Morze, spokojne jak jedwab, migotało w blasku słońca.

– Widzisz ten kamień? – Wskazał wygładzoną przez fale bryłkę granitu wielkości dużego jabłka. – Jeśli podniesiesz go, nie używając rąk, przyjmuję cię.

Anavri zawahała się. *Pułapka* – zaszeptał rozsądek – *to na pewno pułapka!* Ale w aurze Korena Lefeu nie wyczuwała fałszu. Intuicyjnie podjęła decyzję. Przywołała moc, błyskawicznie uniosła kamień telekinezą, złapała go i zaprezentowała na dłoni.

Adrea uniosła brew, spojrzała na brata. Ten skinął głową.

– Żeglując na wyspę Boro, lepiej mieć na

pokładzie *ka-ira* niż tylko chorego zaklinacza wiatru – powiedział cicho. – Nawet jeśli *ka-ira* zna alkaryjskie bractwo wyłącznie ze słyszenia.

Zatrudniam cię, Fabienie. Pakuj manatki. Wypływamy za cztery czy pięć dni, ale równie dobrze możesz jeszcze dzisiaj poznać swojego nowego mistrza.

Anavri z bijącym sercem skinęła głową. I pomyślała, z nagłym ukłuciem smutku, że Krzyczący byłby z niej dumny.

Ponad wznoszącą się w górskiej dolinie

wieżą pełzły po niebie szmaragdowe i
turkusowe rozbłyski. Niegroźny efekt
uboczny czarów, jakie dopełniały się w dole –
echo, rezonans
wibrujący we włóknach Zmroczy.

Mohellen ar Vanth zatrzasnął księgę.
Popatrzył na maszynę astrologiczną stojącą w
rogu
komnaty. Słońce było w znaku Małpy,
księżyc w znaku Dziewicy, a układ siedmiu
ważnych
konstelacji sprzyjał srebru.

Po tym, co wydarzyło się w enklawie,
którą zdobyli, rozpętała się burza, a Mohellen
znalazł się w jej epicentrum. Tylko i
wyłącznie Opiekunce Eume zawdzięczał to,
że uniknął
natychmiastowej, surowej kary. Akhania
zdołała przekonać Radę Elity, że
nieostrożnością

zawinił nie on, a akolici, których pozostawił w siedzibie zmijki. Przedstawiła na tyle

przekonujące argumenty, że Mohellena nie tylko nie ukarano, ale pozwolono mu kontynuować śledztwo.

Tożsamość mordercy udało się zidentyfikować nadspodziewanie łatwo; umiał wprowadzić

przybierać różne postacie, ale nie maskował się przed magią wróżebną, może nie posiadając po temu dostatecznej wiedzy. Jego imię nie zaskoczyło Mohellena.

Zmotywowało go jedynie do

zdwojenia wysiłków mających na celu ujęcie gada. A teraz, gdy doniósł Akhanii i Radzie, że

nareszcie jest na właściwym tropie, dano mu szansę, by się zrehabilitował.

Na marmurowej posadzce pracowni
widniał wzór z przecinających się okręgów i
rombów, nakreślony za pomocą białego
piasku. W jego centralnym punkcie w
powietrzu migotał
zielony płomień, nie dymiąc i nie
wypalając się. A wewnątrz płomienia
lewitowała buteleczka zamknięta szklanym
korkiem na szlif.

Na oczach maga płomień zmienił barwę
na błękitną, a potem zgasł. Buteleczka nadal
trwała w powietrzu, podtrzymywana przez
zakłęcie lewitacji. Dziewięciostopniowa
procedura
dobięła końca – eliksir dojrzał.

Mohellen bez pośpiechu obmył dłonie w
srebrnej misie, po czym wyjął ze skrzyni
szarfę
z wyhaftowanymi symbolami i przepasał
nią swoją szatę.

Ostrożnie ujął buteleczkę, odkorkował ją i powąchał zawartość. Zielonkawa, opalizująca ciecz pachniała metalicznie, jak świeżo wykuta i naostrzona klinga.

Wspomniał dwójkę swych akolitów – martwą Naisę i zaginionego bez wieści Cleota.

Jeden błąd, jedna nierozsądna decyzja...
Pomści ich, zarazem ratując własny honor.
Musi

pomścić. Bo w przeciwnym razie czeka go degradacja, może nawet uwięzienie – a tym razem

Akhania już nie powie ani słowa w jego obronie.

Zamknął oczy i bez drżenia wyrecytował formułę, po czym wypił pierwszy łyk formuły,

kładąc dłoń na sercu. Płyn, pozbawiony smaku jak woda, wydał mu się bardzo zimny. Drugi łyk palił jak ogień. Mohellen z trudem zdobył się na to, aby wysączyć trzeci, który okazał się

chłodny i słodki. Ukoił palenie i sprawił, że maga ogarnął dziwny spokój.

Nadszedł czas.

Dochodziła północ. W willi bankiera Orpiusa w Bel Ingre, stolicy Lossoru, okiennice

były pozamykane, ale gdyby ktoś

przyjrzał się uważnie, dostrzegłby, że w dwóch oknach przez szpary sączy się nieco światła.

W kantorku na parterze wszędzie poniewierały się rozłożone księgi rachunkowe i kwity.

Bankier, wściekły jak rój os, po raz trzeci sprawdzał dokumenty, przygotowując się do tego, że będzie musiał zwolnić współpracownika, który bez pozwolenia udzielił kredytu nieuczciwym kupcom z południa.

W małej sypialni na piętrze w lichtarzu dopalał się ogarek świecy. Zazel, siedząc z talerzem na kołdrze, z rozanieloną miną konsumował drożdżowe rogaliki z wiśniami. Spasł się bardziej niż kiedykolwiek, jego oblicze przypominało teraz krągły kołacz z dwoma sterczącymi wąsikami. Lorraine, w koszuli nocnej i domowej wełnianej narzutce,

leżała z dłońmi

podłożonymi pod głowę, swoim
zwyczajem wpatrując się niby to w sufit, a tak
naprawdę w jakiś odległy wymiar.

Oboje wiedzieli, że Marshia Lavallo nie
żyje. Panna Nevers widziała moment jej
śmierci

– ten obraz wciąż jeszcze dręczył ją w
snach – ale nawet gdyby nie posiadała daru
jasnowidzenia, to Zazel i tak wyczułby, że
stracił właścicielkę.

Lorraine, pragmatyczna jak zawsze,
zdążyła się już otrząsnąć i przyzwycząić do
myśli, że

została na świecie całkiem sama, nie
licząc stwora na pajęczych łapach. Zazel, jak
wyczuwała, miewał się zdecydowanie gorzej.
Ale wiedziała też, że nie potrafi mu w żaden
sposób pomóc.

Nie poruszała więc tego tematu.

– Co tam widzisz? – zagadnął chowaniec.

– Patrę, co porabia Brune – rzekła od niechcienia.

– I nic nie mówisz?! – Zazel poderwał się, omal nie wywracając talerza. – To on żyje?!

– Żyje.

– Więc czemu się tu nie pojawia?
Psiakrew, to tak mu zależy na przyjaciółach?

W tymże momencie powietrze w rogu sypialni zamigotało, zafalowało i zestaliło się w czarno odzianą sylwetkę. Chowaniec

przełknął, rozdziawił paszczę i siedział tak nad rogalikami, nie mogąc wykrztusić słowa. Lorraine usiadła, okrywając się kołdrą.

– Wiedziałam, że się kiedyś zjawisz – powiedziała rzeczowo. – Jak nas znalazłeś?

– Dzięki twojej miniaturze. – Krzyczący usiadł na krześle, uważając, żeby nie przygnieść

zawieszanej na nim modnej pelerynki, oczywiście czarnej. Wyjął z kieszeni oprawiony w złoto portrecik malowany na smoczej kości, który dawno temu, w lochach Shan Vaola, dostał od

Lorraine w zamian za zdjęcie z niej klątwy kamienienia. – Proszę, zwracam ci ją. Lepiej, żeby wróciła w twoje ręce.

Zazel przyjrzał mu się uważnie i z ulgą przekonał się, że Brune jest schludnie ubrany,

patrzy przytomnie, a jego ruchy nie zdradzają ani śladu spowolnienia wywołanego opium.

– Coś ty porabiał przez tyle czasu? – spytał.

Żmij rozłożył ręce.

– Gdybym miał czas, opowiedziałbym, ale nie mam. Powiedzcie, jak się miewacie?

– Dobrze – odrzekła Lorraine.

Zazel potaknął.

– Ach, nie narzekamy. Pan Orpius ma niezłego kucharza. Może rogalika?

Krzyczący gestem podziękował za
podsunięty mu talerz, więc chowaniec, czując
się

usprawiedliwiony, wpakował do paszczy
dwa rogaliki naraz.

– Pan Orpius odkrył już, że mój talent
bywa bardzo przydatny w prowadzeniu
interesów

– wyjaśniła panna Nevers z błyskiem w
oku, który dziwnie skojarzył się zmijowi z
Marshią.

– Więc Lorraine uczy się teraz o
kredytach, wekslach i procentach, żeby
łatwiej móc

służyć fachową radą – dopowiedział
Zazel, wskazując księgę leżącą na nocnym
stoliku.

Dziewczyna żartobliwie pacnęła go w

ciemię. Brune uśmiechnął się, ale zaraz spoważniał.

– Lorraine, czy wiesz, gdzie jest Anavri?

– Gdzieś na południu – odrzekła panna Nevers. – Gdzieś bardzo daleko. Wiem, że żyje,
ale kiedy próbuję ją zobaczyć, widzę tylko morze.

Żmij wolno skinął głową.

– To by wiele tłumaczyło. Próbuję ją odszukać, ale... – Rozłożył ręce.

– Czary tropiące? – odezwał się Zazel.

– Tak.

– Słabo działają przy tak dużych odległościach, zwłaszcza ponad wodą. Tropienie kogoś, od kogo dzieli cię ocean... Cholernie ciężka sprawa. Marshii może by się udało. Może.

– Wiem. – Brune westchnął. – Byłem nawet u ojca Anavri. Ale on też nic nie wie. Nie kontaktowała się z nim od miesięcy.

Lorraine patrzyła na niego z powagą i współczuciem.

– Uciekła tak, żeby zerwać za sobą wszystkie nici, zatrzeć ślady. Zrozum, niczego nie

bała się tak bardzo, jak pojmania przez srebrnych.

– Rozumiem. – Potarł czoło. – Chcę tylko wiedzieć, że ma się dobrze i jest szczęśliwa.

– Próbuj ją odszukać do skutku. Dopóki żyje, dopóty jest szansa, że się uda.

– Będę próbował. – Wstał. – Uważajcie na siebie.

Zazel posmutniał, wąsiki mu oklapły. Choć odkarmiony i pękaty, wyglądał teraz bardzo

smętnie, ze swoją łysą, pobliznioną głową i ślepiami, w których po śmierci Marshii coś zgasło, chyba już na zawsze.

– Wróć tu jeszcze – poprosił cicho.

– Nie, Zazel. Nie żyjecie już w enklawie.
Nie chcę was narażać.

Chowaniec chciał coś powiedzieć, ale zamilkł. Brune tymczasem wyjął z kieszeni dwa

zwitki pergaminu i wręczył im po jednym.

– Jeśli któreś z was będzie kiedyś potrzebowało pomocy, niech spali ten świstek.

Postaram się... postaram się przybyć. – Odkaszlnął, zawahał się. – No cóż... Bywajcie zdrowi.

Lorraine, pilnuj tego żarłoka. I uważaj na siebie.

Musnął dłonią twarz dziewczyny.

Sekundę później zniknął – rozpląnął się w powietrzu.

Zazel dłuższą chwilę gapił się za nim z otwartymi ustami. Potem westchnął.

– Jak myślisz, znajdzie ją?

Panna Nevers uśmiechnęła się smutnym uśmiechem jasnowidza.

Za oknami chaty, na nocnym niebie,

migotała błękitna łuna – echo potężnego zachwiania Ekwilibrium, które właśnie przetaczało się nad południową prowincją Camarry, gdzie

znajdowała się kotwica enklawy. Tu, na górze, panowała cisza, aura zachowywała stabilność.

Osłony, wzmocnione dodatkową warstwą czarów kamuflujących, dla zmysłów maga były

niczym chłodny, uspokajająco solidny mur.

Krzyczący zamknął okiennice i usiadł przy stole w pracowni, zdeterminowany podjąć

jeszcze jedną próbę odnalezienia swojej uczennicy. Pewność, że żyje, ułatwi mu zadanie –

podświadome nastawienie robiło dużą różnicę.

Coś mówiło mu, że po tym, jak widziała go w szponach szaleństwa, nie zechce wrócić.

Nie zamierzał nalegać. Ale musiał ją znaleźć – już choćby po to, by sprawdzić, że nie potrzebuje pomocy.

Wyspy Śpiewu. Czy zamieszkała tam na dworze jakiegoś arystokraty z otoczenia gubernatora? Została towarzyszką czyjejs córki? A może czyjąś kochanką?

Nie chciał myśleć o tym, że mogła wpaść w łapy handlarzy niewolników albo gildii przestępczej. Ale nie – była zmijką. Na pewno sobie radziła – kto jak kto, ale *ka-ira* ma do dyspozycji zdolności pozwalające spaść na cztery łapy w prawie każdej sytuacji. Pod

warunkiem, że potrafi je odpowiednio wykorzystać.

Anavri.

Zacisnął w dłoni jej spinkę i zamknął oczy, przywołując z pamięci obraz dziewczyny.

Anavri leżąca w swojej sypialni w Shan Vaola, gorączkująca i nieprzytomna, kiedy czarny dar brał ją w posiadanie.

Chłodna i opanowana mimo strachu, gdy stali w szrankach, otoczeni przez wyjący tłum.

Roześmiana Anavri na szlaku w dominium gnomów, pijąca wodę z górskiego strumienia.

Jej zachwycony wzrok, gdy patrzyła na

burzowe córki tańczące wśród ulewy.

Jej gładkie, zgrabne ciało, smukłe nogi,
drobne dziewczęce piersi. Urocze
zawstydzenie
tamtej pierwszej nocy.

Jej uśmiech.

Jego świadomość, płynąca na oślep przez
wiry wymiarów, nagle odnalazła to, czego
szukała – jakby rzucona lina z hakiem
zaczepiła o skalny występ. Brune
zdematerializował się, posyłając swoją jaźń
wzdłuż tropu, który migotał teraz w
bezprzestrzeni między światami, słaby i
ulotny.

Ogarnęło go znajome uczucie szybowania
przez bezład kolorów, a potem nagle stał na

piasku pod nocnym niebem. Ciepłe powietrze pachniało solą i egzotycznymi kwiatami. Czarny

przestwór w górze migotał gwiazdami, układającymi się w konstelacje inne niż na północy.

Kawałek dalej rosły palmy, za nimi w mroku majaczyły chaty. Brune gwizdnął cicho, gdy

dotarło do niego, dokąd trafił.

Wyspy Śpiewu.

Nie miał pojęcia, jakim cudem zdołał bez przygotowań dotrzeć tak daleko, i to niesiony samą tylko dematerializacją, nie portalem – magia teleportacyjna jednak bywała czasem zupełnie nieprzewidywalna. Intuicja maga mówiła mu, że trafił nie na Suniz czy Akore, tylko na jedną z małych, słabo zaludnionych wysepek w południowej części archipelagu.

Obejrzał się – za sobą miał mroczną przestrzeń morza. Fale z chlupotem lizały brzeg. Na

niebie lśniły niteczki czerwonego blasku, splatające się w pajęczynę – Ekwilibrium było

nieznacznie zaburzone. Może sprawiło to jego pojawienie się tutaj, może coś innego.

Kawałek dalej, w cieniu palm wznosiły się chaty oraz jeden większy budynek, również drewniany i kryty strzechą. Przez szerokie szpary w ścianach sączyło się żółtawe światło. Z

wnętrza dobiegały głosy i śmiechy. Karczma.

Krzyczący przymknął oczy i serce zabiło mu szybciej. Nie musiał nawet wyteżać zmysłów maga. Czuł znajomą obecność równie wyraźnie, jakby był to chłodny

powiew wśród
upalnej nocy.

Niewiele myśląc, spowił się iluzją,
zmieniając się w starego włóczkę o
nedgvarskich
rysach. Poświęcił jeszcze sekundę na
sprawienie, żeby jego ubranie przybrało
pozór takich
łachmanów, jakie mógłby nosić ktoś
miejscowy, po czym ruszył na przeszpiegi.

Odsunął zasłaniającą wejście matę i
wszedł do środka. Ciemnoskórzy, półnaczy
tubylcy
siedzieli w kucki wokół dzbanów, z
których piło się przez rurki – po trzech
klientów na dzban.

Obok niektórych stały misy z jedzeniem,
inni ćmili fajki wodne. Woń spoconych ciał i
piwa w połączeniu z dymem i swędem
kaganków przyprawiała o zawrót głowy.

Gruba kobieta siedząca

obok dwóch pękatych glinianych garów –
w jednym znajdował się ugotowany ryż, a w
drugim

zimna ryba przyrządzona na kwaśno –
obrzuciła starego żebraka nieprzychylnym
spojrzeniem,

ale nic nie rzekła. Brune zgarbił się
jeszcze bardziej, żałując, że nie ma kaptura,
który mógłby nasunąć na czoło, i rozejrzał się
powoli.

W najdalszym rogu siedziało dwóch
mężczyzn oraz dziewczyna o jasnej północnej
cerze.

Żmij zacisnął pięści tak mocno, że
paznokcie wbiły się w ciało. Zamknął oczy,
siłą woli
narzucając sobie spokój.

Ruszył wolno wzdłuż ściany, tak
manewrując, żeby kryć się za ludźmi,

nieznacznie

manipulując iluzją, żeby odpychać od siebie światło, utrzymywać twarz w cieniu. Miał wprawę.

Zatrzymał się kawałek od tamtych, w takiej odległości, by mimo panującego gwaru móc śledzić ich rozmowę.

Grubas odziany z nedgvarska, w długiej, niezbyt czystej szacie z frędzlami, wyjął z ust rurkę i podrapał się po łysinie.

– Za trzy tysiące popłyniecie? Co? Kapitanie? Piękna panienko?

Brune przygryzł wargę, zaledwie czując ból. Miał wrażenie, że czas zwalnia bieg, sekundy rozciągają się niby lepki syrop.

Czarnowłosa, smagły młodzieniec
spogląda na towarzyszkę. Ta ledwie
zauważalnym
skinieniem głowy zachęca, by się
targował.

– Popłyniemy za osiem, plus żywność dla
załogi.

Grubas dłubie w zębach srebrną
wykałaczką.

– Cztery tysiące.

– Siedem.

– Cztery i pół.

Dziewczyna pogryza kawałek mango, udając brak zainteresowania. Jest ubrana po męsku, z zawadiackim, pirackim szykiem. Biała koszula, nieco rozsznurowana u góry, łańcuszek na szyi, szkarłatna szarfa w talii, luźne, ozdobione haftami spodnie. Spod kolorowej jedwabnej chustki wymykają się jasne włosy...

Wyglądała ślicznie, ale zarazem coś się w niej zmieniło, i nie chodziło bynajmniej o strój. Brune wciągnął powietrze przez zęby, gdy uświadomił sobie, co przez cały czas szepcze mu dar. Gdy skupił się ciut bardziej, bez trudu wychwycił emocje Anavri. Delikatną, lecz jednoznaczną więź między nią a czarnowłosym kapitanem.

Nagle podniosła głowę. Dostrzegł

pólotwarte w zaskoczeniu usta, błysk w oczach –
rozpoznała go.

Zdematerializował się, nim zdążył się zastanowić. Chwilę później stał na piargach w dominium gnomów. Wiedział, że dziewczyna nie podąży za nim. Był w jej nowym życiu równie zbędny, co śnieg w lecie.

Zdał sobie sprawę, że nadal zaciska pięści. Odetchnął głęboko, zmusił się do rozluźnienia.

Przynajmniej teraz już wiesz.

Usiadł na kamieniu i siedział tak, patrząc w przestrzeń.

Choć wiedział, że nie powinien teraz przywoływać wspomnień, nie powinien rozpamiętywać – nagle okazało się, że nie potrafi myśleć o niczym oprócz niej. Anavri. Anavri.

Ćwicząca pisanie znaków przy stole w kuchni. Lewitująca kamyki na łączce nad stawem.

Ściągająca koszulę przez głowę i rozpuszczająca dla niego włosy. Śliczna, delikatna.

Dziewczyna, która w innych okolicznościach mogłaby zostać nawet żoną księcia.

Nie miał jej za złe. Rozumiał.
Potrzebował tylko chwili, żeby przyzwycząić się do myśli,
że odeszła.

W końcu zaklął, z rozmachem cisnął precz

kamyk, którym od dłuższej chwili się bawił, i wstał. Ruszył przed siebie – ot, byle iść. Nie miał ochoty jeszcze wracać do enklawy.

Teren był stosunkowo trudny, akurat na tyle, żeby wymusić skupienie na wyszukiwaniu

drogi wśród piargów i sterczących skałek, a co za tym idzie – porzucić rozmyślania. W pewnej chwili Brune poczuł, że talia kart w jego kieszeni drgnęła, jakby dopraszając się uwagi.

Zignorował to jednak. Chwilowo było mu całkowicie obojętne, co mówią karty.

Zaczął ostrożnie schodzić żlebem, gdzie w szczelinach skalnych kwitły dziwne, smrodliwe kwiaty barwy surowego mięsa, i nagle zatrzymał się jak wryty.

Nieco niżej, u wylotu żlebu, wznosiły się

liczne głązy, niektóre o kształtach przywodzących na myśl prymitywnie obrobione posągi. Między nimi siedziała bez ruchu postać.

Mężczyzna w szarej pelerynie z kapturem.

Żmij odruchowo spowił się czarem niewidzialności, po czym sięgnął zmysłami maga ku

nieznajomemu, usiłując wyczuć, kto to taki. Ku swemu zaskoczeniu wyczuł... pustkę. Nie ciepło żywej istoty, nie chłód umarłego i nie obcą, palącą moc demona. Istota siedząca wśród głązów aurę miała równie martwą jak one.

Krzyczący położył dłoń na rękojeści sztyletu, lecz nie dobywał go. Skupił uwagę na

zakapturzonym, starając się wybadać, czy to istota z krwi i kości, żywiołak czy może zjawa.

Skupiwszy się maksymalnie, wyczuł słabe ciepło żywego ciała, wydobywające się jakby spod kilku warstw grubej materii.

Czar kamuflujący.

Dokładnie w chwili, gdy to do niego dotarło, nieznajomy wstał i uniósł rękę, a jego aura rozbłysła oślepiającym blaskiem najczystszej srebrnej mocy.

Brune poczuł, że oplata się wokół niego lodowata sieć, krępując ręce i nogi. Niewidzialna pętla zacisnęła się na gardle, dławiąc oddech.

Pociemniało mu w oczach, osunął się na

ziemię. Nim stracił przytomność, zdążył
jeszcze

ujrzeć, że część otaczających go głązów
ożywa, przemieniając się w białe, toporne
sylwetki
golemów.

Akhania ar Vithanare mimo późnej pory
siedziała w pracowni, raz po raz przegarniając
dłonią piasek na deseczce. Ze wszystkich
technik wróżebnych preferowała tę, starą i
nieco

zapomnianą. Czuła niepokój,
niesprecyzowane złe przeczucie, a przyszłość
nie chciała odsłonić przed nią swego oblicza.

Wstała, gdy w rogu pomieszczenia coś zaczęło pulsować błękitnym światłem. To ustawiona na srebrnym trójnogu kryształowa kula ożyła. Po chwili pojawiła się w niej twarz podwładnego.

– Pani, schwyciłem w sferach *ka-ira*, tak jak było zapisane w gwiazdach – oznajmił Mohellen ar Vanth. Nie wyglądał jednak na szczególnie zadowolonego z siebie.

– To ten, którego poszukujemy?

– Nie. Za ledwie płotka, młodzik. – Zawiesił głos. – Lecz miał przy sobie pergamin z imieniem tamtego, wypisanym własną krwią.

– Zmodyfikowany czar kozła?
Dostatecznie silny, by zmylić nasze wróżby?

– Na to wygląda.

Akhania zmarszczyła brwi. Zatem
morderca dwójki akolitów, który dopisał tę
zbrodnię

do długiej listy innych nikczemnych
czynów, po raz kolejny okazał się
nieuchwytny. Fakt, iż nadal przebywał na
wolności, zaiste stanowił policzek dla potęgi
srebra.

– Złóż jutro raport Arcymistrzowi –
powiedziała wolno. – Schwytanego, skoro to
płotka,

możesz spożytkować zgodnie z umową,
lecz najdalej za cztery doby dostarcz go do

Domu

Godnego Odejścia na Wyspie Salamander.
Zostanie tam przesłuchany.

– Tak uczynię, o pani. – Mohellen skłonił
głowę. Wymienili słowa pożegnania, po czym
magini zgasła kulę.

Jej wzrok znów powędrował ku deseczce.
W nagłym przypiływie gniewu Akhania
otwarła okno i sypnęła piaskiem na
zewnątrz, w ciemność nocy.

Rozdział 30: Obroża

Przytomność wracała powoli. Pierwszym
wrażeniem, jakie zarejestrowały jego zmysły,
było przenikliwe zimno. Znajomy
wilgotny ziąb podziemi.

Pod policzkiem czuł szorstką tkaninę, zalatującą stęchlizną, a w gardle miał obrzydliwy

posmak wymiocin. Z trudem rozkleił powieki i ujrzał ciemność, w której jego oczy dopiero po dłuższej chwili zdołały rozróżnić zarysy ścian i sklepienia. Niski loch bez okien, z okutymi drzwiami.

Więzienie.

Brune na wpół instynktownie spróbował przywołać moc. Bez efektu. W następnej sekundzie szpila bólu prześwidrowała jego czaszkę, docierając aż do potylicy. Przechylił się przez krawędź pryczy, kaszląc i charcząc w suchych torsjach, splunął żółcią.

Już wiedział. Podano mu jakiś środek

blokujący dar.

Z opóźnieniem uświadomił sobie, że oprócz zimna czuje coś jeszcze. Srebro. Aurę srebrnych zaklęć, potężnych jak grube okowy.

Dom Godnego Odejścia. Ta myśl sprawiła, że poczuł w brzuchu lód. *Stało się. Mają mnie.*

Zebrał siły i spróbował usiąść, lecz fala zawrotów głowy zmusiła go, by opadł z powrotem na posłanie, przymykając oczy. Z zawodową ciekawością zadał sobie pytanie, co mu

zaserwowano. Organizm *ka-ira* radził sobie z większością trucizn, ale w przypadku niektórych substancji, zwłaszcza odurzających, wystarczyło po prostu zwiększyć dawkę.

Leżał, słysząc jedynie własny chrapliwy oddech, czując, jak krew tętni w skroniach, a pod czaszką pełza ćmiący ból. Stopniowo uświadomił sobie, że boli go także policzek. Ostrożnie dotknął twarzy, wyczuł gorącą, zaognioną skórę i lepkie strupy. Szramy znów się otworzyły – najwyraźniej już jakiś czas temu – i nie wyglądało na to, by zamierzały się rychło zasklepić.

Smagnięty wspomnieniem, jęknął, kuląc się.

Leżę na słomie, ręce i nogi mam skute kajdanami. Za okratowanymi drzwiami czuję obecność kobiety, zmijki. Obserwuje mnie beznamiętnie, jakbym był zwierzęciem w klatce.

Z całej siły ugryzł się w dłoń, trzeźwiąc się bólem. Zmusił się, by zachować spokój .
Na razie jeszcze żyjesz, więc myśl racjonalnie, do cholery.

Żeby skupić się na rzeczywistości, spróbował sprawdzić, czym dysponuje, a co mu

zabrano. Chwilę później zaklął cicho. Nie miał butów ani – rzecz jasna – broni; zniknęła też cała

zawartość kieszeni, łącznie z gemmą, flet oraz dwie karty noszone w woreczku z rzemykiem.

Docień pozytywy... Przynajmniej nadal masz ubranie. Nieznani strażnicy w geście łaskawości lub, co bardziej prawdopodobne, lekceważenia zostawili mu nawet chustkę zawiązaną na szyi i pasek ze sprzączką.

Ale tu i tak nie ma się na czym powiesić –
pomyślał zmij w przyływie cierpkiego
humoru.

Odczekał jeszcze chwilę, po czym znów
spróbował wstać. Tym razem się udało. Choć
ledwie trzymał się na nogach, obszedł celę
naokoło, trzymając się ścian. Nie była duża i
poza pryczą oraz śmierdzącym otworem w
kącie nie zawierała niczego godnego uwagi.

Kamienna

posadzka i leciutko wilgotne, zalatujące
stęchlizną mury.

Brune wrócił na pryczę i zwinął się na
niej, ciasno obejmując ramionami. Oprócz
zimna

dręczyły go mdłości i narastające
pragnienie. Marzył o kocu i łyku wody.

Usiłował wpaść na jakiś konstruktywny

pomysł – jakikolwiek – ale nic nie
przychodziło

mu do głowy, jakby specyfiki, które mu
podano, stłumiły nie tylko dar, ale też
zdolność

racjonalnego myślenia. Mógł tylko
czekać.

Osłabienie sprawiło, że po jakimś czasie
zapadł w niespokojną drzemkę, pełną
majaczeń

o mrocznych kształtach bez twarzy,
niesprecyzowanych, kłębiących się
potwornościach. Zbudził

się wstrząsany dreszczami. W gardle czuł
dojmującą suchość, pragnienie się nasiliło,
podobnie jak tętniący ból głowy.

Brune z nienawiścią zapatrzył się w mrok.
Ciekaw był, czy ktoś go obserwuje, czy
magowie w białych szatach zastanawiają
się teraz beznamiętnie, jaką strategię

zabijania daru wybrać, czy też decyzje już zapadły i można jedynie czekać, aż zostaną wprowadzone w życie.

Słyszał o Domach Godnego Odejścia różne koszmarnie pogłoski; prawdy nie znał nikt.

Nagle uświadomił sobie coś, co powinno go zdziwić już na samym początku.

Stłumienie

daru nie objęło zmysłów maga. Nadal był w stanie sięgnąć umysłem w przestrzeń, by zbadać

topografię swojego więzienia.

Wypuściwszy się na mentalne przespiegi, po chwili zdziwił się jeszcze bardziej. W ogóle nie wyczuwał obecności ludzi, tylko zimne mury i równie zimne

mechaniczne ciała golemów. Na ile potrafił ocenić, budynek nie był szczególnie rozległy, ale wznosił się na pięć czy sześć kondygnacji w górę.

Więc chyba jednak nie Dom Godnego Odejścia. Raczej prywatna siedziba jakiegoś srebrnego maga, przypuszczalnie wieża na odludziu. A to mogło wróżyć jeszcze gorzej.

Wyobraźnia znów jęła mu podsuwać rozmaite paskudne obrazy. Ze wszystkich sił starał się nie poddawać panice.

Leżał, oddychając szybko, próbując odsunąć od siebie wspomnienie o konającym Adrienie de Vere z wizji Lorraine. Po jakimś czasie nie tyle się uspokoił, co stopniowo ogarnęła go obojętność. Będzie, co ma być.

Oslabienie, ciemność i cisza w końcu zrobiły swoje i ponownie odpłynął w zmacony

majakami półsen, nie tracąc jednak dręczącej świadomości, że marznie.

Gdy się ocknął, na posadzce obok niego stała miseczka z wodą. Brune w pierwszym odruchu chciał łapczywie wypić zawartość, powstrzymał się jednak i nieufnie ją powąchał,

potem ostrożnie spróbował. Tak jak podejrzewał, woda miała gorzkawy posmak i leciutki zapach lukrecji, kojarzący mu się z lekami, bo lukrecją często doprawiano apteczne mikstury.

Walcząc ze sobą, powoli odstawił miseczkę, po czym znów legł na twardym posłaniu,
zamykając oczy.

Minuty mijały nieznośnie powoli, odmierzane dreszczami, chrapliwym

oddechem i
pulsowaniem krwi w skroniach.
Gorączkowy wir podsycanych strachem myśli
stopniowo cichł,
w miarę jak narastające pragnienie
zaczynało uniemożliwiać skupienie się na
czymkolwiek
innym.

Woda. Niemal czuł w gardle jej
orzeźwiającą wilgoć.

Nie był pewien, ile czasu minęło, zanim
się złamał. Może kilkanaście godzin. Może

tylko kilka. Było mu już wszystko jedno.
Sięgnął po miseczkę i upił łyk.

Tym razem woda nie wydała mu się
gorzkawa, a ohydnie gorzka. Z obrzydzeniem
wypluł to, co miał w ustach, i zaklął
głośno w bezsilnej wściekłości. Zmysłami
maga nie
wyczuwał w pobliżu nikogo, lecz nie
wątpił, że jest obserwowany.

Zebrał w ustach ślinę i splunął. Nadal czuł
na języku gorzycz, a mdłości się nasilały.

Zagryzł wargi, zastanawiając się, jaką
substancję dodano do wody. Pomyślał, że
cokolwiek to było, nie powinno podziałać,
skoro nie połknął ani odrobiny – nie na *ka-
ira*. W teorii.

Po chwili ujrzał, że pokryty plamami sufit
ożył. Wybiegły nań kohorty świecących

mrówek, fosforyzujących robaczków w odcieniach bladej zieleni, błękitu i sinawego różu.

Stopniowo nabrały kolorów, zaczęły się rozpełzać i układać w tęczowe, zmieniające się wzory.

Czując zawrót głowy, Brune opadł na pryczę. Jego ciało stało się lekkie – miał wrażenie, że unosi się, choć zarazem wiedział, że leży bezwładnie na wznak.

Nie zatracił kontaktu z rzeczywistością. Przeciwnie, wszystkie niemiłe fizyczne doznania

stopniowo się nasilały. Panujące w lochu zimno kąsało teraz aż do kości, jakby leżał na śniegu.

Obolała głowa, zdawałoby się, urosła jak bania, a w policzek wgryzały się tępe żelazne zęby.

Zapach własnego potu wydawał się mdlący i gęsty niczym lepka mgła.

Narkotyk nienaturalnie wyostrzył mu odczuwanie bodźców. Kiedy Brune pomyślał, do

czego może to być wstęp, zacisnął zęby, ze wszystkich sił starając się powściągnąć panikę.

Ciało *ka-ira* jest w stanie goić rany szybciej niż ciało zwykłego człowieka, ale jego możliwości nie są nieograniczone.

Bał się. Jak jasna cholera.

Może godzinę później, może dwie godziny – nie potrafił tego w żaden sposób ocenić – w zamku szczęknał przekręcany klucz i okute drzwi otwarły się, uderzając o ścianę z głuchym

łupnięciem. Brune poderwał się w panice, nim dotarło do niego, że dźwięk nie dobiega z jego celi.

W ścianie naprzeciwko pryczy znajdowało się teraz okienko zabezpieczone stalowymi

prętami, z całą pewnością nieobecne wcześniej. Fragment muru w tym miejscu musiał być tak

naprawdę iluzją, której środki blokujące dar nie pozwoliły Krzyżącemu wyczuć.

Teraz jednak zmij wyraźnie czuł za ścianą obecność. W sąsiednim pomieszczeniu znajdował się żywy człowiek.

Zmaltretowany, obolały i gorączkujący.
Bijąca odeń aura
cierpienia obudziła w Krzyczącym
znajomy, paskudny głód.

Zwlókł się z posłania i ostrożnie, nieufnie
zbliżył do okienka. Zanim zdążył przebyć
całą
szerokość celi, drzwi zatrzęsły się z
hukiem, a klucz przekręcił się ponownie.

Okienko znajdowało się jakieś pięć stóp
nad ziemią. Krzyczący wyjrzał przez nie.

W sąsiedniej celi na posadzce kulił się
kilkunastoletni chłopak w zgrzebnych
łachach, na

oko – wiejska biedota. Błady jak śmierć,
dyszał, oburącz trzymając się za brzuch.

Brune w

pierwszym odruchu chciał przemówić do

niego, ale się powstrzymał. Nie miał wątpliwości, że są obserwowani, a ponieważ nawiązanie kontaktu ze współwięźniem wydawało się logiczne, za

logiczne uznał też, że srebrni oczekują takiej właśnie reakcji.

Spróbował ocenić stan dzieciaka. Gołym okiem było widać, że nie jest dobrze, a zmysły

maga to potwierdziły. Chłopak, choć jeszcze o tym nie wiedział, umierał. Pobito go brutalnie, uszkadzając organy wewnętrzne i fundując rozwijające się rozlane zapalenie otrzewnej. Zostało mu kilkanaście godzin konania w coraz większych mękach.

Brune przygryzł wargę, walcząc ze sobą. Środki tłumiące dar nie osłabiły jego zdolności

do wyczuwania bólu, a spowodowane głodem osłabienie wręcz ją spotęgowało.

Choć

nienawidził siebie za to, czuł się tak, jakby tam za kratą znajdowało się pożywienie.
Smaczny obiad na tacy.

Mimo woli wyobraził sobie, że cicho przemawia do współwięźnia, namawia go do wstania, do podejścia bliżej, a potem wyciąga rękę przez pręty, dotyka go... i czerpie.

To byłoby takie łatwe.

I może srebrni właśnie tego oczekiwali. Może chcieli, żeby był znarkotyzowany, z zablokowanym darem, fizycznie słaby, lecz nasycony czernią – tak jak wstępem do niektórych tradycyjnych tortur może być podanie więźniowi posiłku.

Nie ze mną takie sztuczki. Powoli, walcząc z pokusą, żmij odszedł od okienka i legł z powrotem na pryczy.

Fale cierpienia płynące z sąsiedniej celi nieustająco drażniły jego zmysły.

Potem chłopak zaczął jęczeć. Płakał, wołał matkę, błagał niewidocznych magów o litość.

W końcu, ochrypły, zamilkł – lecz nie na długo. Jął bredzić, podśpiewywać urywki dziecinnych piosenek, mamrotać bez ładu i składu. I znowu z płaczem wołał matkę, skarżył się, że go boli, prosił o wodę. W pewnej chwili zakrztusił się i zwymiotował, jęcząc.

W końcu zamilkł i już tylko oddychał szybko, płytko, jak skulone w norze chore

zwierzę.

Żmij czuł zmysłami maga, że ból nasilił się, a gorączka wzrosła. Chłopiec był rozpalony jak piec, zatracił kontakt z otoczeniem.

Po jakimś czasie jego oddech stał się urywany. Potem zmienił się w rozpaczliwą walkę o

każdy haust powietrza. A Brune nie potrafił przestać nasłuchiwać, zastanawiając się, kiedy

wreszcie zapadnie cisza.

W końcu zapadła. W miejscu, gdzie żmij chwilę wcześniej wyczuwał obecność

umierającego dziecka, trwała już tylko gorąca czarna plama cierpienia – niczym ognisko, które przestało płonąć, ale nadal się żarzy.

Brune bezsilnie zacisnął pięści, myśląc o tym, co zrobiłby srebrnym mordercom, gdyby mógł. Ciekaw był tylko, co nieszczęsny, nieposiadający daru wiejski dzieciak im zawinił. O co tu chodziło. Czyżby tylko o to, żeby on miał okazję poobserwować cudzą agonię? Nasycić się?

Wystarczyło samo przebywanie w pobliżu cierpiącego, a teraz w pobliżu zwłok, by mimowolnie chłonał czerń, choć nie tyle, ile wchłonałby czerpiąc świadomie. Podziałała jak łyk wina na pusty żołądek, lekko go odurzając, choć nie wystarczająco, by przestał odczuwać dyskomfort swego położenia. Nadal dygotał z zimna, dolatująca z sąsiedniej celi ostra woń wymiocin przyprawiała o mdłości, a głowa pękała z bólu wywołanego odwodnieniem i głodem.

Miał wrażenie, że zamknął oczy tylko na sekundę, ale gdy je otworzył, koło pryczy znów

stała miseczka z wodą. Brune podniósł ją i z namysłem zważył w dłoniach. Wypił łyczek, ale

zmusił się, by na tym na razie poprzestać. Woda smakowała gorzkawo, a dysponując tylko

ułamkiem daru, nie potrafił wyczuć, czy oprócz halucynogenu zawiera coś jeszcze.

Dzięki swemu wykształceniu doskonale wiedział, jak można kogoś skazać na śmierć w

męczarniach, serwując truciznę – wystarczyłby banalny arszenik czy sublimat. Wymioty,

krwawa biegunka, potworne bóle, pragnienie i w końcu śmierć, gdy serce albo nerki odmówią posłuszeństwa. On, będąc *ka-ira*, przypuszczalnie nie umarłby, ale męczyłby się długo i upokarzająco. Znając

srebrnych, nie przypuszczał jednak, by pragnęli dręczyć ofiarę akurat w ten sposób. Uważaliby to za uwłaczające swej godności.

Ale mimo wszystko wolał dmuchać na zimne.

Kiedy po dłuższym czasie nie pojawiły się żadne objawy prócz kolorowo-światlistych doznań wizualnych, wypił resztę wody. Wtedy wizje zalały go jak rzeka przerywająca tamę.

Ulice miasta spowija dym z tłących się stert śmiecia; okiennice w domach są pozamykane, widnieją na nich nasmarowane farbą białe znaki.

Szpital – wielka sala, w niej długie rzędy sienników, prowizorycznych postać wprost na

ziemi. Gdzie nie spojrzeć, wszędzie pokotem leżą chorzy, setki chorych o oczach powleczonych mleczną błoną. Jedni jęczą, inni się modlą, ktoś płacząliwie powtarza, że chce pić... Ktoś miota się i dygoce w przedśmiertnych drgawkach. Dwaj pijani, poruszający się chwiejnie posługacze wynoszą w prześcieradle zwłoki korpulentnego mężczyzny, klnąc plugawie, że ciężki. Otumanili się gorzałką, by nie czuć strachu przed zarazą.

Lekarz w czarnej szacie i drewnianej masce z długim dziobem wyciąga rękę, w której

trzyma dwie karty z wizerunkami Maga i Błazna. Za grubymi szklami maski jego źrenice jarzą się seledynowym blaskiem.

– Pamiętaj, Deuvenie, umiera się tylko raz.

– Deuven de Ragues zmarł czterdzieści lat temu w mieście ogarniętym zarazą – mówi dziewczyna o ostrzyżonych włosach i niebieskich oczach, po czym nakrywa dłonią okaleczoną połowę mojej twarzy. Dotyk jej palców pali jak lodowaty ogień.

Księżyc splywa z nieba, wykrzywiony przez gorączkę niczym odbicie w wypukłym zwierciadle.

Oślepiiony palącym blaskiem, porwany przez prąd wizji, Brune tonął, rozpadał się na drobniutkie cząstki, rozszarpywany przez wirujące kolorowe gwiazdy, rozdziobywany przez

ptaki o drewnianych dziobach. A potem... potem fala cisnęła mu w twarz jeszcze jeden obraz.

Koszmary, bo wykrystalizowany z najgłębiej skrywanych obaw.

*Wywlekają mnie z celi po roku, a może
dwóch? Zgarbionego jak starzec, z
pozlepianą*

*brodą i włosami, pokrytego brudem,
niemrawo osłaniającego zaropiałe oczy.*

*Od miesięcy już niezdolnego widzieć
cokolwiek poza mętną szybą.*

Metaliczne szczęknięcie i łomot
odsuwanych rygli przegnały majaki.
Krzyżący

gwałtownie usiadł na posłaniu i zmrużył
oczy, oślepiiony blaskiem. Minęła chwila, nim
przywykł

doń na tyle, żeby przyjrzeć się postaciom,
które stały obok. Dwa golemi oraz
mężczyzna w

białych szatach, z wyhaftowanym na
piersi srebrnym pentagramem. Nad ich

głowami tańczyło nie jedno, a pięć
czarodziejskich światełek.

– Żyjesz, *ka-ira*? – przemówił drwiący
głos.

Mohellen, zbrojny w kilka ukrytych pod
odzieżą talizmanów oraz zawiązaną w pasie
szarfę z formułami ochronnymi, nie
obawiał się pojmanego gada. Patrzył z
obrzydzeniem na

sfatygowaną odzież więźnia, jego splątane
włosy i zarośniętą, wyniszczoną twarz z
policzkiem przekreślonym szramami.

Szumowina.

Brune tymczasem, oprzytomniawszy, wysiłkiem woli starał się tłumić strach, jaki go

ogarnął – ściskający za gardło, pełzający po skórze lepkiem zimnem – na widok lśniącej srebrzyście symbiotycznej maski oraz dwóch golemów. Toporne mechaniczne stwory były

większe i masywniej zbudowane niż Jednoocy w Shan Vaola, ale o takich samych zdeformowanych obliczach, jakby ulepionych przez niewprawne ręce, z pojedynczym szklanym ślepiem pośrodku czoła.

Mag musiał zajmować w Elicie stosunkowo wysoką pozycję, sądząc z pierścieni, które

skrzyły się na jego palcach. Krzyczący popatrzył w dwa skośne wycięcia maski, za którymi

kryły się oczy. Przez mgnienie mierzyli się nawzajem czujnym, nienawistnym wzrokiem

mówiącym wszystko.

Sługa srebra cofnął się o krok.

– Obroza – rozkazał.

Jeden z golemów pochwycił Krzyczącego, unieruchamiając go. Żmij nie próbował się opierać – wiedział, kiedy to nie ma sensu.

Wzdrygnął się, gdy zapięto mu na szyi ciężką, parzącą zimnem obrozę z litego srebra, kutą w kształt symboli układających się w zaklęcie. Formuła

blokująca dar, jakżeby inaczej.

Uśmiechnął się cierpko w duchu,

dostrzegając absurd tak daleko posuniętych środków bezpieczeństwa – podane mu wytłumiacze daru nadal działały, nawet bez obroży nie byłby w stanie choćby zapalić zaklęciem świeczki.

Jednak troszkę się mnie boisz, co? Nawet teraz.

– Pora, żebym się przedstawił – oznajmił przybysz. – Nazywam się Mohellen ar Vanth.

Krzyczący uniósł brew.

– Autor książki *Potęga uczuć*?

Z satysfakcją odnotował wrażenie, jakie wywołały te słowa.

– Czytałeś ją? – zdumiał się srebrny mag.

– Tak.

– Zatem nasi szpiedzy ze Shan Vaola mówili prawdę, istotnie jesteś wykształcony.

No,

no. – Mohellen wyrzekł to takim tonem, że Brune tylko przymknął oczy, ignorując prymitywną

próbę prowokowania go do złości. – Czy wiesz, do czego służy księżycowa machina?

Teraz dla odmiany zmij się zdziwił.

– Co proszę?

– Księżycowa machina, *ka-ira*. Słyszałeś

o nich kiedyś?

– Nie.

– Machiny astralne nie leżą w sferze twoich zainteresowań, co?

– Nie da się ukryć.

– Nie spotkałem jeszcze czarnego maga, który by się nimi interesował. Zachodzę w głowę czemu. – Mohellen zrobił pauzę. – Księżycowa machina zbiera i skrapla światło księżyca, którego potrzebujemy do naszych badań. By działać, wymaga wielkich ilości czerni; zgodnie z prawem Periusa próby napędzania jej mocą srebra natychmiast zaburzają Ekwilibrium. Czarną moc najlepiej zaś czerpać z pojedynczego silnego źródła. – Uśmiechnął się. – Machina,

która znajduje się na najwyższej kondygnacji
mojej wieży, zaopatruje moje laboratorium i
jeszcze

kilka innych. Teraz właśnie pilnie
potrzebuje naładowania, dlatego przełożeni
wyrazili zgodę, abym jako źródła czerni użył
ciebie.

– Brzmi... ciekawie. – Brune zwalczył
chęć zapytania, czy przeżyje to czerpanie.

Znając

srebrnych, skłonny był założyć, że
najprawdopodobniej nie. Mylił się jednak.

– Później – kontynuował srebrny mag –
zostaniesz przewieziony do Domu Godnego

Odejścia na Wyspie Salamander. Chyba
że zdecydujesz się przyjąć moją propozycję. –

Znów

zawiesił głos, wyraźnie po to, by jego
słowa wywarły większe wrażenie. –

Propozycję

współpracy.

– Czy tam na zewnątrz – Krzyczący wskazał sklepienie – słońce już się toczy po ziemi?

Mohellen wytrzeszczył na niego oczy.

– Co ty wygadujesz?

– Jeśli srebrny mag ma dla mnie propozycję współpracy, to znaczy, że świat stanął na głowie.

Mohellen, zaciskając wargi, dał znak większemu z golemów. Z ręki stwora ze szczękiem wysunął się cienki oścień, wbijając się

zmijowi w ramię. Brune syknął – ukłucie przeniknęło go piekącym lodem.

– Trochę pokory, *ka-ira* – stwierdził srebrny mag.

Krzyczący zagapił się na niego, usiłując pojąć kuriozalną sytuację. *Propozycja współpracy? Znowu?* Nagle zaświtało mu brzydkie podejrzenie.

Coś w tonie jego głosu. W jego wzroku.

– Jesteś agentem Otchłani – powiedział powoli.

– Owszem – przytaknął Mohellen bez śladu zdziwienia. – Doliny Igieł, jeśli chodzi

ściskość.

Coś w jego spojrzeniu. Widoczne w wycięciach maski oczy srebrnego maga oprócz

pogardliwej wyższości wyrażały też łąkoma niecierpliwość, jakby nie mógł się doczekać chwili, gdy sprezentuje swym mocodawcom piękne trofeum i otrzyma obiecaną nagrodę.

– To czego oczekiwałyby ode mnie Dolina Igieł? – spytał Brune takim tonem, jakby uzgadniał z klientem, ile fiolek destylatu przygotować na następny tydzień. Zranione ramię pulsowało bólem, czuł, jak rękaw nasiąka krwią.

– W pierwszej kolejności oczywiście tego, że zerwiesz cyrograf wiążący cię z Doliną

Popiołów, podpisując umowę z nami.

Żmij i tym razem nie zdołał ukryć zdumienia.

– Wiecie...

– Ależ oczywiście. Informacja to podstawa. – Agent Doliny Igieł zaśmiał się pobłaźliwie.

– Wiemy, komu służysz i na jakich zasadach. Wiemy, że niedawno pokonałeś hrabiego

Sathoona, zresztą ku naszej radości, bo nie lubimy Doliny Rdzy. Wiemy też, że strzeże cię

rodzona córka Spalonego Władcy i że jesteś zdolny, tak zdolny, że szkoda, by te zdolności miały się marnować w służbie innej Doliny, lub jeszcze gorzej – przepaść w Domu Godnego Odejścia.

Nie wiedzą o błogostawieństwie Eresha – przemknęło zmijowi przez głowę. No cóż, zawsze to jakaś pociecha, jak rzekł skazaniec, widząc, że topór kata nie jest tępy.

– Jeśli dobrowolnie przystaniesz do mnie na służbę, *ka-ira*, i pozwolisz się spętać czarem posłuszeństwa, już nigdy nie będziesz musiał się obawiać wyroków Elity. –

Mohellen zniżył

głos. – Dolina Igieł może przemienić twoją czerń w srebro, pod warunkiem, że sam o to

poprosisz.

– Ciekawe. – W głosie zmija zadźwięczała nutka drwiny. – A co Elita na to?

– Elita? – Mag uśmiechnął się

lekceważąco. – No cóż, powiedzmy, że... nie mają pełnego

obrazu sytuacji. Pozwoliłem sobie ich nie poinformować, że to właśnie Krzyczący w Ciemności przebywa w moim lochu. Sądzą, że schwytałem jakiegoś nieszczęśnika świeżo po przemianie.

Dostaną ode mnie zwłoki innego *ka-ira*, dostarczone przez Dolinę Igieł. Poinformuję ich, że w czasie pojmania został ranny, a czerpanie dla księżycowej maszyny wyssało z niego całą siłę życiową. To się zdarza.

– I co potem? Byłbym twoim niewolnikiem, asystentem od trudniejszych prac,

przetrzymywanym tu w zamknięciu, z obrożą na szyi?

– Bez obroży – poprawił Mohellen. – Gdy chodzi o zaklęcia posłuszeństwa, *ka-ira*, śmiem twierdzić, że mało kto jest w stanie

dorównać mojemu kunsztowi. I nie tutaj.
Posiadam rezydencję w sferach, gdzie żyją
moi akolici oraz słudzy: ludzie i żywiołaki.

– O proszę. Ilu z nich spętanych jest
zaklęciem posłuszeństwa?

Srebrny mag bez mrugnięcia okiem
szepnął coś niższemu z golemów, a ten rąbnął
zmija

pięścią w splot słoneczny. Brune zgiąłby
się wpół, gdyby nie ciężkie łapy większego,
nadal

dzierżące go w żelaznym uścisku.
Mohellen cierpliwie patrzył, jak więzień
walczy o oddech.

– I jak? – zapytał w końcu. – Co sądzisz
na temat mojej propozycji?

Krzyczący, choć jeszcze nie całkiem doszedł do siebie, skrzywił się wymownie.

– Może byś tak oddał mi buty, łaskawco?

Spodziewał się, że reakcja będzie szybka i brutalna. Nie omylił się. Mohellen skinął tylko

dłonią, coś trzasnęło i świat wokół zmija wybuchł zieloną jasnością oraz porażającym bólem.

Zielone płomyki najwyraźniej były popularne nie tylko wśród demonów. Ta myśl tłuła

się tępo w głowie Krzyczącego, kiedy wił się w uścisku golemów, mając wrażenie, że w jego

żyłach płynie zarazem ogień i śmiercionośny lód. W końcu zapadł w błogosławione omdlenie.

Odzyskał przytomność w momencie, gdy drzwi celi zamknęły się z hukiem. Był odrętwiały, niemal całkowicie sparaliżowany; nie mógł usiąść ani zacisnąć dłoni w pięść.

Wiedział jednak, że to minie za jakiś czas. W ustach czuł metaliczny smak krwi – musiał przygryźć sobie język. Przełknął z trudem ślinę. Leżał, oddychając ciężko, i czekał, aż szalejące w całym ciele bolesne mrowienie przycichnie.

Zranione ramię piekło nieznośnie. Gdy już odzyskał częściowo władzę w kończynach, Brune dotknął go ostrożnie i zaklął przez zęby; zostało opatrzone bandażem, na którym wyhaftowano jakieś znaki. Czym prędzej go zerwał, a ranę przewiązał własną chustką. Wiedział

dość o srebrnej magii, by się domyślać, że oścień nie był zwykłym ostrzem, a zranienie

nim zostało z góry wpisane w rozmowę niezależnie od tego, jak zachowywałyby się więzień.

Nie zdjęto mu też obroży.

I tak połamiesz sobie na mnie zęby, lalko w białych szatach – syknął w myślach.

Wiedział jednak, że z równym powodzeniem mogłaby się odgrażać owca prowadzona na rzeź.

Z ran na twarzy również sączyła się krew. Żmij otarł ją rękawem. Nagle wydało mu się, że gdzieś w górze, w ciemności wyczuwa obecność. Chłodny, lekko drwiący wzrok – może

obserwujący go przez otwór wywiercony w stropie, a może za pomocą jakiegoś drobnego czarodziejskiego artefaktu, szkiełka

szpiegów czy czegoś podobnego.

– Mohellen! – zawołał, tracąc cierpliwość.
– No co? Na co się gapisz?

Odpowiedziała mu tylko cisza. Zimna, przytłaczająca niczym tony kamieni i ziemi.

Rozdział 31: Srebro i czerń

Godziny mijały.

Rana po dźgnięciu ościeniem, choć nieduża, doskwierała zmijowi coraz bardziej, ramię

napuchło. Pojawiły się dreszcze, czuł, że rośnie mu gorączka. Męczyło go również pragnienie; znowu nie dano mu wody.

Zastanawiał się, jakie zaklęcie wypisano na ościeniu. Najbardziej prawdopodobną możliwością wydawał się czar, który stopniowo łamie wolę ofiary, utrudnia jej stawianie oporu.

Leżał, wpatrując się w ciemność i starając się nie poddawać narastającemu uczuciu beznadziei. Jak na ironię – musiał trafić pod klucz właśnie teraz, kiedy wyzwolił się spod władzy Doliny Popiołów... Gdyby nadal pozostawał ich sługą, nie pozwoliliby, aby przejęła go inna Dolina.

Na pytanie, jak konkretnie mogłaby wyglądać jego służba u Mohellena, na smyczy

Doliny Igieł, wolał nie znać odpowiedzi. Tak czy owak, śmierć w Domu Godnego

Odejścia już

nie wydawała mu się najgorszą z możliwych perspektyw. Co by nie mówić, umiera się tylko raz.

Ból. Dreszcze. Pałace pragnienie, męka wyschniętego gardła.

W pewnej chwili zdał sobie sprawę, że nie wyczuwa już obserwujących go oczu. W jego umęczonej głowie zaświtała myśl, że mógłby stosunkowo łatwo pokrzyżować Mohellenowi

plany. Wystarczyłoby wziąć chustkę – sztywny skórzany pasek nie nadawał się do tego celu –

przedeń ją na pół, związać kawałki razem i zadzierzgnąć sobie mocno pętlę na szyi, odcinając dopływ krwi do mózgu. Na wystarczająco długo, żeby ani czerń, ani srebro nie były później w stanie zregenerować uszkodzeń.

Ale nie potrafił się na to zdobyć.
Wmawiał sobie, że nie wie, ile czasu by to
trwało w
przypadku *ka-ira*, ale pewnie dość, żeby
Mohellen się zorientował i zareagował w
porę; wreszcie
– że kto wie, czy srebrna magia nie
pozwala uzdrawiać uszkodzonych mózgów,
skoro magowie
Elity potrafią nawet przejściowo ożywić
martwe ciało.

Więc czekał.

W końcu znów zapadł w niespokojny
pólsen. Ocknąwszy się, ujrzał, że stoi nad nim
dziwny typ golema – właściwie sam
metalowy szkielet, z białą porcelanową
maską w miejscu
twarzy. Zamiast oczu miał dwa

wielościenne kryształy siejące błękitnymi migotami, a trzeci

podobny kryształ, tylko większy, tkwił wewnątrz jego klatki piersiowej.

– Mistrz Mohellen kazał przekazać – rzekł stwór zgrzytliwym tonem; głos wydobywał się zza maski, choć jej usta się nie poruszały – że propozycja pozostaje aktualna, lecz odmowa pociągnie za sobą... konsekwencje.

– Powiedz swojemu panu – odrzekł ochryple zmij – że życzę mu z całego serca, aby

zwierzchnicy z Elity poznali się na nim i też wyciągnęli konsekwencje.

Stwór skinął głową, po czym wolno uniósł rękę – towarzyszyło temu ciche skrzypienie mechanizmów – i nakreślił jakiś znak w

powietrzu nad głową zmija. Brune zamarł, wiedząc, że nie zwiastuje to niczego dobrego. I miał rację.

Najpierw przyszło mrowienie pod skórą, w palcach, kończynach, w całym ciele. Potem narastający stopniowo ból – jakby pełzające ogniste muśnięcia, rozpalone igły wbijające się to w stawy, to w kark, to w oczy. Najdrobniejszy ruch, nawet wciągnięcie oddechu, wyzwalał ich całą serię. Ból był podobny do wywołanego zielonym ogniem, tylko słabszy – ale za to atakował podstępnie, za każdym razem w innym miejscu.

Golem trwał bez ruchu, obserwując ofiarę migoczącymi kryształami zastępującymi oczy.

Walcząc ze sobą, żeby nie jęczeć – choć nad grymasem twarzy nie był w stanie zapanować –

Brune z ponurą determinacją postanowił, że dopóki może, nie da Mohellenowi satysfakcji.

Minuty wydawały się rozciągać w godziny, lecz w końcu ból przycichł, a jego miejsce

stopniowo zajęła ołowiana, przytłaczająca słabość. Wszystko kołysało się i oddalało, kamienne ściany, sklepienie, maska stwora. W pewnej chwili zmij odniósł wrażenie, że widzi nad sobą

twarz Spalonego Władcy, i chciał go drwiąco pozdrowić, lecz nie mógł wydobyć głosu z

wyschniętego gardła.

Szara mgła spowiła wszystko. Tonał, odpływał, ukołysany przez jej zimne objęcia.

Otworzył oczy i ujrzał, że znajduje się wewnątrz długiej, ponurej sali o okratowanych oknach, z dwoma rzędami sienników. Miał wrażenie, że skądś zna to miejsce, i po chwili

konsternacji rozpoznał je. Szpital dla ubogich w Shan Vaola. Nigdzie jednak nie było śladu

lekarzy ani posługaczy. W powietrzu unosił się odór trupów, lecz słychać było także stękania i jęki.

Brune powoli usiadł na pościeli i popatrzył po sobie. Z niedowierzaniem przekonał się,

że ma na sobie te same brudne,

obszarpane łachy, które aż za dobrze pamiętał z czasu, gdy

mieszkał ze śmieciarską rodziną. Poczł się zdezorientowany, bo mgliście zdawał sobie sprawę, że to już przeszłość i wiele rzeczy się wydarzyło od tamtej pory. Z nadzieją pomyślał, że skoro jest w szpitalu w Shan Vaola, to pewnie zaraz zjawi się Haru i powie mu, co się stało.

A potem wzdrygnął się, widząc, że obok niego na sienniku spoczywa nieruchomo stary,

wychudzony człowiek o oczach powleczoney mleczną, lśniącą błoną. Nie oddychał. Wszystkie

sąsiednie posłania również zajęte były przez trupy lub umierających.

Ogarnięty strachem, Brune chciał się zerwać i uciec z tego miejsca, lecz nogi odmówiły

mu posłuszeństwa. Zatoczył się i osunął z powrotem na posłanie. I wtedy usłyszał kroki, a raczej szuranie, jakby idący powłóczył stopą.

Szur. Szur. Szur.

Drzwi otworzyły się, skrzypiąc, i na salę, utykając, powoli wkroczyła postać w czarnym

odzieniu oraz czarnym kapeluszu. Na jej widok Brune wstrzymał oddech w nagłej zgrozie.

Patrzył na siebie, na swojego sobowtóra. To była jego własna twarz... lecz jej prawa połowa, ta z bliznami na policzku, była nieruchoma i sina, jakby tknięta rozkładem. Prawa

powieka zasłaniała oko, a kącik ust opadał.

Brune chciał zawołać do zjawy, ale głos uwiązał mu w gardle. Tamten tymczasem pochylił się nad jednym z trupów, kładąc mu rękę na czole. Ciało wygięło się w paroksyzmie

konwulsji – zaświszczając wciągany w płuca oddech – oczy rozwarły się i wytrzeszczyły – mężczyzna opadł na posłanie, dysząc, mamrocząc coś nieskładnie, ponad wszelką możliwość żywy.

Sobowtór zaśmiał się cicho i klasnął w dłonie, raz jeden. Wtedy na sali wszczął się ruch;

wszyscy zmarli i chorzy zaczęli się poruszać i powoli wstawać. Chwiejnie, zataczając się,

podążali do wyjścia, aż w końcu pomieszczenie opustoszało. Na miejscu został tylko Brune, zbyt oszołomiony, żeby się

poruszyć.

Zjawa podeszła i bez słowa położyła na jego czole siną, lodowatą dłoń. Żmij gwałtownie

wciągnął oddech, czując, jak czarna, paląca siła wsącza się w jego ciało...

...a równocześnie przez chwilę był tym drugim sobą, trzymał rękę na czole dygoczącego

człowieka w łachmanach i czuł w sobie moc starszą niż czas, władzę nad śmiercią i nad życiem...

Potem znalazł się z powrotem we własnym ciele, oniemiały, czując się niczym karzeł w obliczu boskiej potęgi.

Wtedy sobowtór otworzył zamknięte oko,
i Brune ujrzał, że nie jest ono bure z żółtym
rozblaskiem w głębi, lecz czarne – tak
czarne, że nie było widać różnicy między
tęczówką a

źrenicą – o zimnym, przeszywającym
spojrzeniu. Krzywe usta poruszyły się, ale
wydobył się z nich tylko syk.

I spod kapelusza, z opadających w
znajomym nieładzie ciemnych włosów, na
szyję
obcego powoli spełzły dwa węże.

Brune ocknął się, oddychając ciężko, z tłukącym się sercem.

Był przytomny, choć bardzo słaby, tak słaby, że gdy usiadł na posłaniu, na chwilę pociemniało mu przed oczami. Zranione ramię rwało bólem, ledwo był w stanie poruszać ręką.

Wiedział, że rana się jątrzy, że zwykły człowiek w tej chwili majaczyłby w malignie.

Obok pryczy stała miseczka z wodą. Żmij chciwie wypił jej zawartość, właściwie nie czując smaku. Dopiero gdy odstawił puste naczynie, dotarło do niego, że tym razem chyba nie zawierała narkotyku – nie czuł w ustach goryczy.

Przetarł sklejone od snu oczy, usiłując się zmusić do myślenia. Skoro dostał wodę, chciano, żeby żył, przynajmniej jeszcze

przez jakiś czas. Nie był pewien, ile dni minęło, odkąd zamknięto go w lochu – był skłonny przypuszczać, że ponad tydzień. I wciąż jeszcze tkwił tutaj, zamiast zdychać w Domu Godnego Odejścia. Widać srebrny mag liczył, że w końcu jednak zrobi z niego niewolnika.

Pytanie, kiedy wzruszy ramionami i uzna, że brak na to widoków. I czy zdołasz wcześniej coś wymyślić. Brune miał bolesną świadomość, że szanse na to są marne. Zaczynał tracić wolę walki.

A na razie nie miał innego wyboru, jak tylko czekać – zastanawiając się, czy zanim Mohellen da za wygraną i wyśle go do godnej umieralni, spróbuje użyć argumentów rodem z tradycyjnej katowni. Rozpalone do czerwoności kleszcze, krzesła nabite gwoździami, haki do

szarpania ciała. Nie sprawiał wrażenia kogoś, kto wzdraga się przed odorem krwi.

Przestań! Brune zmusił się, by porzucić te rozważania, nie wpadać w spiralę strachu.

Sięgnął umysłem w przestrzeń, by spokojnie wybadać, co dzieje się wyżej – i nagle zmartwiał.

Gdzieś tam w górze wyczuwał obecność dwóch ludzi. Mohellena... oraz kogoś jeszcze. Kogoś znajomego. Zmartwiał.

Niemożliwe, masz omamy.

Chwilę później skłonny był uwierzyć, że głód i wyczerpanie psychiczne istotnie sprawiły, że uległ złudzeniu. Ale niepokój, raz obudzony, nie dawał się stłumić

.

Szczęknał rygiel, drzwi celi się otwarły.
Wszedł golem – tym razem wyjątkowo
brzydki,

z obliczem jak niekształtna bryła i
wielkimi metalowymi łapskami.

Szarpnięciem za ubranie

zmusił zmija do wstania, ujął go za ramię i
wyprowadził z celi. Brune uznał, że próby
stawiania oporu będą poniżej jego godności.
Czuł się zresztą tak słaby, że wspinając się po
stromych

kamiennych schodach, martwił się
głównie o to, by nie zemdleć.

Dwa piętra wyżej weszli do laboratorium,
gdzie wiły się liczne ołowiane i mosiężne
rury

jakichś instalacji. Tu i ówdzie w
szklanych baniach kłębiły się fosforyzujące
opary. Cuchnęło znajomo – siarką, rdzą,
spalenizną oraz czymś ostrym, duszącym.

Posadzkę pokrywały

inskrypcje wymalowane białą i czarną farbą. Golem podprowadził Krzyczącego do niezbyt dużej maszyny stojącej na postumencie, mającej postać drewnianej skrzyni z wystającymi elementami

– tu pojemnik z grubego szkła, tam poskręcane miedziane rurki – i zatrzasnął wokół jego nadgarstków srebrne obejmy, tak że dłonie zmija znalazły się tuż nad pokrywającym górną

ściankę urządzenia wzorem z ciemnego mahoni i płytek smoczej kości. Znaki pisma magów

układały się w prostą, lecz złowrogą formułę: *Twoja siła jest moja.*

Krzyczący poczuł dreszcz, gdy kątem oka dostrzegł za plątaniną rur lśniący kształt srebrnej maski. Spomiędzy instalacji wyłonił się Mohellen w szarej roboczej tunice narzuconej na białą szatę. Nie rzekł ani słowa, tylko podszedł do maszyny i przekręcił jedno

Z

umieszczonych z boku ozdobnych pokręteł.

Brune poczuł, że gorący strumień mocy wyrywa się z niego jak przy odwróconym czerpaniu. Pociemniało mu w oczach, lecz golem podtrzymał go, nie pozwalając upaść.

Gdy po

dłuższej chwili zmijowi przestało się kręcić w głowie, zobaczył, że pojemnik umocowany do

machiny, wcześniej pusty, powoli napęlnia się smolistą, gęstą czernią.

Gdy był już pełen po brzegi, Mohellen odczepił go, zamknął korkiem i dokądś wyniósł.

Ostrożnie sięgając umysłem w przestrzeń, Brune wyczuł jeszcze kilka podobnych pomieszczeń,

tętniących magią zawartą w inskrypcjach i

zimnymi prądami mocy przepływającej przez
tajemnicze urządzenia. Piętro wyżej
kilkanaście golemów krzątało się przy
skomplikowanej
konstrukcji, widocznej dla zmysłów maga
jako kokon rur i drutów otaczający
niematerialne
jądro, jarzące się delikatną białą poświatą
– to musiała być owa księżycowa machina.

Krzyczący głęboko zaczerpnął tchu.
Wcześniej liczył się z tym, że po odessaniu z
mocy
nie będzie mógł ustać na własnych
nogach, ale – o dziwo – nie czuł się znacząco
słabszy po
czerpaniu niż przed. Widocznie
wysączono z niego tylko czerń, a nie siłę
życiową.

Mohellen wrócił, dzierżąc dziwny
przedmiot: kryształowy wielościan, w którego

głębi

igrały tęczowe iskierki, to zapalając się, to gasnąc. Skinął dłonią i obejmą rozwarły się z trzaskiem.

– Na dół – rozkazał. Golem szturchnął chwiejącego się na nogach zmija, nakazując mu iść.

Wrócili do lochu. Brune, podtrzymywany przez mechanicznego stwora, znowu skupił się na tym, żeby nie zemdleć na schodach. Mohellen towarzyszył im, lecz nie odzywał się ani słowem.

Znalazłszy się z powrotem w podziemnym korytarzu wiodącym do celi, Krzyczący zadrzał. Znowu czuł znajomą obecność,

tym razem tak silnie, tak wyraźnie, że już nie mogło być mowy o pomyłce. Odwrócił się ku magowi.

– Ty...

Sługa srebra uśmiechnął się drwiąco, wyraźnie ciesząc się już zawczasu.

– Idź. – Skinął dłonią, a golem pchnął zmija naprzód. Równocześnie szczęknął zamek i

drzwi celi otworzyły się same. Weszli do środka.

W kącie celi stała latarnia wypełniona świecą mazią, a na pryczy siedział...

Znajda.

Dzieciak ze śmieciarskiej rodziny w Shan Vaola.

Wyrósł i zmienił się. Włosy miał krótko ostrzyżone i był schludnie ubrany, niczym syn

zamożnego mieszczanina. Spod kurtki z mosiężnymi guzikami wycierał kołnierz czystej koszuli.

Ale dłonie pokryte paskudnymi bliznami po oparzeniach potwierdzały tożsamość chłopca w równym stopniu co aura.

Nogi miał skute kajdanami, na policzku siniak i wyglądał na przerażonego. Na widok Krzyczącego wytrzeszczył oczy.

– Brune? To ty? Co tu robisz?...

– Milcz – rozkazał Mohellen, po czym zwrócił się do zmija. Nim jednak zdążył

przemówić, Krzyczący go uprzedził.

– Cokolwiek planujesz, draniu, możesz sobie darować, ja nie zmienię zdania. –

Mówiąc

to, nienawidził siebie, ale zarazem miał pewność, że racjonalna decyzja jest tylko jedna. I trzeba się jej trzymać bez względu na koszt.

Choćby miało to boleć tak jak śmierć Faivrin. A w pewnym sensie bardziej – bo teraz był

przecież silniejszy i bardziej doświadczony. Powinien umieć znaleźć jakieś wyjście, wymyślić fortel... W teorii. Tymczasem boleśnie zdawał sobie sprawę z własnej bezradności.

– To cacko – oznajmił Mohellen, unosząc kryształowy wielościan, który zamigotał

miriadą barw, siejąc odbłaskami po ścianach lochu – służy za tymczasowe schronienie dla mojej przyjaciółki Kariht-Zostre, demonessy zrodzonej z ciała i krwi siedmiogłowej

Zostre-Abul-Laath, królowej Doliny Igieł, oby nieśmiertelny ogień Otchłani na wieki płonął w jej żyłach. Przemieni ona twój czarny dar w srebrny i uczyni cię moim sługą, gdy dobrowolnie wyrazisz na to zgodę. Sądzę, że już się domyślasz, jakim argumentem zamierzam cię zachęcić.

– Mohellen – powiedział cicho zmij – obaj jesteście w twoich rękach, ty decydujesz o wszystkim, co się tutaj stanie. Więc na szantaż mnie, skurwielu, nie złapiesz.

– Mój opiekun, medyk Bernhard... – wmieszał się drżącym ze strachu głosem
Znajda, ale
umilkł, gdy golem zdzielił go pięścią w

kark.

– Ależ, zmiju – odrzekł Mohellen z iście wilczym uśmiechem – nie mnie cię zwodzić.

Tak się składa, że moi bracia w srebrze z Shan Vaola zebrali na twój temat mnóstwo interesujących informacji. Masz być ponoć podatny na metody perswazji, które w przypadku

ka-ira zazwyczaj nie okazują się skuteczne . Dlatego właśnie kazałem zlokalizować i sprowadzić tutaj tego sympatycznego młodzieńca. Dla jego dobra liczę, że jednak zmienisz zdanie, zanim rozkażę sprawić, by skonał w bardzo przykry sposób, zarazem dostarczając ci sił.

Krzyczący odwrócił się do chłopca i lekko pokręcił głową; słowa uwięzły mu w gardle.

Nienawidził siebie za chłód, z jakim trzymał się jedyne racjonalnego wyboru.

– Nie ma mowy.

– Brune!... – jęknął płaczliwie, błagalnie chłopak.

– Masz trzecią i ostatnią szansę – rzekł powoli srebrny mag. Krzyczący zamknął oczy.

Zalały go wspomnienia z Shan Vaola, z czasu gdy mieszkał z rodziną śmieciarzy. Na wpół

obłąkany, nie całkiem kontaktujący z rzeczywistością, lecz na tyle przytomny, by wiedzieć, kto się z nim dzieli jedzeniem, kto go traktuje jak przyjaciela... Odepchnął je.

– Nie.

W następnej chwili niewidzialne palce

brutalnie zmusiły go do rozwarcia powiek.

Mohellen skinieniem dłoni sprawił, że
Znajda uniósł się w powietrze i zawisł z
rozkrzyżowanymi rękami,
unieruchomiony przez więzy z powietrza.
Kolejny ruch ręki – w
stronę Krzyczącego – i ciało zmija
ogarnęła znajoma zimna drętwota. Czar
paralizujący.

Golem stanął przed Znajdą, unosząc
metalowe łapy. Chłopak wrzasnął. Kilka
ciosów

sprawiło, że jego ciało zakołysało się w
powietrzu, lecz niewidoczna sieć czaru
mocno go
trzymała.

Mechaniczny stwór cofnął się o krok.
Znajda zaszlochał, wypluł krew płynącą z
rozbitych warg.

– Jestem miłosierny – rzekł z uśmiechem Mohellen – więc daję ci czwartą szansę na uratowanie mu życia.

A jeśli wyrażę zgodę, pewnie pierwsze, co rozkażesz mi zrobić, jak już mnie spętasz czarem posłuszeństwa, to zabić go własnoręcznie. Nie.

Pokręcił tylko głową. Srebrny mag uniósł brew w niemym zdziwieniu, po czym dał znak mechanicznemu katu.

Brune musiał patrzeć, jak golem z metodyczną, brutalną precyzją raz za razem tłucze unieruchomionego Znajdę opancerzoną pięścią w brzuch. Gdy przestał, chłopak zwymiotował,

krztusząc się i jęcząc.

Mohellen ruchem dłoni zdjął zaklęcie lewitacji. Mechaniczny stwór złapał ofiarę, zanim

ta padła na posadzkę.

– Złóż go na pryczy – rozkazał.

Mechaniczny stwór spełnił rozkaz. Potem mag bez słowa

wsunął kryształowy wielościan w zanadrze, odwrócił się i wyszedł, a golem za nim.

Drzwi celi zatrzasnęły się z hukiem, szcęknął zamek. Dopiero wtedy Krzyczący poczuł,

że odzyskuje władzę nad ciałem i zdolność mrugania.

Kolana ugięły się pod nim, osunął się na posadzkę tam, gdzie stał. Dopiero po chwili zdobył się na to, żeby wstać i podejść do jęczącego chłopca. Znajda był blady, jego twarz

pokryła się zimnym potem i z trudem łapał powietrze. Po chwili przechylił się w bok, żeby

zwymiotować ponownie – tym razem czarną, fusowatą krwią.

Obrażenia wewnętrzne. Nie do wyleczenia, chyba że srebrną magią.

Brune patrzył na niego i miał wrażenie, że spada w czeluść, że lochy walą mu się na głowę.

Przepraszam – chciał powiedzieć, ale zdawał sobie sprawę, jak bezsensownie to zabrzmiał.

Znajda umierał długo.

Dopóki był przytomny, nie chciał patrzeć na zmija, odwrócił twarz do ściany. Brune siedział przy nim w milczeniu; wiedział, że wszelkie słowa otuchy czy pocieszenia będą jałowe.

Wspomnienia nie chciały odejść. Raniły go jak drzazgi. Tamte pierwsze tygodnie w Shan

Vaola, kiedy dopiero zaczynał się otrząsać

z szaleństwa i to Znajda opiekował się nim, a nie na odwrót. Bezdomny, wychowany przez odmieńców dzieciak. Co działo się z nim przez te lata?

Szczęście musiało się do niego uśmiechnąć, znalazł lepsze życie. Tylko po to, żeby teraz zdechnąć w mękach w lochu srebrnej kanalii.

Brune nie mógł w żaden sposób ulżyć cierpieniom chłopca, miał za to paskudną świadomość, że każda minuta spędzona obok umierającego dodaje mu sił. Ból atakował jego

zmysły, wsączał się w ciało czarnym ciepłem. Obroża i podane mikstury uniemożliwiały czynne posłużenie się darem, ale nie blokowały wpływu daru na organizm maga.

Nie odebrały też Krzyczącemu zdolności

wyczuwania, w jakim stanie jest cierpiący
człowiek. Zimny cień śmierci w aurze
Znajdy był dla zmija równie wyraźny, co
wypełniający
cełę smród wymiocin.

Na rzeźbionym stole ze smoczej kości
stała kryształowa kula. Czarnowłosa
skrzydlaty

mężczyzna wpatrywał się w nią w
zadumie, zaś unosząca się ponad jego
ramieniem mglista

kobieca postać – z ledwie maskowanym
napięciem. Prócz nich w komnacie nie było
nikogo. Z

dworu, z oddali, jak zwykle dobiegało
zawodzenie gnanych wiatrem dusz.

– Srebrny mag, który go uwięził, w
tajemnicy przed Elitą służy Dolinie Igieł,
ojcze –

powiedziała demonessa, siląc się na
spokój.

– Wiem o tym, córko. – Spalony Władca
nie zaszczycił jej spojrzeniem.

– Zatem nie wiążesz już planów z moim
podopiecznym?

– Czemu tak sądzisz?

– Bo bez naszej interwencji Brune
przypuszczalnie da się przymusić do przejścia

na

stronę Doliny Igieł. Błagam cię o
pozwolenie, żeby wyruszyć do świata ludzi.

– Nie, Anyah. Zabraniam ci
interweniować.

– Ale...

– Daliśmy mu słowo, nie pamiętasz? – Jej
ojciec uśmiechnął się z ironią.

Oboje wszak wiemy, co było warte!
Chciała mu to wykrzyczeć w twarz, lecz nie
potrafiła.

Przymus posłuszeństwa był silniejszy od
niej.

Narzucając sobie spokój, próbowała się

odwołać do czysto pragmatycznych argumentów.

– Ojczy, jeśli przejmie go Dolina Igieł, najprawdopodobniej utracimy go już na zawsze.

– Och, nie. Nie ma czym się martwić. Nie przejmą go, Anyah.

– Ale...

– Zatraciłaś obiektywizm, moja droga. To zrozumiałe, biorąc pod uwagę, jak długo pozostawałaś w niewoli. – Spalony Władca lekko puknął palcem w kulę; ta ukazała z bliska postać Krzyczącego, siedzącego nieruchomo nad zwłokami przyjaciela. – Nasz agent właśnie

odbiera ważną i cenną lekcję. Przerywanie jej nie leży w naszym interesie.

– Ojczy, jako jego stróż nie mogę się zgodzić...

Spalony Władca zaklaskał w ręce.

– Naleah!

Wprost ze ściany wyłoniła się druga mglista sylwetka dziewczyny w zwiewnych szatach,

o oczach jarzących się błękitnym światłem. Ona i Anyah były do siebie bliźniaczo podobne,

poza jednym szczegółem – Anyah spowita była w postrzępione, cieniutkie jak pajęczyna płachty, Naleah zaś odziana w eleganckie tiule. Nowo przybyła skłoniła się z

ostentacyjną unізonością,
rzucając siostrze złośliwe spojrzenie.

– Tak, ojcze?

– Od dziś jesteś stróżem niejakiego
Deuvena de Ragues z Alkary, znanego też
jako Brune

Keare lub Krzyczący w Ciemności. –
Spalony Władca pstryknął palcami i wprost z
powietrza

wyjął zwój pergaminu. – Tu zapisane jest
wszystko, co powinnaś o nim wiedzieć.

Naleah przyjęła zwój, kątem oka nadal
zerkając na siostrę, teraz z miną pełną
triumfu.

Na twarzy Anyah odmalowało się bolesne
zdumienie, a potem – przez ułamek sekundy

—

wściekłość zranionej lwicy, natychmiast zastąpiona maską wyćwiczonej obojętności. Nie

pozwoliła sobie choćby mrugnąć, kiedy władca Doliny Popiołów dodał:

– Ty, Anyah, przejmiesz obowiązki siostry.

Gdyby dodał cokolwiek jeszcze, choćby słówko drwiącego komentarza, zdesperowana Anyah, cała rozdygotana w środku jak człowiek, a nie jak demon, być może uczyniłaby coś, do czego teoretycznie nie powinna być zdolna, to znaczy rzuciłaby się na niego – i przypłaciłaby to wieloletnim uwięzieniem lub odesłaniem w nicość. Ale nie rzekł nic. Więc, przetykając furie i gorycz, skłoniła się pokornie. Odruch bezwzględного posłuszeństwa wobec potężniejszego

demona, któremu zawdzięczała swe istnienie, stanowił imperatyw, któremu nie potrafiła się

oprzeć, integralną cząstkę jej jaźni – tak jak w naturze psów leży podążanie za przewodnikiem stada.

– A teraz idźcie, nic tu po was. – Władca odprawił je klaśnięciem.

Gdy rozwiały się w powietrzu, uśmiechnął się, spoglądając w kulę.

– Kształć się, kształć, mój agencie. Nie ma lepszych nauczycieli niż ból.

Zamek szczęknął, ciężkie drzwi otwarły się powoli.

Dwaj Jednoocy z chrzęstem pancerzy przekroczyli próg. Za nimi do celi wszedł Mohellen. Krzyczący, który siedział bez ruchu na pryczy obok martwego chłopca, zignorował ich, nawet nie podniósł wzroku.

– *Ka-ira.*

W głosie srebrnego maga dźwięczało politowanie. Żmij nawet nie drgnął. Szeptął bezgłośnie do siebie, wpatrzony w zwłoki przyjaciela. Na twarzy miał wypieki; gorączkował i osłabł mimo dawki czerni, jaką

wchłonał w ostatnich godzinach.

Głód, zimno, halucynacje, rana zadana zaklętym ostrzem, śmierć Znajdy oraz srebrna obroża – wszystko razem pozbawiło go woli walki.

Coś w nim pękło. I o to chodziło.

Mohellen skinął na większego z Jednookich.

– Zmuś go, żeby wstał.

Golem złapał Krzyczącego wpół, unieruchamiając go w żelaznym uścisku, i siłą postawił

na nogi. Mohellen obszedł więźnia naokoło, żeby znaleźć się z nim twarzą w

twarz.

– I co? – spytał. – Namyśliłeś się?

Bure oczy, szkliste od gorączki, ale wciąż jeszcze przytomne, zmierzyły go nienawistnym wzrokiem. Mohellen wyjął zza pazuchy zakorkowaną szklaną fiolkę pełną żółtego proszku.

– To – rzekł niemal łagodnie – jest *lome-lome*, znane również jako rajski pył. Jeden z tych narkotyków, które działają na ciebie, *ka-ira*, równie silnie jak na zwykłych ludzi. Już mała dawka sprowadza wizje, większa wyostrza wrażliwość na bodźce, a w szczególności

potęguje odczuwanie bólu. Tam, gdzie nie zadziałała jedna metoda perswazji, może zadziała

inna.

Zamilkł, jakby czekając na reakcję, a nie doczekawszy się, skinął na golema.

– Odwiń opatrunek.

Golem rozplątał i odwinął zakrwawioną chustkę, odsłaniając zaognioną brzydko ranę od

ościenia, która zaczynała ropieć. Mohellen wytrząsnął na nią część zawartości fiolki. Zapieкло upiornie; zmij zwarł zęby, żeby nie jęknąć.

– Teraz poczekamy – oznajmił srebrny mag, zerknąwszy na wyjęty z fałdów szaty ozdobny czasomierz. Skinął na golema, by ten na powrót zawiązał opatrunek.

Minuty mijały jedna za drugą. Brune czuł, jak narkotyk zaczyna działać. Lekki zawrót głowy, fala rozchodzących się po skórze mrówek. Sylwetki maga i golemów stopniowo nabrały kolorowych, świetlistych konturów, ściany lochu ożyły od migoczących tęczowych drobin, ale napięcie i strach trzeźwiły go, nie pozwalając odpłynąć w halucynacje.

W końcu Mohellen rozkazał:

– Ręka.

Golem zmusił Krzyczącego do wyciągnięcia prawej ręki, obracając jego dłoń grzbietem do góry i przytrzymując przedramię jakby w kleszczach.

Mohellen pstryknięciem palców zapalił w powietrzu płomyczek i sprawił, by ten zbliżył się od spodu do wnętrza rozpostartej dłoni.

Najprostsza, banalna wręcz tortura, ale *lome-lome* uczyniło z niej piekielną mękę. Brune zamknął oczy i zacisnął zęby, skupiając wszystkie siły na tym, żeby nie wrzeszczeć. Czuł, jak skóra pokrywa się pęcherzami, pęka i schodzi. Spotęgowany narkotykiem ból dawał się

porównać jedynie z tym powodowanym przez zaklęcia Otchłani. Choć żmij wiedział, że to

niemożliwe, miał wrażenie, że ogień lada chwila przeżre rękę na wylot, że ciało zwęgla się, odpada od kości.

Prawa dłoń, dłoń od rapiera... Ale ciało

ka-ira regeneruje się, jeśli tylko dostanie szansę.

Nagle bardzo, bardzo spokojny,
Krzyżący skupił całą siłę woli na bólu, na tym, żeby oddychać i wytrzymać.

W swym zadufaniu przeciwnik dał mu literalnie wprost do ręki broń – nóż, który przy

odrobinie szczęścia pozwoli przeciąć sznury. Żmij czuł już, jak podrażniona czerń zaczyna się w nim budzić i narastać, gorąca i groźna, mimo obroży, mimo specyfików, które miały ją tłumić.

Skoncentrował się, odcinając umysł, na ile mógł, od wszelkich innych bodźców, i chłonał

ból jak mityczną żywą wodę.

Czarna fala rosła.

Aż przesłoniła światło.

Mohellen coś mówił, gdzieś daleko.
Płomyk chyba zgasł, ale nawet jeśli nie,
przestało to
być istotne.

Brune z trudem chwycił powietrze; jego
twarz wykrzywiła się w tiku, serce łomotało.
Nie
czuł już bólu, tylko narastające w całym
ciele gorąco. Gdyby panował nad mimiką,
uśmiechnąłby się drwiąco.

Nigdy, przenigdy nie należy torturować
ka-ira, nie powziąwszy odpowiednich
środków
ostrożności.

Mohellen musiał źle wyliczyć dawki środków tłumiących ból. Zapewne nie wziął poprawki na to, że cierpienie dodaje zmijom siły z kilkunastogodzinnym czy nawet

kilkudniowym opóźnieniem. Jeśli spróbujesz podpalić oblane wodą drewno, nie zapłonie, ale co się stanie, gdy będziesz je przez dłuższy czas trzymać w ogniu?

Ekspozycja na mękę umierającego więźnia, potem śmierć Znajdy i godziny spędzone w

towarzystwie emanujących czernią zwłok, własna jątrząca się rana, tortury bólem i teraz oparzenie, które zadziało jak kropla przelewająca czarę – wszystko to, skumulowane,

skotłowało się w smolisty wir, narastający w zmiju huragan mocy.

I stało się niemożliwe.

Srebrna obroza pękła.

Jej fragmenty jeszcze w powietrzu
obróciły się w proch. Mohellen nagle zdał
sobie

sprawę, że niewidzialna siła krępuje jego
ciało, unosi go w powietrze, jakby był lalką.
Wrzask zamarł mu na ustach, zdławiony
utkanym z powietrza kneblem. Świat jakby
zastygł, zamarł.

Srebrny mag częścią umysłu
zarejestrował, że golemy ze zgrzytem i
głuchym stukiem wałą się

na ziemię, zredukowane do martwej gliny
i metalowych części.

Zamiast śniadej twarzy z policzkiem
przekreślonym szramami przez moment
widział nad

sobą inną, naznaczoną białymi plamami, o źrenicach jarzących się seledynowo... Potem na nią nałożyła się jeszcze jedna, jaśniejsza, w połowie nadludzko piękna, w połowie sina i martwa.

Potem na oczy Mohellena spadła zasłona. Runął na posadzkę, wstrząsnęły nim drgawki, na ustach pojawiła się piana. Oddał mocz i kał, lecz nie miał już tego świadomości.

Brune dźwignął się na nogi, oddychając ciężko. Był teraz całkowicie trzeźwy, eksplozja

czerni spaliła odurzenie narkotykiem. Połowa jego twarzy wykrzywiła się w brzydkim uśmiechu na widok leżących bez życia mechanicznych stworów. Ich pancerze częściowo się rozpadły, odsłaniając fragmenty metalowego szkieletu i blade, oślizgłe wnętrzości, lśniące od mlecznego odżywczego płynu.

Zza pazuchy Mohellena wysunął się
kryształowy wielościan. Pulsował
purpurowym

światłem, coraz szybciej, coraz jaśniej.
Czując narastającą wokół artefaktu moc,
Krzyżący

zareagował na wpół instynktownie –
otworzył mały portal i telekinetycznie
wepchnął weń

niebezpieczny przedmiot. Gdy przestrzeń
ponownie się scalała, pozostawiając na
posadzce lochu niewielką kałużę wody,
odetchnął z ulgą. Nawet księżniczka Doliny
Igieł nie zdoła wiele

zdziałać, gdy zmaterializuje się w samym
środku królestwa undyn – w ciemnej,
lodowatej

głębinie mórz, wśród wrogich jej rodowi
morskich stworów. Przy odrobinie szczęścia
zmuszą ją, by jak niepyszna zemknęła do
swej ojczyzny.

Sięgnął umysłem w przestrzeń, licząc się z
możliwością, że za chwilę przyjdzie mu
stoczyć walkę z materializującymi się
sługami srebra, lecz ku swej uldze nie wyczuł
nikogo

prócz golemów, nadal zajętych pracą w
pomieszczeniach laboratoryjnych.

Nieświadomych tego,
co działo się w lochu.

Agent Doliny Igieł poruszył się niemrawo,
zajęczał. Krzyczący w Ciemności z mściwą
satisfakcją przyłożył ręce do jego skroni i
czerpał do samego końca, aż ciało mężczyzny
zadygotało i znieruchomiało. Chwilę
później zwłoki zaczęły transformować,
ciemniejąc i

puchnąc. Sprawił, że buchnęły sinym
płomieniem. Czerń wrzała w nim jak nigdy,
niczym lawa

wewnątrz wulkanu. Spojrzał na swoją
dłoń – oparzenia goiły się w oczach.

Zdematerializował się, by odzyskać materialność na wzgórzu za wieżą. Rzutem oka

utwierdził się w swych podejrzaniach: siedziba maga znajdowała się gdzieś na pustkowiu, na

bezludnych wrzosowiskach. Niewiele myśląc, jał pierwszym lepszym kamieniem kreślić na ziemi znaki, szybko, by zdążyć, zanim do mocodawców Mohellena – czy to Elity, czy Doliny

Igieł – dotrze, że stało się coś niedobrego.

Wypowiedział formułę i poczuł, jak moc wyrywa się z niego niczym woda przerywająca

tamę. W oknach laboratorium zamigotały języki ognia, a potem budynek ogarnęła rycząca furia żywiołu, gdy wielki portal do królestwa salamander rozwarł się na całą szerokość. Rozległo się kilka wybuchów,

brzęk tłuczonego szkła.

Oddychając ciężko, Krzyczący stał i patrzył w ogień, czując się tak, jakby wypił jednym

haustem szklanekę kordiału z lucyferii. Teraz, gdy pozbył się obroży, był literalnie pijany mocą, do tego stopnia, że prawie nie odczuł wysiłku, którego wymagało zaklęcie. Widok szalejących płomieni tylko spotęgował narastającą w nim czarną euforię.

Serce waliło mu gorączkowo. Miał wrażenie, że gdyby teraz stanął do walki z następnym

srebrnym magiem, rozniósłby przeciwnika na strzępy.

Nagle uświadomił sobie, że ból w ramieniu ustąpił, a jego miejsce zajęło dziwne,

swędzące mrowienie, jakby pod bandażem
pełzało robactwo. Rozmotał opatrunek – tak
jak

przypuszczał, rana od ościenia również
była już prawie zagojona.

Odczekał chwilę, żeby zasklepiła się do
końca, po czym zdematerializował się,
pozostawiając za sobą płonącą siedzibę
srebrnego maga imieniem Mohellen ar Vanth.

W Bel Ingre padał deszcz. Krople głośno
bębniły o zamknięte okiennice w willi
bankiera. W małej sypialni na piętrze

Zazel spał zwinięty w fotelu obok kaflowego pieca,

chrapiąc głośno. Trawił kluski z gruszkami i pieczoną pierś bązanta z majerankiem.

Lorraine, w koszuli nocnej, otulona grubą wełnianą chustą, piła z kubka gorące mleko.

To nie była jej pierwsza ani druga bezsenna noc w ostatnich dniach. Na stoliku leżało kilka listów i oficjalnych dokumentów – bankier poprosił ją o opinię w skomplikowanej sprawie

rodzinnej – ale to nie jego troski i kłopoty spędzały jej sen z powiek.

Zazelowi nie powiedziała ani słowa o wizjach, które przychodziły kilkakrotnie, zawsze

nocą, pozostawiając ją słabą i roztrzęsioną. O echach bólu i strachu, o zimnym, śmierdzącym lochu i płonącej wieży

pod czarnym niebem.

A teraz, choć bardzo się starała sięgnąć wzrokiem wróżbitki w dal, widziała tylko rzeczy

nieistotne i nieważne. Ani śladu jednej konkretnej osoby. Jakby zniknął z powierzchni ziemi, ukrył się tak daleko, że nawet jej zdolności nie potrafiły go wyśledzić.

Gdyby zginął, wiedziałabym. Umarli by mi powiedzieli. Bardzo chciała w to wierzyć, ale

nie była pewna, czy nie oszukuje samej siebie.

Za oknem deszcz stukał monotennie. Zazel głośno sapnął przez sen, po czym przewrócił

się na drugi bok i chrapał dalej. Lorraine

dopiła mleko i objęła ramionami kolana.
Nagle poczuła się bardzo młoda i
przeraźliwie samotna; do oczu napłynęły jej
palące łzy.

Wicher wył wśród poszarpanych skał
beziemnego masywu, a zamieć smagała je
śniegiem. Jedenaste dominium astralne
było lodowatym, nieprzyjaznym miejscem,
częściowo

skutym przez wieczną zmarzlinę. Lecz
drewniana chatka, w której mieszkał
siwobrody karzeł

Ergyl, wzniesiona pod osłoną bocznego
grzbietu góry, okazała się ciepła i przytulna.

Na ławie przy piecu wylegiwał się skrzydlaty kot. Udawał, że śpi, ale tak naprawdę nieufnie śledził żmija jednym współprzymkniętym złotym okiem.

Ergyl, zasuszony mały jegomość z nosem jak purchawka, pobierał myto od podróżnych wędrujących szlakiem do miejsca na zboczu góry, gdzie znajdował się portal – potężne

kamienne wrota. Znał mowę magów, słabo, ale w wystarczającym stopniu, by dało się z nim

porozmawiać. Pochwalił się, że zna języki jeszcze dziesięciu ludów zamieszkujących sfery,

dodał jednak, że nader rzadko widuje przybyszy z krainy ludzi. Za dodatkową złotą monetę

niechętnie zgodził się, aby żmij przeczekał zawieję pod jego dachem.

Niezrażony mrukliwością Ergyla, Brune wypytał go o wrota. W promieniu kilku mil od

wielkiego utrwalonego portalu nie należało ryzykować dematerializacji, wiedział więc, że będzie musiał tam dojść na własnych nogach. Karzeł zapewnił go, że wrota nie wznoszą się na szczycie masywu, gdzie nie sposób byłoby w tych warunkach dotrzeć, lecz ledwie kilkadziesiąt kroków

od jego chatki, i obiecał wskazać drogę, gdy tylko zamieć przycichnie. Poczęstował też zmija grzanym piwem o zielonkawej barwie i dziwnym korzennym smaku.

Wicher wył. Śnieg sypał, tworząc coraz głębsze zaspę. Kot rozciągnął się wygodnie i mruczał głośno. Ergyl w milczeniu pykał fajkę. Krzyczący grzał dłonie przy piecu, przy którym, rozwieszona na sznurku, suszyła się jego podbita futrem peleryna – skradziona na Maalgos,
podobnie jak kilka innych rzeczy.

W zanadrzu miał kawałek płótna zwilżony krwią martwego człowieka, a na ramionach, pod odzieżą, formuły ochronne – wypisane ostrzem noża na żywej skórze. I liczył, że – w połączeniu z odległością – to wystarczy, by go uczynić niewidzialnym dla srebrnych oczu.

Zbiegł daleko, tak daleko, że teoretycznie nawet najsilniejsze zaklęcia tropiące nie powinny go tutaj wyśledzić, ale wiedział, że Elita chowa różne sztuczki w zanadrzu.

To, że ucieczka się udała, zawdzięczał czerni, tylko i wyłącznie. Tuż po uwolnieniu się z

lochu był fizycznie słaby, ale pełen złudnej, sztucznej energii, którą dał mu rozjątrzony dar, i czerń przejęła kontrolę, żeby utrzymać swe naczynie przy życiu. Brune nie do końca pamiętał, co działo się z

nim bezpośrednio po śmierci srebrnego maga
– tak jakby to ktoś inny

zdematerializował się z pustkowiec, gdzie
pożar niszczył domostwo Mohellena, i uciekł
daleko, daleko przez lodowate wiry kolorów
poza przestrzeń, poza światami. Ktoś inny

zmaterializował się w końcu na Maalgos,
starożytnej metalowej wyspie pływającej po
czerwonych morzach dziesiątego
dominium astralnego, zbudowanej przez
dawno wymarły lud

żeglarzy. Wyspa była jednym potężnym,
wielopoziomowym miastem, zamieszkanym
przez

chochliki, karły i półdemoniczne istoty;
jej niższe poziomy, popadające w ruinę,
stanowiły

mroczny labirynt opuszczonych domostw
i zaułków, gdzie kryły się dziwaczne
stworzenia,

często zbiegowie z innych sfer. Krzyczący
zniknął w tym labiryncie jak kamień
wrzucony w
bagno.

Umiał znikać, umiał się przyczać.

Gdy straż z Maalgos zaczęły poszukiwać nieuchwytnego cienia, który – jak głosiła plotka – zajął się w najstarszej części miasta, czaił się w opustoszałych miejscach i napadał na samotnych przechodniów, by wysączyć z nich siłę życiową, pozostawiając ofiary na wpół

martwe, Krzyczący już wędrował przez śnieżne rubieże jedenastego dominium.

Chciał dotrzeć

do Etheri, królestwa sylfów, a najkrótszą i najpewniejszą drogą był portal znajdujący się na szczycie góry, u podnóża której mieszkał stary Ergyl w swojej chatce.

– Zamieć do rana ustanie – odezwał się karzeł, wyjmując fajkę z zębów. – Już przycicha.

Słyszycie?

Brune odmruknął coś nieokreślonego. Dla jego uszu wichura brzmiała tak samo jak godzinę wcześniej, ale skłonny był wierzyć gospodarzowi na słowo. Oparł głowę o belki ściany, przymykając oczy.

Jego plany były bardzo proste. Przetrwać. Przeżyć. Wyszukać miejsce, które posłuży mu

za schronienie, przynajmniej przez jakiś czas. A w dalszej kolejności – znaleźć jakiś sposób, aby wyłamać się spod władzy Doliny Popiołów, już ostatecznie.

Dostał siedem lat wolności. I zamierzał je wykorzystać.

Epilog

W dominium dzieci powietrza, odległej

Etherei, Latające Miasto – siedziba królowej
Feanmuile i jej dworu – dostojnie
żeglowało po oceanach chmur. Ogromna
szybująca wyspa

pełna białych pałaców, przypominających
kunsztowne ozdoby z cukru i kremu, jakimi
cukiernicy dekorują najwykwintniejsze
torty. Ponad dachami i wokół wież
przemykały sylfy o

skrzydłach ptaków, motyli bądź ważek,
uliczkami zaś przewalał się kolorowy tłum
bezkrzydłych istot z innych części
astralnego świata.

Z wnętrza wspartego na kolumnach
ośmiokątnego budynku o fasadzie obrośniętej
błękitnym bluszczem płynęły skoczne
dźwięki fletni, harfy i bębnów. Mieściła się
tam tawerna, jedna z wielu. Mrowie
kłębiących się pod sklepieniem błędnych
ogników rzucało drżące światło na twarze
gości. Dominowały piękne oblicza sylfów, ale
dało się też dostrzec owłosione,

pokraczne pyski leśnych duchów, stwora o wielbłądziej mordzie, chłepczącego spienione piwo z dużej misy, oraz dwie sinoskóre mormolyke o płonących żółto oczach. Siedzący zaraz przy

wejściu gruby gnom, przypominający ulepioną byle jak glinianą figurę, zaczepiał wchodzących, oferując im na sprzedaż ozdoby ze srebra i półszlachetnych kamieni. Muzykanci, odziani od stóp do głów w brokaty, nosili złote symbiotyczne maski, zaś wśród nielicznej grupki tańczących prym wiodły dwie duże, przytupujące zwawo kurze łapy.

Nad szynkwasem w charakterze ozdób wisiały wypolerowane czaszki stworów nieznanych ziemskim zoologom, o krzywych, długich jak szable rogach i kilku oczodołach.

Właścicielka tego przybytku, wielka i gruba, odziewała się w kolorowe jedwabie na nedgvarską modłę, lecz była półkrwi

demonem – posiadała dwie głowy, jedną
ludzką, drugą tygrysią, i
pojedyncze poczwarne skrzydło koloru
spatynowanej miedzi, najeżone długimi
kolcami.

Na galeryjce kilka sylfów gawędziło nad
szklanicami kwiatowego nektaru, a przy
następnym stoliku cztery gnomy o
długich, sięgających podłogi brodach grały w
karty, pijąc
wino. Nikt nie zwrócił uwagi na to, że
opodal powietrze pod sklepieniem faluje
jakby od gorąca, a kręcące się w
chaotycznym tańcu błędne ogniki omijają to
miejsce.

Naleah zawisała w powietrzu,
niewidzialna, obserwując tłum, chłonąc
bijący z dołu
melanż aur, zapachów i emocji.
Przesunęła językiem po wargach, smakując

chłodne, dymne

oddechy sylfów, przywodzące na myśl
powietrze w zimowy ranek, lekko mdlącą
waniliową woń

lubianych tutaj świeczek zapachowych
oraz bardziej prozaiczne nuty – półzwierzęce
jaźnie

opitych piwem leśnych stworów, mocno
przyprawione potrawy. Sylfy żywiły się
nektarem i

kadzidłem, lecz przybysze z innych sfer
mogli w tawernie zjeść chleb, zupę i pieczone
mięso –

lub też surowe, wedle gustu. Dobrze,
świeże, bynajmniej niedostarczane z daleka.
W Latającym Mieście gnieździło się mnóstwo
gołębi i nie istniał zakaz polowania na nie.

Mrużąc oczy, córka Spalonego Władcy
znów popatrzyła w kierunku swego nowego
podopiecznego. Siedział w
najciemniejszym rogu sali, nad niedopitym
kubkiem wina, od

niechcienia kreśląc kawałkiem węgla znaki na kartce. Chudy mężczyzna, brzydki jak siedem

nieszczęść, o ziemistym, zniszczonym obliczu, na którym wypisane były lata hulanki i podłości.

Naleah wiedziała, że poza sylwetką i oczami nic w jego wyglądzie nie jest prawdziwe.

Mimo to nawet ona nie wyczuwała jego prawdziwej aury, przygaszonej i stłumionej tak, by

przekonująco stwarzać wrażenie wieku i wyniszczenia trunkami.

Musiała przyznać, że ten śmiertelnik naprawdę posługuje się iluzjami jak mało kto.

Uśmiechnęła się w duchu, gdy przedarł kartkę na pół, po czym znieruchomiał,

wpatrując

się w jeden punkt, a jego źrenice na
mgnienie rozbłysły żółto. Na podwyższeniu
harfista zadrżał

i zmylił ton, choć nie on był celem
zaklęcia.

Jeden z siedzących na galeryjce gnomów
zakaszłał, rozlewając nieco wina. Podczas
gdy

jego towarzysze śmiali się głośno z
czyjejś nieudanej zagrywki, on drżącą dłonią
odstawił kubek, odłożył trzymane w drugiej
ręce karty i z trudem chwycił oddech, nie
rozumiejąc, czemu

zaczyna mu się kręcić w głowie. Do
unoszących się w tawernie zapachów
dołączyła słaba, lecz coraz wyraźniejsza woń
nadchodzącej śmierci.

Lecz nikt się jeszcze nie zorientował.

Mag spokojnie wstał, nasunął kaptur na głowę i skierował się do wyjścia. Naleah, niewidzialna, niewyczuwalna dla jego zmysłów, poszybowała za nim.

Towarzyszyła mu, gdy szedł ulicami Latającego Miasta, i później, gdy zdematerializował się, podążając na spotkanie ze zleceniodawcą w czwartym dominium astralnym.

Po tym, co stało się z Mohellenem ar Vanth, świat ludzi stał się dla Krzyczącego w Ciemności zbyt mały i zbyt niebezpieczny, przynajmniej na najbliższych kilka lat. Ale istniały jeszcze sfery. Sfery, których rubieże sięgały daleko w głąb obcych wymiarów. Gdzie czekały cuda i dziwy, niebezpieczeństwa, ale też potencjalne sojusze, doświadczenie i wiedza. I gdzie niespecjalnie lubiano srebrnych magów.

Będzie się rozwijał. Będzie działał. A Dolina Popiołów będzie go strzec. Dyskretnie, z odległości, nie ingerując, jeśli nie okaże się to bezwzględnie konieczne. Był zbyt cenny, by pozostawić go zupełnie bez opieki.

– Jesteś nasz – wyszeptała z uśmiechem Naleah, patrząc, jak żmij materializuje się wśród zrujnowanych budynków, wznoszących się wysoko ku wstrętne żółtawemu niebu, i ruchem dłoni zmienia iluzję, przeistaczając się w nobliwego, zamożnie odzianego Nedgvarczyka z ciemnym znamieniem na policzku. – Zawsze będziesz nasz.